

Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



STANISŁAW KWASIEBORSKI

OD WISŁY DO KOROSTENIA

WSPOMNIENIA OCHOTNIKA
201 PUŁKU SZWOLEŻERÓW.



Skład główny u B-ci Detrychów w Płocku



STANISŁAW KWASIEBORSKI

OD WISŁY
DO KOROSTENIA

XXIV

WSPOMNIENIA OCHOTNIKA
201 PUŁKU SZWOLEŻERÓW.



Skład główny u B-ci Detrychów w Płocku

OD WISŁY DO KOROSTENIA

OD WIELY DO KONCZENIA

Druk. B-cia Detrychowic w Płocku.

261.116, 458.

STANISŁAW KWASIEBORSKI

OD WISŁY DO KOROSTENIA

Wspomnienia z czasu służby ochotniczej
w plockim szwadronie w 201 p. szwoleżerów

NAKŁADEM AUTORA

PŁOCK

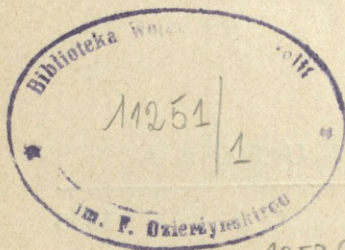
1936

355.91 (438)a

№ 220 *



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



1952 Q 823/391

OD AUTORA.

Z luźnych notatek, pisanych dorywczo na froncie, z przeżyć osobistych żywo stojących mi jeszcze w pamięci, z opowiadań współtowarzyszy broni, skreśliłem wiazankę wspomnień, którą oddaję do rąk, szczególnie byłych szwoleżerów IV szwadronu 201 pułku. Nie jestem literatem, nie znajdzie więc nikt w moim pamiętniku literackiego polotu i proszę mi wybaczyć prostotę słów i styl hreczkosieja. Niejeden opis jakiegoś zdarzenia podany przeze mnie nie będzie z pewnością ciekawy dla ogółu, dla tych jednak, którzy go przeżywali będzie może przypomnieniem chwil serdecznie dzisiaj wspominanych. Bo przecież byliśmy ochotnikami, wprost ze spokojnego wyrwani trybu życia, bez wyszkolenia posłani na front — więc nietylko szarże i kule, ale i dnie bez bitwy dostarczały nam niejednej emocji. Całodzienne marsze, podjazdy, bezsenne noce spędzone na placówkach — niejedną nam prawdę przed oczy stawiały, obok tych, które poznaliśmy w świetle kul i błysku szabel.

W pełni jednak zdaję sobie też sprawę, że nasza trzymiesięczna wojaczka w porównaniu do dwuletnich bojów niektórych pułków — nie mówiąc już o zмага-

niach wojny światowej — była może zabawką. Jednak przecież ten los żołnierski, który dane nam było przeżyć o uprogu naszej niepodległości państwowej wypełniliśmy szczerze, ofiarnie, bez wątpliń i wstydu. Znojem ochotnie z siebie danym, krwią i śmiercią kilkunastu szwoleżerów, przypięczetował IV szwadron 201 p. szw. swą wierną służbę dla — odrodzonej Rzeczypospolitej.

I dlatego, w poczuciu szczerze spełnianego obowiązku, ośmieliłem się rzucić na papier swe nieudolne wspomnienia, które niech będą podniętą w wypełnianiu obecnych trudów szarego codziennego dnia.

Notatki swoje chciałem rozszerzyć przez wspomnienia innych kolegów. Okazało się jednak, że pamięć już prawie wszystkich zawodzi. Skorzystałem tylko z paru opisów przesłanych przez pp: Jana Rościszewskiego z Romanowa, Adama Gorskiego z Malenia, Karola Kozłowskiego z Cieszewka, Karola Grabowskiego z Setropia, oraz paru danych od pp. Tadeusza Gorczyńskiego z Ogorzelic, Antoniego Czaplickiego z Osieka i Piotra Orłowskiego z Poznania, którym składam na tem miejscu koleżeńskie podziękowanie.

3 maj 1936 r.

I. NA FRONT!

Któż z nas jeszcze dzisiaj nie pamięta tragicznych dni lipca 1920 r.?

Bolesne wieści o odwrocie z pod Kijowa i o klęskach na północnym froncie, rozeszły się prędko po całej Polsce, szerząc przygnębienie i rozpacz, ale zarazem i gorące pragnienie odwetu.

Ledwo pierwsze nadleciały słuchy o niemocy polskiego dowództwa w zatrzymaniu odwrotu, który odbywał się w szalonym tempie, wnet zaczęły napływać do wojska całe rzesze ochotników.

Krótkie były narady, czy wśród mieszkańców miast i miasteczek, czy po wiejskich dworach i chatach, niedługo wszędzie namysły i nieobfite niewieście łzy.

Również i Płock zaroił się od żołnierzy ochotników: formował się tu właśnie IV szwadron 201 p. szwoleżów i dwie, czy trzy kompanie piechoty.

Któremu z nas ochotników, nie stoją jeszcze wyraźnie przed oczyma pierwsze chwile w polskim woj-

sku, pierwsze zbiórki, ćwiczenia, raporty, pierwsze żołnierskie kroki, żołnierskie tęsknoty, pierwsze „nauki” żołnierskiej mowy, pierwsze warty, dyżury, pierwsze sny na twardych pryczach, czy podłodze — takie to wszystko jeszcze dzisiaj wyraźne, jasne, jakby wczoraj przeżywane i takie to, przyznajmy się, kochane.

Niecałe 3 tygodnie — a więc błyskawicznie krótko — trwało w Płocku szkolenie i przygotowania i 3 czy 4 sierpnia nastąpił wyjazd szwadronu, a wymarsz kompanij na front.

Załopotaly w piersiach niby skrzydłami husarskimi uzbrojone serca żołnierskie, gdy rozkaz obwieścił, że „jutro żegnamy Płock”, że pójść mamy przez Warszawę na nieznany los, po prawdziwie żołnierską dolę.

Znalazłem się w szwadronie, znaczną część swoich kolegów z ławy szkolnej zostawiając w piechocie. Przyzwyczajony od dziecka do konia, wołałem z nim dzielić wojenny trud.

Pożegnanie z rodzinami i znajomymi nie było długie: wspólny obiad na dworze z „cywilami”, parę mniej lub więcej podniosłych mów, ostatnie uściski i rozkaz — „do koni!”.

Za parę minut szwadron stał na placu koszarowym przy Al. Miejskich. Pada jedna i druga komenda.

W chwilę potem barwna wstęga okrężyła plac i wsuwający się następnie między koszary, wyprostowała się wzdłuż szosy Płońskiej.

Tłumy, zalegające plac, które w pierwszej chwili stały nieruchome, drgnęły; rozległy się wołania, niejed-

nej niewieście oko zaszło łzą, niejedne oczy chciały utrwalić sobie twarz ukochaną, która już może nigdy nie miała stanąć przed niemi.

A w sercach szwoleżerów panował chaos: tu przywiązanie rodzinne, czy związek młodocianych uczuć, tam przed nami nowe życie, pełne wrażeń i świętych celów; tu szary dzień — tam walka, szal bitew.

Hej, bolszewiku, chcę usłyszeć świst twojej kuli, chcę oślepić się blaskiem twej szablicy, chcę walki, chcę śmierci twojej lub mojej! Bo dosyć jest już pęt niewoli, która i tak spodliła niejedną polską duszę i przeżarła swym jadem niejedno serce.

W oczach szwoleżerów - ochotników paliły się pragnienia ujrzenia tych dni, które każdy już w snach jeszcze dziecięcych ukochał, dni, w których miał pokazać, czy tylko sercem kochać umie rodzinny kraj, czy i ofiarnym czynem.

Szwadron wolno posuwał się naprzód. Sznur odprowadzających nas za granice miasta Płocka malal, aż wreszcie straciliśmy z oczu ostatniego „cywila“.

Nagie ścierniska, kołyszące się łany owsa, pociemniałe pola obsadzone ziemniakami, czarne skiiby odwróconej ziemi, przydrożne wierzby — wszystko to żegnało nas w całej swojej piękności i prostocie. A myśmy żegnali rodzinne swe strony żołnierską piosenką: „Nie masz pana — nad ulana“.

Przed nami otwierało się nowe życie.

— — — — —

Po dwóch dniach marszu, przed wieczorem, szwadron płocki wjeżdżał do Warszawy przez rogatki Marymonckie. Stolica zamieniona jakby na jeden wielki transparent, dziwny przedstawiała widok: na wszystkich rogach ulic, na ścianach domów, na kioskach i płotach, wszędzie widniały napisy, bądź drukowane, bądź wprost malowane: „Idź na front — Ojczyzna w niebezpieczeństwie!“, „Wszyscy na front“, „Dezerterzy tracą ziemię!“. Można było odczuć z ruchów i z twarzy przechodniów, którzy ciekawie oglądali maszerujący oddział jazdy, że jakaś gorączka pali twarze, jakieś niepokoje lomocą w piersi.

„Wróg u bram stolicy“ — to wyczytać można było nietylko z napisów, ale i z oczu jej mieszkańców. I ta kochana, choć płocha Warszawa, dumnie i z godnością szykowała się do obrony: ustały właśnie partyjne i wszystkich wysiłki skierowały się w jednym kierunku — obrony kraju! Warszawa żyła życiem wojskowem, dźwięczała w niej nuta bojowa. Gotowa była w obronie narodowej godności krwi swojej nie szczędzić, by cienie Kielińskiego i Sowińskiego nie potrzebowały się wstydzić, że podła ręka bolszewika splamiła samo serce Polski. Spotykani na ulicach stolicy mężczyźni w sile wieku, ubrani po cywilnemu, obrzucani byli obelżywymi słowami; rzucano im wprost w twarz piekące słowo — tchórz!

Szwadron nasz rozlokował się w koszarach 1 p. szwoleżerów. Stał tam 3 czy 4 dni. Ćwiczeń było mało, dokończano tylko umundurowania i ekwipunku żoł-

nierskiego. Raz zaprowadzono na strzelnicę, gdzie każdy oddał 3 strzały. Karabiny wydano nowiutkie, angielskie, które obliczone na piechura nie chciały spokojnie leżeć na plecach kłusującego, a zwłaszcza galopującego kawalerzysty, wskutek czego obcieranie skóry na plecach było na porządku dziennym. Różnie na to sobie radzono na froncie, ale najlepszym sposobem było zostawienie grzbietu swojego w spokoju, aż wygarbowana skóra przestawała reagować na suwanie się po niej karabinu. Mimo tej wady karabiny angielskie w ogniu okazały się „sympatyczne“ i celne.

Dnia 9 sierpnia szwadron stał na placu gotowy do drogi. D-ca szwadronu zdał raport d-cy kadry majorowi Riss. Major przeszedł przed frontem oddziału, sprawdził szczegóły ekwipunku i pożegnał nas krótko, po wojskowemu: „Powodzenia Szwoleżerowie!“ Tak, po to szliśmy, wiedząc, że tylko zwycięstwo może ocalić kraj przed widmem hańbiącej niewoli. Świadomi byliśmy czekających nas trudności, bo przecież niedaleko paliła się łuna krwawej walki i przeciw nam siedł wróg, który zwycięską drogę znaczył zgliszczami i mordem.

Wiedzieliśmy też, że tam na froncie panuje w polskich szeregach przynębienie, że zatraciła się w odwrocie wiara w zwycięstwo. Na front trzeba było dostarczyć oprócz nowych karabinów i nowych — serc.

Warszawa żegnała szwoleżerów serdecznie. Tłumy odprowadzały nas przez Nowy Świat, Krakowskie-Przedmieście, aż do mostu Kierbedzia. Oczy tego tłumu patrzyły w roześmiane nasze twarze, jakgdyby chciały

upewnić się, że niema w nich lęku. „Niech was Bóg prowadzi — niech żyją ochotnicy“ — tak nas żegnano. Niejedno starcze oko zamglone było łzą, niejedne starcze usta wzruszonym głosem mówiły: „A pamiętajcie, żeście Polakami“. Gdy usłyszałem podobne słowa, doznałem dziwnego wrażenia: jakby odpowiedzialność za kraj zaciężła i na mnie.

„Spełnimy to, co do nas należy“ — rwało się z piersi.

Ze sklepów wynoszono, a z balkonów rzucano nam podarunki: paczki papierosów, słodycze, owoce i kwiaty*).

Z za mostu Kierbedzia ostatnie skierowaliśmy spojrzenia na ozłoconą gasnącemi promieniami słońca — Warszawę.

Mrok nocy zastał nas w lasach, ciągnących się za Pragę. Piasek z chrzęstem obsuwał się z pod kopyt.

Nad szwadronem legła cisza. W mrokach nocy jechaliśmy parę godzin, mijając uśpione wioski, które witały nas tylko trwożliwemi głosami czworonożnych stróżów. Niekiedy zamigotało światło papierosa, lub padły krótkie słowa komendy i stęp przeszedł w klus. Spieszono się.

*) Dostałem paczkę jabłek ze sklepu Br. Czecha, mieszczącego się na rogu A. Jerozolimskich i Nowego Świata.

II. WSPÓŁTOWARZYSZE BRONI.

Zanim zacznę opis dni przeżywanych na froncie, chociaż słów parę poświęcić chcę swoim współtowarzyszom broni, z którymi spędzone razem chwile, stworzyły tak drogie dziś dla mnie wspomnienia.

Czwarty szwadron 201 p. szwol., utworzony w Płocku, składał się przeważnie z inteligencji wiejskiej i miejskiej. Ale obok nauczyciela, urzędnika, ucznia z gimnazjum lub przemysłowca, stał w szeregach — rzemieślnik, obok właściciela folwarku czy zagrody i urzędnika gospodarczego — stał robotnik folwarczny. Wyównały się stany w wyzwolenczej ofierze.

Groza chwili wezwała w szeregi wszystkich, nie tylko ludzi w sile wieku, ale bezmała i dzieci lub siwiejące głowy rodzin. Byli między nam i szesnastoletni (Orłowski Piotr, Grzybowski), oraz i tacy, co dźwigali już parę krzyżyków (Gorczyński senior z Ogorzelic, Waśniewski, Sumiński i inni). Syn stał obok ojca, brat starszy obok młodszego, któremu nieraz brakowało sił do znoszenia trudów frontowych.

Poważny procent stanu szwadronu stanowiliśmy my — sztubacy. Zgromadzeni na dziedzińcu szkolnym,



jednogłośnie powzięliśmy rezolucję, iść do wojska. Ze śpiewem i szczerą radością maszerowaliśmy przez miasto do biur werbunkowych.

Wszystkich zgromadził w wojsku jeden obowiązek, jedna idea, jedna wiara.

Ta ideowość elementu żołnierskiego w formowanym szwadronie, jego gorący patryjotyzm, w przeważnej części wrodzone przymiętanie do konia, wszystko to wyrównywało nieraz braki w wyszkoleniu. A braków tych musiało być dużo, jeżeli zważy się, że okres przygotowawczy był tylko kilkunastodniowy.

Konie dostarczone były przez ochotników, lub dobrowolnie dane przez właścicieli folwarków i drobnych rolników z całej okolicy Płocka.

Formowanie szwadronu w Płocku przeprowadzał rotmistrz Karski, który w osobie Tadeusza Sułowskiego miał pomocnika uczynnego i pełnego zabiegliwości. Ich pracą i energją tworzenie szwadronu szło w szybkim tempie.

Z chwilą wymarszu na front, d-wo szwadronu objął ppor. Zarzycki. Rotm. Karski z powodu kalectwa nogi, nabytej w służbie w Legionach, został w Płocku. Nowy dowódca, małego wzrostu, na swej rosłej mroziastej klaczy, wyglądał jak w perspektywie na obrazku — koń na wzgórzu. Chociaż od czasu do czasu sarkano na niego, odwagą jednak swoją potrafił przekonać do siebie żołnierza.

Szefem szwadronu był Stanisław Gościcki (z Pionczyna), mianowany pod Mławą plutonowym.

Pierwszym plutonem dowodził Adam Gorski (z Malenia). Był on doskonałym typem żołnierza - kawalerzysty; opanowany, a prędko w decyzji i ofiarny w żołnierskim trudzie, kapitałnie nadawał się na dowódcę niedoświadczonych ochotników. Gdy wprowadzał pluton swój w bojową akcję, spokojne zazwyczaj jego oczy, pod gradem kul nabierały ognia.

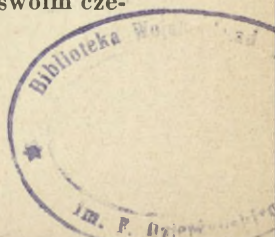
Kapral Mayer Ksawery — nerwus — był jego zastępcą.

Na sekcjach byli: kapral Wierzbicki Zdzisław (z Żoch), Garwacki, Cichowski (z Pilichowa), Gorzechowski Zygmunt (z Gilina), Chrostowski (z Tłubic) i Jabłoński Julusz.

Drugim plutonem dowodził ppor. Kowalski, a po jego bohaterskiej śmierci, krótko podch. Drozdowski, następnie plut. Jan Rościszewski (z Romanowa).

Pluton ten składał się przeważnie z samych sztubaków i młodzieży rzemieślniczej. Stanowił on „demokrację“ szwadronu, twardo trzymaną w rękach plutonowego, który jak od siebie, tak od podwładnych, wymagał sumiennego spełniania obowiązków. Wielki rygorysta, w wykonywaniu otrzymanych rozkazów był bardzo drobiazgowym, aż do najmniejszych detali. Pluton plut. Rościszewskiego poniósł najwięcej strat: 5 zabitych, 3 rannych (30 proc. stanu). Sekcjami dowodzili kpr. Wojciech Litewski (obecny kierownik „Zgody“ w Płocku), kpr. Dzierżanowski z Miszewa, Trompczyński i Jankowski.

Trzeci pluton — na kasztanach—miał na swoim cze-



le ppor. Boichut'a, Francuza, jednego z tych niespokojnych duchów, który musi ciągle czuć koło siebie — śmierć. Ppor. Boichut w boju odważny bez zarzutu, nie był też tchórzem w zdobywaniu niewieścich serc.

Lubił też w czasie walki kłać z polską po francusku; niech tylko któryś z żołnierzy pokpił sprawę, obrywał od niego porządną porcję „polskiej“ francuszczyzny. Zastępcą ppor. Boichut był plut. Węglarz, zawsze opanowany, spokojny, istne przeciwstawienie swego do wódcy.

Sekcjami dowodzili: plut. Chamski Kazimierz (z Drożdżyna, kawaler „Virtuti Militari“), plut. Smoniewski Zygmunt (z Sokolnik), kpr. Grabowski Karol (z Setropia) i kpr. Kulesza Stefan.

O czwartym plutonie, do którego sam należałem wspomnieć chcę nieco obszerniej, ponieważ przeżywane z tymi ludźmi razem wrażenia mocniej wyrły ich postacie w mojej pamięci.

Dowódcą plutonu był podchorąży Protassewicz Zygmunt. Był to chłopak młody, lubiący w wolnych chwilach zabawę, pełen zawsze uznania dla niewieścich wdzięków, chociażby te wdzięki nie miały już pretensji do wdzięku. Ale obok tych „cnót“ pobocznych posiadał dużą dawkę odwagi, nie więc dziwnego, że został niedługo kawalerem dwóch krzyży. Wesół w pogawędce, dzielny, zyskał sobie w plutonie sympatję. Sarkali na niego niekiedy tylko starsi.

Po rozejmie został adjutantem pułku, a potem niedługo przeniósł się do „cywila“.

Zastępcą jego — po odejściu do pułkowych taborów, czupurnego, małego plt. Gaika — był plt. Gnat, chłop tęg, barczysty, z twarzą pucolowatą. Chodził w mundurze luzarów austriackich. Był on naprawdę prawą ręką podchorążego, a niekiedy i dowódcy szwadronu, który był pewny, że plut. Gnat zadanie sobie powierzone wykona zawsze należycie. On pierwszy z całego szwadronu odznaczony został krzyżem „Virtuti Militari“, w listopadzie, na rewji wojsk pod Włodzimierzem Wołyńskim. Jeździł na tęgiej, karogniadej kobyle, wytrzymałej jak on sam.

Pierwszą sekcją 4 plutonu dowodził kpr. Płoski Jan (z Nagórk), a po jego śmierci, nowomianowany za bojowe zachowanie się kpr. Kozłowski Karol (z Cieszewka).

Wyraźnie jeszcze stoi mi przed oczyma smukła postać kpr. Płoskiego, którego twarz była bijącym wyrazem energji i zapału. Zawsze pierwszy był tam, gdzie trzeba było świecić przykładem i żołnierskimi cnotami. Jak w pracy na roli, w pracy ukochanej przez niego całą siłą swej gorącej natury, był ruchliwy i pełen ochoty, tak i w żołnierskiej służbie nie wykazywał nigdy cienia opieszałości i bierności. Krótko był z nami na froncie, bo los żołnierski prędko go dosięgnął, ale przez te parę dni, przeżytych razem, potrafił zjednać sobie przywiązanie i szczerą szacunek u powierzonych mu żołnierzy.

Pozostałymi sekcjami dowodzili: kpr. Przedpełski Zygmunt (z Woli pod Kutnem), kpr. Chelmicki Bohdan (z Kowalk) i, o ile mnie pamięć nie myli, kpr. Za

rzycki Michał (brat porucznika). Kpr. Przedpelski przygarnął pod opiekuńcze skrzydła spokrewnione rodziny Waśniewskich, Szemplińskich i Przedpelskich; kpr. Chelmiński, pełen zawsze taktu, rozważli i obowiązkowości, dowodził przez pewien czas trzecią sekcją, do której sam należałem. Lubiliśmy go za jego bezstronność i sumienność. Kpr. Zarzycki z pod Mławy odszedł wraz z Aleksandrem Sułowskim do kantyny. Podoficerem w plutonie był jeszcze kpr. Wodzyński Julian, przydzielony do pierwszej sekcji. Był on przykładem twardego żołnierza. Z zawodu wioskowy kowal-mechanik, przeszedł wojnę światową w jeździe rosyjskiej. Jeżdżąc często z nim na ubezpieczenia i patrole miałem możliwość poznać go, jako żołnierza. Odwaga kpr. Wodzyńskiego była nieefektywna, ale rozkaz był dla niego rzeczą świętą. Nie słyszałem nigdy z ust jego skargi, nie spostrzegłem nigdy najmniejszej chęci uchylenia się od spełnienia obowiązku.

Kto zaś tworzył w plutonie szarą, żołnierską masę? Znaleźli się tam: dwóch Gerlachów, Sułowski Aleksander, Radzicki (z pod Płońska), Piwnicki (z Sikorza), Łepicki (z Sękowa), Waśniewski L. (z Tupadł), Waśniewski Aleksander (z Giżyna), Szempliński W. (z Rzeczezwą), Szempliński Antoni (z Worowic), Gierzyński (obecny kierownik szkół w Drobinie), Gierzyński t. zw. przez nas „Wołodyjowski“ — dzięki swemu wzrostowi i wąsikowi — (ze Stanowa), Gierzyński Cz. (urzędnik gospodarczy z Tupadł), Gieryszewski (z Druhowa), Przedpelski Bronisław (z Żochowa), Tański (z Kolczy-

na), Rykaczewski, Krajewski (z Junoszyce), Jagnie-
 ża, Kwasieboriski Stanisław (z Wempil), Rudow-
 ski Karol (z Sierpeca), Matusiak, Grzybowski, Śniegoc-
 ki (przyłączył się w Mławie uciekwszy z niewoli), trzech
 Jankowskich (jeden z nich był synem właściciela cukier-
 ni w Płocku, drugi jest obecnie porucznikiem kawalerji
 W. P.; 2 z nich odeszło do plutonu k. m.), Ziółkowski
 (z Gory). Listę zamyka szwol. Krępeć (z Wildna), przy-
 były do plutonu pod Chełmnem. Wniósł on w naszą żoł-
 nierską rodzinę dużo życia, humoru i beztróski. Mając
 łatwość rymowania, zabawiał nas często swoimi wiersza-
 mi, w których opiewał zabawniejsze epizody z naszej tu-
 łaczki.

Nie zginął też pewno z pamięci „czwartaka“ po-
 dzielca plutonu według związków krwi lub sympatji.

Nie zatarła się w jego wspomnieniach ta lub inna
 postać współtowarzysza, która złagodziła mu może znój
 lub głód, albo którą już widział przez zaslonę śmierci
 w świetle kul i gorączce walki. Niejedna postać wcisnę-
 ła się wgłąb jestestwa twego, bo w ogniu była ci bratem,
 sprzymierzeńcem.

Ileż między nami powstało nowych przyjacieli, tam,
 w tej żołnierskiej rodzinie, w chwilach trudu, w oparach
 bitew!

W kancelarji szwadronu urzędował Popkowski
 Zdzisław (z Kaczorów), który na postojach był „skrzyba-
 kiem“, a w akcji musiał łapać wraz z innymi za broń.
 Po zwolnieniu go z pod Mławy funkcję jego objął Ró-
 życki Stefan.

Sanitarjuszem szwadronowym, t. zn. „lapiduchem“, był szer. Dietrich (aptekarz z Płocka), który rannym zakładał prowizoryczne opatrunki; dla chorych zaś miał... aspirynę. Poprzednik jego został ranny pod Płońskiem. Pomocnikiem sanitariusza był szw. Wierzbicki (fryzjer z Płocka), który w wolnych chwilach zabawiał się graniem koleżków.

Pieczę nad lżej chorymi końmi miał szw. Woźniak.

W taborach bojowych siedzieli ludzie starsi (W. Przedpełski, Waśniewski z Płocka — płatnik), którzy z ogromnem nieraz poświęceniem dostarczać musieli w linie prowiant dla żołnierzy i koni, oraz amunicję.

W taborach byli oprócz wymienionych jeszcze między innymi, wachmistrz Koźlakowski z Płocka, Jastrzębski, urzędnik z Płocka, stolarz Czapliński z Płocka, Sądziak (pracownik z fabryki Sarnego). Świetnym prowiantowym był szw. Stanisław Hajdukiewicz (z Płocka). Przedsiębiorczy, nigdy niezmordowany, pełen zawsze inicjatywy i werwy, wypełniał swą funkcję bez zarzutu. Po paru dniach znał swój nowy fach, jakby na niem już zęby zjadł. Pracowitością przewyższał wszystkich, a mocną swą ręką nie tylko potrafił uśmiercać zwierzę, ale i w porządku utrzymać swój „prowiantowy“ oddział. Dzięki jego zabiegliwości, nie było wypadku, ażeby kuchnia nie miała co włożyć do kotła. Pogodną jego twarz zawsze witaliśmy ze szczerą życzliwością. Pod koniec wojaczki był on mianowany dowódcą taboru.

Komendantem taborów szwad. był zmarły niedawno ś. p. Krzymowski P. (z Blichowa). Naznaczony na to

stanowisko mimo osobistego sprzeciwu, twardą swą ręką umiał utrzymać ład i dyscyplinę między niesfornemi taborytami. Pod jego sprężystem dowództwem i tabory potrafiły odpierać szarże kozackie (pod Korosteniem). W szwadronie znalazł się i trębacz, dziesięcio czy dwunastoletni Michałek, który uciekł do nas od Tatarskiej jazdy. Dzieciak ten był wzorem żołnierza i nieraz świecił przykładem. Po wojnie zaopiekował się nim p. Chamski z Drożdżyna.

Niepełne byłyby moje wspomnienia, gdybym nie wspomniał o tych, którzy dowodzili 201-szym pułkiem szwoleżerów.

Pierwszym dowódcą był major Kulesza. Choć w ustach czał się ironiczny uśmiech — z oczu mjr. Kuleszy biła powaga i żołnierska dusza.

Nie przeklinał często, nie robił niepotrzebnego, a tak nieraz denerwującego hałasu, ale jak spojrzał żołnierzowi w oczy i wydał mu rozkaz, to chociażbyś wiedział, że tam, gdzie cię posyła czeka kar. masz. lub dziesiątki szabel kozackich, które na twej skórze wypiszą ci zaświadczenie o wypełnionym rozkazie — nie cofnąłbyś się. Wszystko było ci jedno — co cię czeka, byleś przy zdawaniu raportu znalazł w oczach dowódcy pułku nie-me podziękowanie. Takie wrażenie zrobił na mnie mjr. Kulesza. Niedługo widziałem go na froncie, bo pod Płońskiem został ciężko ranny, ale z kilku fragmentów, w których mogłem podziwiać jego żołnierską postawę i bojowe zachowanie się, oraz z opowiadań innych szwoleżerów, wyrobił się w mojej młodej, żołnierskiej duszy

pewien kult dla dobrego żołnierza i dowódcy. Nie widziałem go nigdy otoczonego liczną świtą, niekiedy z jednym ordynansem zapuszczał się w głąb niezbadanej przestrzeni, mijając nasze wysunięte placówki i patrole.

Po ranieniu maj. Kuleszy dowództwo pułku objął rot. Rudolf Dreszer z I pułku szwol. Nowy dowódca zaprawiony w żołnierskiem rzemiośle w pułku o wspaniałej bojowej sławie, oddanych mu pod władzę ochotników nie zawiódł na pole klęski. Wysoka jego postać zdala już była widoczna, gdy rozdzielał swoje szwadrony, śląc je w bój, lub sam je prowadząc.

Dbały o żołnierza, służbista, jak prawdziwy zawodowy żołnierz, miał respekt u podwładnych mu żołnierskich mas.

Ileż odwagi żołnierza bierze się z męstwa takich dowódców, z uwielbienia tego, który urokiem pogardy śmierci, wskazuje żołnierzowi jego bojowy obowiązek! Jakżeż jasno powinni sobie zdawać z tego sprawę ci, którym oddany został oprócz życia i honor żołnierza!

Minęło kilkanaście lat, losy rozrzuciły ludzi i tylko jak za mgłą widać te szwoleżerskie postacie, z którymi wspólnie znosiło się trudy, cierpiało głód i pragnienie, spełniało żołnierski obowiązek.

Na tle przebytych walk, zaznanych znojów, przeżytych wrażeń, sunie korowód towarzyszy broni, mający we wspomnieniach, oplecionych subtelną czcią i umiłowaniem.

Przeszło, minęło, ale w pamięci nazawsze zostało. Bo to są rzeczy niezatarte, które się pamięta po grób.

III. NA WARSZAWSKIM FRONCIE.

„Do koni“! Ostry i natrętny głos dyżurnych wdarł się w uszy śpiących pokotem szwoleżerów. Ledwo zerwali się z ziemi i zorjentowali się o co chodzi, już padły słowa dalszej komendy: „okiełznać konie — podciągnąć poprzęgi — wyprowadzać“!

Za chwil parę IV szwadron 201 p. szwoleżerów majaczył pod konarami starego parku w Stanisławowie. Późną nocą (z 11 na 12 sierpnia) zakwaterował się pod płotem — ledwo zaczęło świtać, już postawiono go na nogi. Zziębnięty i głodny szwoleżer powoli przypomina sobie, gdzie jest i poco tu się znalazł. Przedwczoraj (10 sierpnia) przywędrował szwadron na front, zrana 11. VIII połączył się z II szwadronem i ledwie nauczysz się wśród marszu wykonywać komendę: „z koni — do boju“, zobaczył zdaleka bolszewików, z którymi I-szy pluton zetknął się bliżej, a reszta szwadronu zaś postrzelała sobie nieszkodliwie, tracąc tylko jednego konia. Po parogodzinym marszu, przed wieczorem odpoczął następnie na rynku w miasteczku Dobre i późną nocą, minąwszy cofające się oddziały piechoty i zaznawszy noc-

nej odwrotowej atmosfery, dotarł do Stanisławowa, pełnego wojska, tętniącego życiem niedalekiej bitwy. Stary park, o którego pnie niejeden szwoleżer wracając ze stodoły z sianem, rozbił sobie głowę, przyciągnął nas gościu nie na noc.

Klepałem szpakówkę, która niespokojnie kręciła się w miejscu, jakby bardzo nierada z tak wczesnego marszu.

Robiło się coraz jaśniej. Jeszcze nie zdążyłem podzielić się nocnymi wrażeniami ze swoim kolegą Karolkiem Rudowskim, gdy przyklusował ppor. Zarzycki; i za parę minut szwadron, rozdzielony na części, ruszył na podjazdy.

Dla orientacji wyjaśnić należy, że II i IV szwadron 201 p. szwol. dostał się pod rozkazy 8 Dywizji piechoty i został przydzielony do straży tylnej, dowodzonej przez pułk. Prohasce. Straż tylna, w skład której wchodziły i 3 bataljony piechoty, miała wstrzymywać nieprzyjaciela i pozwolić dywizji odejść na stanowiska obronne na przedmościu Warszawy. Trzeci pluton naszego szwadronu został odkomenderowany do wsi Puśtelniki, gdzie stał sztab pułk. Prohasce. Dlatego w dniu tym pluton ten nie brał udziału w walkach. Resztę szwadronu, jak już wspomniałem, rozdzielono na trzy części, — z których każda do patrolowania dostała inny kierunek. Pierwszy pluton, pół drugiego i pół czwartego plutonu pod dowództwem ppor. Zarzyckiego ruszyło w kierunku wsi Jakubów; pół plutonu drugiego

pod dowództwem ppor. Kowalskiego do wsi Solk; pół plutonu czwartego z podch. Protassewiczem w kierunku wsi Kamienna.

Ja osobiście znalazłem się w pierwszym podjeździe.

Słońce nie wzeszło, a park już opustoszał. Podjazd ppor. Zarzyckiego skręcił wkrótce z szosy, wjechał na polne drożyny i tak, wijąc się wśród łąk i rżysk, posuwał się w nakazanym kierunku. Słaba mgła wznosiła się nad ziemią, trawy iskrzyły się kroplami rosy; w powietrzu panował zupełny spokój, a ziemia aż pachniała.

Pogodny i cichy sierpniowy poranek nastroił wszystkich jak najlepiej, więc gwarно było w szeregach.

W czasie marszu dowiedziałem się o szczegółach chrztu bojowego, jaki miał wczoraj nasz pierwszy pluton. Plt. Gorski otrzymawszy od mjr. Kuleszy rozkaz okrążenia lasu, zajętego przez piechotę bolszewicką, i zajęcia wsi leżącej na jej tyłach, w celu szachowania nieprzyjaciela w momencie frontowego ataku, przeprowadzonego przez szwadrony, przedostał się niepostrzeżenie poza las i ruszył w kierunku wskazanej mu wsi. Na szpicy jechali dwaj bracia stryjeczni Rościszewscy, Stanisław i Adam (z Dobrsk i Brudzenia), na bocznych ubezpieczeniach Cichocki (brodaczy) i Jabłoński Juljusz. Tył ubezpieczał też jeden szwoleżer. Kiedy szpica wjeżdżała już prawie do wsi, została zasypana kulami z ręcznych karabinów, a na pluton otworzyły ogień dwa karabiny maszynowe, ustawione po obu stronach drogi. Plutonowy nakazał odwrót. Dzięki falistemu terenowi pluton uniknął strat. Padł tyl-

ko koń pod kapr. Mayerem. W olszynie plt. Gorski zatrzymał oddział, czekając tu na natarcie szwadronów, mając już nieprzyjaciela i z przodu w lesie i z tyłu we wsi. Rozstawiwszy posterunki, wysłał szwol. Wierzbickiego Zdzisława z meldunkiem do d-cy pułku, ale szwol. Wierzbicki musiał zawrócić, bo drogę przecięła mu już bolszewicka piechota. Strzały dochodziły od przodu. To szwadrony, leżąc w tyraljerach, ostrzeliwały nieprzyjaciela.

Tymczasem z prawej strony lasu, gdzie skrył się pierwszy pluton, pokazała się ława kozaków. Pierścień zacieśniał się. Plt. Gorski, nie chcąc jeszcze opuszczać stanowiska, w nadziei, że szwadrony zaczną akcję, zmienił tylko miejsca, wykorzystując falisty teren dla ukrycia się przed okrążającymi go oddziałami.

Nieocenioną — jak sam się wyraził — miał przytem pomoc ze swoich dwóch starych towarzyszy broni z 4 pułku ułanów, kpr. Mayera i Jabłońskiego Juljusza.

Nie mogąc doczekać się akcji swoich szwadronów, znalazłszy lukę w pierścieniu otaczających go wojsk, wydostał się nazewnątrz. Luką tą była bagnista łąka.

Dopiero przed wieczorem pluton odnalazł szwadron w miasteczku Dobre. Tu plt. Gorski dowiedział się, że szwoleżer, jadący na jego tylnem ubezpieczeniu, który w pewnym momencie przepadł, zameldował mjr. Kuleszy, że pluton został rozbity, a jego dowódca zginął. Dlatego mjr. Kulesza, otrzymawszy rozkaz nieatakowa-

nia bolszewików, nie przesłał plt. Gorskiemu odpowiedniego rozkazu.

We wsi Jakubów posilił się oddział ppor. Zarzyckiego mlekiem i razowym chlebem. W tejże wsi zastaliśmy śpiącą pod płotami piechotę. Żołnierze spali widocznie w tych miejscach, gdzie zastała ich komenda „stój“, bo tworzyli wprost z boku drogi grupki i gromadki. Nie budzili się mimo hałasu, jaki sprawiała mijająca ich jazda.

Nagle odezwał się plt. Gnat, który wtedy był jeszcze przy d-wie szwadronu: „Na ochotnika 20 ludzi — na dalszy patrol“. Amatorów obejrzenia zbliiska bolszewików znalazło się sporo. Komendę nad świeżo utworzonym oddziałem objął podchorąży Drozdowski. Za wsią Jakubów wysłano ubezpieczenia. Minęliśmy następną wieś i, jadąc dalej przez ściernisko, porośnięte seradelę, zobaczyliśmy okopiki naszej piechoty.

Każdy z żołnierzy wykopał sobie dołeczek na tyle tylko szeroki i głęboki, ażeby zmieściło się w nim jego grzeszne cielsko i, położywszy przed sobą karabin, leżał i czekał, kiedy los mu ześle nieprzyjaciela.

Wprawo na wzgórkę stała grupa oficerów i coś przez lornetkę pilnie obserwowała. Na przedpolu piechoty znajdowała się długa wieś, ciągnąca się prostopadle do jej frontu. Szpica i boczne ubezpieczenia (szwol. Rykaczewski) pilnie wyteżały wzrok. Ale nigdzie nie podejrzanego nie było widać. Przy końcu wsi podchorąży częścią jeźdźców ubezpieczył się, z resztą zaś wjechał do zagrody i kazał przynieść koniom siana.

Placówki, uważnie patrząc przed siebie, gdzieś z боку zobaczyły paru jeźdźców, ale niedoświadczone oko ochotników nie umiało stwierdzić, czy to był naprawdę nieprzyjaciel. Po drodze, wysadzaney wierzbami szło paru ludzi w stronę wsi. Clapali wolno, rozmawiając między sobą. Pnie drzew utrudniały orjentację. Wtem stanęli, przyjrzeni się szwoleżerom i momentalnie oddali strzały. Kozacy, jadący polem, ruszyli kłusem, a zdala pokazała się kolumna piechoty.

Strzały zastały mnie w stodole, gdzie siłą brałem siano. Tak, siłą — to było bolesne: w obliczu wroga, żałowano garści pożywienia dla konia polskiego żołnierza, który lada chwila mógł życiem zapłacić swój dług wobec kraju.

Dopadłszy konia, nie zastałem już nikogo w podwórku, bo podchorąży dał rozkaz odwrotu. Drżącemi rękami odwiązałem szpakówkę od płota i wskoczyłem na siodło. Gdy wypadłem na drogę i obejrzałem się, zobaczyłem rozwijającą się tuż piechotę i sunących przez pola konnych. Posypały się za mną nowe strzały, ale wszystkie kule szły za wysoko.

Ochłonęliśmy prędko i na miejsce lęku wystąpiło uczucie wstydu. Podchorąży dał znak i oddział przeszedł w stępą. Minęliśmy okopy naszej piechoty. Szwoleżerskie miny były kiepskie, bo przecież każdy myślał, że trochę zaszczytniejszą będzie spełniał pracę, aniżeli pokazywanie bolszewikom ogonów swoich koni. Z pewną niechęcią rozmawialiśmy o podchorążym, który może

i nic nie był winien naszej rejteradzie. Ale myśmy mieli żal, że pierwsze spotkanie było nie „szwoleżerskie“.

Na skraju wsi leżał folwarczek, gdzie stanęliśmy. Jeden z nas zawiózł meldunek do ppr. Zarzyckiego, który został we wsi Jakubów. W dworku nie było nikogo, prócz starszej gosposi, która przyjęła nas bardzo serdecznie, karmiąc całą zawartością swojej spiżarni. Koniom gumienno sypnął owsa. Niezadługo rozległy się strzały. Karabin maszynowy, ustawiony z boku stodoły na piwnicy do ziemniaków, zaczął parkotać; po linii słychać było odgłosy strzałów coraz bardziej natrętnych, niecierpliwych. Kule nieprzyjacielskie górowały ponad podwórkiem, tylko nieliczne dziurawiły drewniane ściany, lub ze stukiem uderzały o ceglany mur.

Z ciekawością patrzyliśmy na przedpole, gdzie nasza piechota wstrzymywała nieprzyjaciela. Niedługo trwała pukanina i wkrótce piechota zaczęła opuszczać swoje nikłe okopiki, cofając się do nas. Łącznik doręczył rozkaz podchorążemu, który skierował swój oddział poprzez ogrody na drogę do wsi Jakubów. Razem z nami cofała się piechota. Odwrot osłaniał specjalny pluton.

Pierwszy raz miałem możność przyjrzeć się polskiej piechocie wprost w linii. W podartych mundurach, często bez butów maszerowali nasi piechurzy, ale miny mieli dobre. Przyznać się muszę, że nie wyglądali na żołnierzy, beznadziejnie cofających się setki kilometrów, na żołnierzy, ogarniętych lękiem odwrotowym, śpieszących, byle jaknajprędzej dostać się — za Wisłę. Możli-

we, że do osłony odwrotu dywizja przeznaczyła swoje najlepsze bataljony.

Cofając się ku wsi Jakubów, znowu rozmawialiśmy o tem, poco właściwie ustępujemy, kiedy wróg zbyt nie napiera; czyżby nie można było spróbować swoich sił w krwawszej walce? Dopiero w przyszłości, gdy jako podchorąży studjowałem dzieje wojny polsko - bolszewickiej, zrozumiałem, dlaczego tak łatwo oddawaliśmy ojczyste łany, leżące już prawie na przedmieściach Pra-gi; w dniu 12 sierpnia były to ostatnie odwrotowe marsze przed zajęciem pozycji na przedmościu Warszawy. W tym czasie szykowało się druzgoczące uderzenie polskich pieszych dywizji z rejonu Dęblina. Klinowe cofanie się pod Warszawę miało swój cel strategiczny, o którym przecież nie wiedział ani szwoleżer, ani piechur, cofający się szerokim, piaszczystym traktem ku wsi Jakubów.

Przed wsią reszta oddziału por. Zarzyckiego leżała w tyraljerze. Gdy doszła do niej piechota, — szwoleżerzy dosiedli koni. Ledwo podchorąży Drozdowski zameldował się d-cy szwadronu, już plt. Gnat zostaje wysłany z 3 ludźmi na spatrolowanie prawego boku wsi. Ruszyliśmy z miejsca klusem. Przejrzelśmy zagajnik brzozowy, łączkę, olszynę i plt. Gnat wysłał jednego z meldunkiem, a z pozostałymi stanął na skraju zagajnika. Spokój plutonowego udzielał się nam, młodym żołnierzom. Byliśmy dumni i szczęśliwi (zdaje mi się, że był ze mną szwol. Jankowski), że znów jesteśmy „czynni“. Z bronią gotową do strzału pilnie patrzyliśmy na

pobliski las, skąd dochodziły strzały. Z tego to lasu wysuwać się zaczął po paru minutach oddział piechoty... naszej. Piechota cofnęła się tuż koło nas; z lasu, z którego wyszła, dochodziły jednak wciąż strzały. Kulki zaczęły bzykać gdzieś górą. Nie upłynęło dziesięciu minut, gdy znów z lasu wynurzyły się postacie. Była to tylna straż oddziału, który przed chwilą przechodził obok. Zaimponował nam ten karny, bitny oddziałek i jego bojowy oficer. Tyraljera cofała się powoli, co jakiś czas odwracała się i kulą wstrzymywała wroga. Odgłos komend i rozkazów wydawanych przez dowódcę dochodził do uszu naszych, a wykonywanie ich było sprawne, jak na placu ćwiczeń.

Z lasu zaczęli wypadać bolszewicy w coraz większej ilości—a polscy piechurzy ustępowali wolno i spokojnie.

We wsi nie zastaliśmy już polskiego wojska, a linja piechoty bolszewickiej była tuż. Szła ona poprzez pola, bez wielkiego pośpiechu. Dojrzeć mogliśmy u sowieckich żołnierzy nawet twarze i nędzny stan ich mundurów.

Przejechawszy wieś, dołączyliśmy się do swojego podjazdu, który posuwał się stępą. Na lewo od nas szły gromadki piechoty i stała armata, która, ugrzązłszy w piasku, nie mogła się z jego czeluści wyrwać. Zgrzane konie w nerwowych skokach rwały postronki, a ręce kanonierów już z wysiłku ustawiały. Oficer zniecierpliwionym głosem wydawał rozkazy, oglądając się raz po raz w tył. Dopiero przy pomocy piechoty działo dostało się na twardszy grunt.

Oddział ppor. Zarzyckiego skręcił tymczasem w prawo, kłusem popędził ścieżyną, wpadł następnie między jakieś zagrody i zatrzymał się dopiero na podwórku opustoszałego folwarczku. Nie było tam żywej duszy; dworek stał pusty, bezpański, budynki pozamykane, nigdzie śladu człowieka. W stajni zarząły konie. Na podwórku byliśmy tyle czasu, ile potrzeba na złapanie konia w stajni dla zamiany na kulejącego szwoleżerskiego. I znów pędzimy dalej, bo łącznik od piechoty doręczył nowy rozkaz. Między opłotkami widzimy gotową do marszu piechotę. Nagle porucznik skręca z drogi, prowadzi nas przez mały strumyk i tam, zawracając się do wsi Jakubów (?), rozsypuje nas po polu.

„Szable w dłoń!“ Szarża, pierwsza szarża! Ten zwycięski pęd naprzód, ten dumny sen żołnierskich nocy, marzenie młodocianych lat — ziściło się. Serce zabiło ze wzruszenia, w podzięcie załomotało coś w piersi. Rozgorączkowane oczy chciały odnaleźć tam, hen, pod wsią nieprzyjaciela, chciały go ujrzeć, bliskością jego rozpałić pragnienie walki. Ale... o bolesne rozczarowanie: moskał gdzieś zginął i żadne oko odnaleźć go nie może.

Tylko karabiny jego zaczęły pracę; kule bżykały natrętnie. Krasnoarmiejcy rozmieszczeni około zabudowań wsi, byli dla nas niewidoczni. Szarżuj tu na same kule!... Lepsze to były czasy, kiedy żołnierz, rozgrzany bliskością nieprzyjaciela, jadąc ramię przy ramieniu, kruszył kopję lub szczybił miecz swój o pancerz przeciwnika.

Porucznik daje kierunek — konie napierane ostro-

garni mkną całym pędem; słychać tylko ciężki ich oddech, widać przed sobą skulone uszy, wyciągniętą szyję.

Kule sypią w górze, po bokach. Mimowoli mrużą się oczy.

Naraz odezwały się karabiny maszynowe i konie zaczęły skłębiać się; w prawoskrzydłowym pierwszym plutonie rannych zostaje 11 koni, czyli około 20 procent szarżujących. Porucznik doszedłszy do wniosku, że nieprzyjaciół ukryty za zabudowaniami jest niedostępny dla jazdy, która zanim dosięgnie go, może stracić wszystkie konie, skręcił skrzydłami w bok.

Ledwie wpadliśmy za zagrodę samotnie z boku stojącą, pada komenda — „z koni — do boju!”

W parę minut potem, leżeliśmy na polu.

Po lewej ręce miałem Karola Rudowskiego, za nim Bronisława Przedpełskiego, po prawej Kazimierza Płoskiego z pierwszego plutonu, który przywiózłszy meldunek do ppor. Zarzyckiego, został między czwartym plutonem. Linja nasza otworzyła ogień na wieś. Spoczątku ochotnicza brać zbyt nisko trzymała głowy przy ziemi i kulki słała przeważnie w niebieskie okno. Powoli jednak szwoleżerowie przyzwyczajali się do lecących kul, zwłaszcza, gdy stwierdzili, że lecą one conajmniej o parę cali za wysoko.

Ppor. Zarzycki i plt. Gnat dawali nam dobry przykład, jak zachowuje się żołnierz w obliczu niebezpieczeństwa: chodzili wzdłuż linji, poprawiali celowniki, udzielali rad i uwag.

Gdy kule gęściej sypnęły, garbili się tylko trochę, głowy wtulały im się mocniej w ramiona, ale nie szukali ukrycia przez położenie się na ziemi.

Patrząc na nich, tem śmielej podnosiliśmy głowy, tem dłużej zostawał karabin przy oku.

Po kilkunastu minutach zaczęliśmy się posuwać skokami naprzód. Szło to zupełnie sprawnie. Gdy nikomu z nas nic złego się nie stało, linja szwoleżerska ożywiła się gwarem rozmów. O kilkadziesiąt metrów zmniejszyła się odległość między nami, a nieprzyjacielem, ale tego ostatniego jeszcze nie mogliśmy ujrzeć. Tylko liczne kule, co z niej leciały, świadczyły o jego tam obecności. Plt. Gnat ze szwol. Płoskim Kazimierzem, który zgłosił się na ochotnika, jeszcze sami posunęli się trochę do przodu, gdy nagle padł rozkaz — „do koni!“ Cofaliśmy się biegiem. Podobno tak zawsze bywa z młodym żołnierzem: naprzód idzie śmiało, do tyłu uchodzi z lękiem. Nieprzyjaciół, jak tylko zobaczył nasz ruch do tyłu — odżył. Ze wsi wysunął się oddział jazdy, którego białe konie wyraźnie odcinały się na tle domów i zieleni drzew. Piechota sowiecka zaczęła zbijać się w gromadki, widocznie szykując się do marszu.

Nasi konowodzi stali w lesie, położonym z tyłu pola walki. Górujące kule, dziurawiąc wierzchołki drzew, musiały w lesie sprawiać silny huk, bo konie były mocno zdenerwowane. Przez cały czas mojej wojaczki wykręcałem się od roli konowoda, bo zawsze wołałem mieć do czynienia z sobą samym w bliskości bolszewika, aniżeli gdzieś z tyłu z czterema niespokojnymi rumakami.

W lesie — na koń! Ale nie wszyscy. Plutonowy Gnat zatrzymał szwol. Rudowskiego i mnie w celu od-
dania kilkunastu strzałów do kolumny nieprzyjaciel-
skiej jazdy. Oparłszy się o pień, kropimy raz poraz.
Strzały dawały tak silne echo, że zupełnie ogłuchłem.
Z ruchów ust mogłem tylko wnioskować, że plutonowy
kłął. Wreszcie i my dopadliśmy koni.

Podjazd zdążył w stronę Stanisławowa. Od nieprzy-
jaciela oddzielił się smugą lasu.

Nie zdążyłem zanalizować przebytych przed chwi-
lą wrażeń, a już plutonowy wysłał mnie na szpicę. Na
prawem ubezpieczeniu jechał szwol. Wierzbicki Zdzi-
sław. Widocznie obawiano się, że nieprzyjaciel mógł już
zdążyć nas obejść.

Gdy otrzymałem rozkaz, zakląłem z cicha, bo przy-
znać się muszę, że parokrotne obcowanie z kulami, osła-
biło moje nerwy. Szpakówka też nie miała ochoty wyjść
z szeregu. Dopiero ostrogi wypchnęły ją na czoło od-
działu.

Szpica! Ileż wrażeń i emocji łączy się z tem słowem,
ile lęku... dumy i radości! Samotność, broń gotowa do
strzału, wzrok wyteżony, czujny na wszystkie strony,
ucho czule na wszelkie szmery, nerwy skupione, napię-
te, jak cięciwa łuku — to szpica!

Świat wygląda dla ciebie wtedy inaczej, odmiennie
niż zawsze. Zda ci się, że jesteś na staconym posterun-
ku, żeś poto tu sam oddalony, ażeby reszta kolegów mo-
gła czuć się bezpieczniej, raźniej, weselej. I wszystko to,
mimo, że serce się tłucze, napęłnia cię uczuciem rado-

ści i... wdzięczności; tak, wdzięczności, że przecież two mizerne życie na coś się przydaje; teraz właściwie ma ono taki jasny wyraźny cel. Strzał, skierowany do ciebie z ukrycia, będzie ostrzeżeniem i rozkazem dla dowódcy, dla ciebie może cierpieniem ran, a może i — ostatnią kulą. Nie bój się siwka, stąpaj śmiało, wszak polska to ziemia, rodzinne łany. Zginiesz, to i cóż? Żle ci będzie? Zostaniesz wśród polskich, cudnych niw, które szumem miłosnej pieśni uspią cię do wiecznego snu!...

Nie bój się, bo „tam“ pewno jest inaczej, lepiej, spokojniej — dla tych, co tu na ziemi wypełnili po kres swój życiowy obowiązek.

Klepałem siwą po szyi tak długo, aż uspokoiła się i chrapami nie węszyła powietrza.

Słońce rzucało ostatnie swe blaski, gdy zdala zobaczyłem Stanisławów, a z niego wychodzącą jazdę, zmierzającą na zachód: polskie powiewały chorągiewki.

Czwarty szwadron zebrał się bez trzeciego plutonu, który, jak już zaznaczyłem, stał we wsi Pustelnik. Odrazu rozeszła się wieść o stratach, jakie poniósł patrol podch. Protassewicza i ppor. Kowalskiego.

Patrol podchorążego stracił jednego człowieka: przy wjeździe do wsi Kamiennej, tuż za mostkiem, ostrzelony został nagle z przydrożnej zagrody, z odległości kilkunastu metrów, jadący na szpicie, kpr. Jan Płoski. Ranny padł razem z koniem na ziemię i dostał się do niewoli. Szwol. Gerlach Zygmunt, który jechał obok niego, cudem ocalał, mimo licznych kul, którymi obsypał go karabin maszynowy. Końskie zdrowe nogi

unióły go do swoich. Patrol szwoleżerów ostrzeliwany silnym ogniem, musiał się cofnąć i nie zdołał odbić z rąk wroga rannego kolegi, który i tak nadludzkim wysił-



Kapral Jan Płoski.

kiem, mimo upływu krwi, broniąc się, próbował uciekać, ale nowe kule dosięgły go i obezwładniły.

Przy późniejszych badaniach mieszkańców wsi Dobre, okazało się, że tego dnia widzieli na rynku w rękach bolszewickich rannego ułana.

Jedna chwila i parę ołowianych kul przecięło pasmo życia, życia tak drogiego dla tych, co na świat je wydali i już mieli się cieszyć jego pracą, tak jak dotąd cieszyli się jego młodocianą radością i zapalem.

Prawdą jest, że śmierć na polu walki jest najstraszniejsza — dla bliskich. Dla tych co giną, jest tylko najszczytniejszem zakończeniem życia.

Ból, który szarpnął sercami rodziców, złagodzony był tem przeświadczeniem, że przecież syn ich zginął dla tej samej Polski, dla której oni całą swą młodość sterali, której oddali swego życia trud. Na poświęceń ołtarzu złożyli największą ofiarę, ofiarę z drogiego im życia.

Podchorąży Protassewicz, spieszywszy swój oddział, przez parę godzin wstrzymywał nieprzyjaciela, który w sile kilkudziesięciu koni, wspierany dwoma k. m., starał się go zepchnąć z bronionego wzgórza.

Oskrzydlony, nie mając już amunicji, rozpoczął wreszcie podchorąży odwrót.

Patrol ppor. Kowalskiego zostawił na polu walki 3 zabitych; zginął sam porucznik, szwol. Krosnowski i Pawłowski (pracownik p. Hajdukiewicza z Płocka).

Przebieg walki był następujący. Por. Kowalski przeszedłszy w 24 konie rzeczkę Rządę, dotarł do wsi Dobre. W starych okopach za wsią, poza cmentarzem, zostawił porucznik dwudziestu ludzi na placówce, sam

zaś z czterema pojechał w kierunku wsi Rynia. Dowództwo placówki zdał płt. Janowi Rościszewskiemu, któremu też polecił wrazie silnego naporu cofać się na Stanisławów. Po dwóch mniejwięcej godzinach zobaczył płt. Rościszewski w odległości półtora klm. kozackie patrole i kolumnę piechoty. Wysłany patrol z 3-ch ludzi został ostrzelony i cofnąć się musiał, mając za sobą goniących go kilkudziesięciu kozaków. Inny ich oddział zaczął zachodzić z ukosa. Widząc ten ruch płt. Rościszewski wycofał się w pełnym galopie najpierw do wsi Dobre, a następnie do małego lasku, leżącego przy trakcie stanisławowskim. Tu skrył patrol, wystawił pieszą czujkę i, obserwując pilnie przedpole, oczekiwał na przybycie dowódcy. Szwoleżer „czujka“ mógł tylko od czasu do czasu dojrzeć w niedalekiej wsi, między jej zagrodami, przemykającego się chyłkiem kozaka. Czy we wsi czaiło ich się kilku tylko, czy cały oddział — trudno było stwierdzić.

Po pół godzinie od strony wsi doszły strzały. Płt. Rościszewski przypuszczając, że to walczy porucznik, ruszył półplutonem na pomoc. Niestety, okazała się ona niemożliwa. Kilkakrotnie liczniejszy nieprzyjaciel zasypał ze wsi, szwoleżerów gradem kul. A porucznik Kowalski staczał wtedy swój ostatni, śmiertelny bój. W powrotnej drodze, widząc, że okopy, gdzie zostawił swój oddział, są puste, chciał się dostać do traktu stanisławowskiego. Ale zamiast okrążyć laskami, skracał sobie drogę na przełaj poza samą wsią. Przy jej końcu został zaatakowany przez przyczajonych we wsi kilkudziesię-

ciu kozaków. Wywiązała się walka na krótką broń, którą porucznik przyjął. Kule kozackie zasypały garstkę naszych, która nie zrażona tem, śmiało stawiała czoło, kładąc trupem paru kozaków. Porucznik (jak opowiadał mi naoczny świadek) ranny, ociekający krwią, drogo sprzedawał swoje życie. Padł wreszcie, przeszyty paroma kulami. Szwoleżer Krosnowski, któremu zabito konia, schronił się pod przydrożne drzewo i tam, broniąc się do ostatniego ładunku, został wkońcu zastrzelony prawie już w oczach nadbiegającego plutonu. Zginął też szwol. Pawłowski. Dwóch pozostałych wybawił od śmierci plt. Rościszewski, który jednak został spędzony z pola przez chmary kozactwa. Na placu boju zostały trzy szwoleżerskie ciała i paru kozaków. Dziwnym trafem trzy konie po zabitych kozakach przycwałowały za szwoleżerami i oddały się w niewolę. Prawie do wieczora plt. Rościszewski trzymał jeszcze placówkę przy moście, opuszczonym przez pluton naszych k. m. Na zachód słońca przybył dopiero do Stanisławowa.

Porucznikowi Kowalskiemu spełniły się pragnienia wypowiedziane poprzedniego dnia:

„Nie życzę sobie sławy, ani krzyży, ale chcę tylko być wzorem żołnierza dla tych, którym przewodzę. A jeśli los śmierć żołnierską mi ześle, to chcę umrzeć tak, ażeby oni mieli przykład, jak Polak na polu walki umiera“.

Pamiętam dobrze wysoką, smukłą postać porucznika Kowalskiego, który surowym był dla podwładnych, ale niemniej surowym i dla siebie samego. W jego twar-

dej, bohaterskiej duszy gorzały szlachetne ognie, które kazały mu nie unikać śmierci. Nie badał, nie filozofował, nie szukał w wyzwolenczej walce pośrednich dróg, ale w poczuciu wielkości sprawy i honoru żołnierskiego ofiarne i śmiało oddał swe życie, wierząc, że nie na marne pójdzie trud jego śmierci.

Nieznany przez ogół — dla nas kolegów - żołnierzy śp. por. Kowalski jest prawdziwym bohaterem.

Gdy wszystkie patrole zjechały się pod Stanisławowem i z opowiadań dowiedziano się o stracie czterech kolegów, jakieś przygnębienie padło na szwadron: ten stracił brata, tamten dobrego przyjaciela. Los żołnierski ma swe twarde prawa.

Stanęliśmy za torem kolejowym, na podmokłej łące, przy samym przejeździe kolejowym. Grupka wyższych oficerów stała obok, prawie nieruchomo. Twarze ich nie zdradzały nic dobrego. Co chwilę podsuwali sobie pod brodę mapy, jakby w nich leżała cała ich troska. Tuż za torem, na wydmy piaszczystej, pomiędzy paroma skarłalemi sosnami, czaił się karabin maszynowy.

Ludzie legli pokotem obok swych koni. Nikt nie gawędził, a przebyty dzień był jak za mgłą. Gdzieś — w głębi jestestwa... coś zmieniało się; jakieś nowe prawdy ogłaszały swoją władzę.

A teraz spać! Spać mocno, mimo, że plecy wilgotnieją od mokrej łąki.

Mrok miał lada chwila zapaść, gdy poderwany rozkazem szwadron ruszył. Koło wsi Pustelnik minęliśmy dwóch braci Orłowskich, stojących na placówce. „Serwus

Orzelki!“ padało pozdrowienie z maszerującej kolumny, skierowane do braciszków, którzy jak na ławie szkolnej, tak i na froncie zawsze byli razem. Szwadron nasz miał za zadanie nawiązać łączność z 60 p. p., znajdującym się w rejonie Dębe - Wielkie. Naturalnie, żeśmy o tem dowiedzieli się dopiero rano. Obecnie — otaczała nas tajemnica.

Noc zapadła zupełna, gdy znaleźliśmy się w lesie. Na przodzie szedł trzeci pluton, który dołączył do szwadronu. Szpice prowadził kpr. Grabowski Karol. Co jakiś czas kolumna stawała, szła od czoła cicha komenda i wszyscy walili się jak kłody na piaszczystą drogę, by znów za chwil parę znaleźć się na siodłach. Spać chciało się piekielnie, zmęczenie łamało kości. Nagle ciszę nocną przerwał wystrzał armatni; gdzieś głucho odezwało się działo; świst szedł ponad lasem i upadł w lewo od nas. To nasza ciężka artylerja posyłała pozdrowienie bolszewikom. Leciały pojedynczo pociski w odstępach paru minut. Od czasu do czasu doszło przytłumione, dalekie grzechotanie karabinów maszynowych.

Potem nastała cisza.

Droga musiała być niepewna, bo często stawano, wysyłano zwiady, badano. Po omacku, poprzez gęstwinę przedzierali się szperacze. Powoli oczy nasze nauczyły się widzieć pośród mroków, a uszy odróżniać szmery leśne. W pewnym momencie zamajaczyło między drzewami światelko. Była to samotna willa.

Kpr. Grabowski zasięgnął od dwóch pań, właścielek willi, garść wiadomości o drodze i za przewodnika w dalszym marszu dostał stróża z tejże willi. Cała ta nocna eskapada otoczona była dziwną tajemniczością, potęgowaną czarem nocy, która okryła szczelnie oddział jazdy. Nie wolno było rozmawiać, ani palić.

Przejaśniało się, gdy szwadron wydostał się z lasu i minął się z innym oddziałem jazdy, który wszedł sko-
lei w czelusć leśną. Czuwano.

Wtem, po lewej stronie zamajaczyły w polu jakieś postacie; przytulały się do ziemi, by nagle wykonać skok do nas. Ten i ów sięgnął po broń; z czoła szwadronu nie padały jednak żadne rozkazy. Gdy skulone postacie znalazły się bliżej nas, rozpoznaliśmy w nich własną piechotę. Było to boczne ubezpieczenie pułku piechoty, który maszerował szosą przez Dębe-Wielkie. Chociaż obdarty, trochę bosy, wyglądał bitnie. Twarze opalone, wypłowiałe mundury, świadczyły o długiej jego wojaczce. Ubezpieczony — doskonale. Był to, zdaje się, któryś z pułków ósmej dywizji piechoty, dywizji, wyróżnionej w rozkazach Naczelnego Wodza.

Śpieszony nasz szwadron, rozsypał się po torze kolejowym. Rozkaz nakazywał „pilne“ obserwowanie przedpola. Dlatego rozstawiano nas po dwóch.

Na prawem skrzydle, tuż za ogródkiem stacyjnym, ja! o ostatni zająłem stanowisko wraz z Karolem Kozłowskim, przyszłym kapralem i kawalerem Krzyża Walecznych.

Promienie słońca, jasność dnia, stanowiły taki kon-

trast z tajemniczością przebytej niedawno nocy, iż zdało się nam, że obecnie niczego obawiać się nie potrzebujemy.

Przed oczyma naszymi rozpościerały się gołe pola, niczem niepokryte, przechodzące w łąki, które kończyły się hen, gdzieś smugą ciemnego lasu. Dębe - Wielkie! Świadek wspaniałych bojów, w których nasi dziadowie, łamiąc moskiewskie rotę, pokazali światu, jak cenią wolność i honor.

Przeszły lata: huragany dziejowe zdeptały niejedną świętą sprawę, splugawiły niejedną świętą ideę, poszarpały niejedną wolności sztandar, niejedną duszę spodliły i na Gólgotę hańby ją zaprowadziły, morze krwi przełwały, morze łez z oczu matek wycisnęły. Ale przyszła chwila, gdy z zawieruchy tytanicznych mordów, co rozszalała się nad nad Europą, wyszły szare, polskie piechury, zakraśniały rabaty szwoleżerskie, zatrzepotały chorągiewki polskich ułanów. Rozszalał się znów bój. I oto na polu walki swych ojców, stoi żołnierz polski, z karabinem gotowym do strzału, ze wzrokiem utkwionym w dal, gdzie czai się wróg.

Od strony Warszawy nadciągnął pociąg pancerny i wolno podążał w kierunku nieprzyjaciela. Nie bardzo miał on minę „pancerną“, bo przeważnie składał się z wagonów towarowych, które za pancerz dostały worki z piaskiem. Z nad ścian wyglądały karabiny maszynowe, ustawione na wysokich nóżkach.

Zaraz po przybyciu szwadronu do Dębe - Wielkie, zostały wysłane z trzeciego plutonu, jako służbowego,

dwie patrole w kierunku nieprzyjaciela. Jeden z nich, w składzie tylko trzech ludzi: szwol. Kocięckiego, Winnickiego i Orłowskiego Piotra, przyłapał w pierwszej zagrodzie wsi Cyganka dwóch piechurów bolszewickich, których przyprowadził do ppor. Zarzyckiego. Jeńcy zeznali, że we wsi kwateruje cały ich bataljon. Dla sprawdzenia powyższej informacji, podporucznik rozkazał kapralowi Grabowskiemu udać się jeszcze raz do wsi Cyganka. Kpr. Grabowski, wzięwszy dwóch ludzi: Tad. Zawidzkiego i Annasiewicza, okrążył wskazaną mu wieś i wjechał do niej od tyłu. Powyższy manewr okazał się skuteczny, bo bolszewicy nie przypuszczając, ażeby z tej strony mogły pokazać się polskie patrole, nie wystawili tu placówki, co dało możliwość kpr. Grabowskiemu wjechać między opłotki wsi i ujrzeć kręcące się w dalszych zagrodach, gromadki piechurów. Niespostrzeżony, wycofał się, by potwierdzić przed dowódcą informacje uzyskane od jeńców.

Okolo godz. 13-ej ściągnięto z toru plutony.

Trzeci pluton wydzielił straż tylną pod dowództwem kpr. Grabowskiego, która cofnęła się dopiero po ostrzeleniu patrolów kozackich i tyraljery rosyjskiej piechoty.

Minęliśmy niedługo okopaną własną piechotę, której gorliwa placówka, jadącemu na bocznym ubezpieczeniu szwol. Cichockiemu z pierwszego plutonu, zabiła konia. Duża broda, jaką nosił szwol. Cichocki, upodobniła go widocznie do kozaka, za którego wziął go nasz piechur.

Dalszy marsz wypadł przeważnie na przełaj poprzez

pola, łąki i zarośla. Ubezpieczenia wysyłane były na wszystkie strony. W czasie tego marszu zjawiał się d-ca 201 p. szwol., który jak nagle przybył, tak i nagle znikł.

Na jednej z łąk ledwośmy nie potopili koni.

W jakiejś wiosce szwadron zatrzymał się, a pół drugiego plutonu pod d-wem podchorążego Drozdowskiego wysłano na podjazd. Zaraz za wsią natknął się podchorąży na obozujący w lesie bataljon piechoty sowieckiej, który zmusił go do odwrotu. Nadjechał łącznik i szwadron ruszył.

Była już chyba godzina 4 — 5 popołudniu, gdy dojechaliśmy do stałej pozycji polskiej; rozstawiono druty kolczaste, aby przepuścić oddział jazdy. Za nami, trop w trop szły już silne patrole rosyjskiej piechoty.

W okopach siedzieli piechurzy, dobrze umundurowani i wyekwipowani. Wrażenie robili bardzo dobre. Możliwe, że „pozory“ stałej pozycji dodawały im jeszcze ducha, a znalezienie się, po kilkutygodniowym odwrocie, wśród ustawicznych walk, za mocniejszą zaporą oddziało dodatnio na wzmożenie ich sił. Akurat zjadali obiad. Były to pułki ósmej dywizji piechoty.

Zaraz za okopami była duża wieś, czy miasteczko Okuniew.

Tu znalazły się już pozostałe szwadrony 201 p. szwoleżerów.

Płocki szwadron rozkwaterował się w ogrodzie miejscowego ks. proboszcza, z którego widać było wzgórze piaszczyste, gdzie biegła linja obronna.

Za kilkadziesiąt minut nieprzyjacieli nawiązał łączność: odezwały się c. k. m.

Po nakarmieniu szpakówki, udałem się do najbliższych zagród po kawałek chleba, ponieważ kuchnia marudziła jeszcze z obiadem. Miasteczko miało przygnębiający wygląd; sklepy pozamykane, a woczach mieszkańców — niepokój. Rynek zapchany wojskiem, pełno wszędzie żołnierza i taboru, pełno ruchu i wrzawy. Przebiegający łącznicy, śpieszące gdzieś oddziały, rozstawione plutony c. k. m., skryte pod ścianami wozy ambulansowe, wszystko to stwarzało atmosferę frontową. Górą już bżywały kule. Zaszedłem do starszego wiekiem nauczyciela, gdzie dostałem kubek herbaty wraz z kawałkiem chleba, oraz kilka gorzkich słów za nasz dotychczasowy odwrót. Na zapytanie: „czy i nas opuścicie“? wstyd pokrył mą twarz purpurą. I tam, do tych, którzy spotykali nas z obojętnością lub nawet z nienawiścią w oczach, tam skierowałem po odpowiedź starca, który musiał patrzeć ze łzą w oku, z niemym bólem na odwrót polskich sztandarów. Wyjaśnić mu musiałem, że w niejednym sercu został jeszcze jad niewoli, co duszę zatrul, a z rąk wytrącał karabin.

Jednak Okuniew nie miał dostać się w ręce bolszewickie, bo oto rozpoczęła się ostateczna walka. Rozgorzał bój na przedmościu Warszawy. A z rejonu Dębłina szykowały się, pod d-wem Marszałka Piłsudskiego, piekne dywizje, mające uderzyć w kierunku na Siedlce — Brześć. Zaś V-ta armja gen. Sikorskiego 15 sierpnia przeszła do ataku z linji rzeki Wkry.

Nadszedł czas, kiedy należycie przegrupowane wojsko polskie miało pokazać biernej Europie, Europie „dyplomatce“, że potrafi zwyciężyć dumnego wroga, który, zaślepiony chwilowem powodzeniem, sądził się już panem — Europy. Przedmurze i tym razem nie zawiodło. Znalazł się wódz, który powtórzył historję.

Bitwa pod Okuniewem rozpalala się; karabiny maszynowe coraz natrętniej parkotały, odezwały się i polskie działa. Niesiono już paru rannych. Po piaszczystem polu szły grupki piechurów w stronę okopów.

Dnia 13 sierpnia rozgorzała walka o Polskę.

Około godz. 18-ej, pułk, żegnany świstem przelatujących kul, opuszczał Okuniew, kierując się w stronę Warszawy. Szosa do Rembertowa zapchana była taborami, zdążającemi w jedną i drugą stronę. Wille, rozciągnięte wzdłuż drogi, stały opustoszałe. Mijały nas liczne smachody. Armaty były nerwowo, a bez litości.

Na noc stanęliśmy w Kawenczynie. Od Warszawy biła słaba luna. Pewno stolica z niepokojem przysłuchiwała się bliskiej walce, nie wiedząc, co ją czekać może za parę godzin.

Mając dyżur nocny przy koniach, przemierzałem piaszczystą drogę tam i z powrotem.

Nazajutrz (14. VIII), pułk dotarł około południa do Jabłonny.

Słońce dopiekało podczas marszu dokuczliwie. Nogi szwoleżerów, prowadzących prawie całą drogę konie, „per pedes“, grzęzły początkowo w piasku, a później ra-

niła ich ostra szosa. Rozkoszą była sama myśl o odpoczynku w cieniu przydrożnego drzewa.

W Jabłonnie odetchnęliśmy do wieczora, a gdy noc zapadła, szwadrony stały w kolumnie czwórkowej na szosie.

Gdzie nas rzucano? Rzucano tam, skąd zagrażało największe niebezpieczeństwo. Już w Jabłonnie dowiedzieliśmy się o klęsce pod Radzyminem: wczoraj — 13 sierpnia — nieprzyjaciół zdobył miasteczko i stanął 16 kilometrów od Warszawy. „Dałoj Warszawu!“ rwało się z piersi zwycięskiego żołnierza bolszewickiego, który uważał się już jej panem i... grabieżcą. A wodzom czerwonej armii zdawało się, że odgradza ich od światowej rewolucji tylko parogodzinny wysiłek, tylko jeden skok. Tylko jeszcze „16 wierst“ i Europa... w ogniu. „Bohaterzy! — na Warszawę“ — brzmiał rozkaz Trockiego.

A ta Warszawa, zdawało się, że jest bezbronna; druty kolczaste, które miały wstrzymywać nieprzyjaciela, ten ostatni pod Radzyminem ręką rwał, lub wprost je przechodził, takie były nikłe... żadne. A żołnierzowi polskiemu, znękanemu odwrotem, pozbawionemu wiary w siebie, w niejednym wypadku i tu, u wrót stolicy zabrakło męstwa.

Dla charakterystyki sytuacji nadmienię, co mi opowiadał podoficer z piechoty. Oddanie Radzimina odbyło się w atmosferze paniki. Żadna siła nie mogła powstrzymać uciekających oddziałów piechoty. Zdawało się, że idzie ostatnia klęska. Oficerowie używali próśb i kul—bezszykownie. Masy żołnierzy odpływały do tyłu.

Dowódcy z nielicznymi garstkami żołnierzy zostawali sami. Szloch wyrывał się z niejednej odważnej piersi. Tworzono samorzutnie próby oporu, po kilku, kilkunastu, gdzie ginęli najodważniejsi.

Z trudnością opanowano sytuację dopiero wieczorem. Przeprowadzone czternastego sierpnia przeciwnatarcie spełzło na niczem, mimo chwilowego odebrania Radzymina.

Droga do Pragi prawie że była już otwarta.

D-wo armji na świt z 14-go na 15-go, rzuciło do przeciwnatarcia na Radzymin swój odwód 10 dywizję piechoty, której przegrupowanie osłaniał właśnie 201 p. szwol.

Całe szczęście, że w dniu tym pod Okuniewem i Osowem (gdzie zginął ks. Skorupka) żołnierz polski prędej przełamał kryzys odwrotu i nie dał sobie wyrwać skrawka ziemi.

Dla pełnej charakterystyki przeżywanych chwil, muszę zaznaczyć o szalonej przemianie, jaka zachodziła w polskich szeregach, właśnie w danym momencie.

Wieść o klęsce pod Radzyminem uświadomiła wreszcie żołnierza o tem, że naprawdę zbliża się walka ostatnia; walka o „być lub niebyć“, o wolność lub niewolę. Ostatnia klęska oprzytomniła wszystkich, naga, holesną prawdę przed oczy stawiała, szarpnęła sercem i wodza i ostatniego żołnierza.

I to, co widzieliśmy w nocy z 14-go na 15-go sierpnia i rano 15 sierpnia, świadczyło o tem, że żołnierz polski, i ten z poboru, poczuł się żołnierzem, nareszcie

ocknął się i zrozumiał krzyk do niego skierowany: „Na Boga! — widzicie Warszawę!“

Pułk nasz, bez pierwszego szwadronu, wyruszył z Jabłonny już o zmierzchu (14-go sierpnia). Po drodze spotykaliśmy autobusy pełne piechoty, oraz liczne piesze jej oddziały. Szczęśliwcy na autobusach nawet sobie podśpiewywali, kontenci widocznie z nowej lokomocji. Ci, co wyciągać musieli nogi, w milczeniu znosili swój trud. Na szosie chwilami panował ścisk i tumult, bo noc była ciemna.

Przednie ubezpieczenie natknęło się na d-cę pułku, który z jednym ordynansem jechał od strony, skąd dochodziły strzały. Major Kulesza, niekontent z czegoś, po żołniersku „zrugął“ szpicę.

Wkrótce wysłany patrol znalazł się w wirze walki. Huk dział był tak bliski, że nawet ogień, co szedł z luf, rzucał światło dla nas widoczne. Karabiny maszynowe stały bezpośrednio przy działach i biły; ręczne im pomagały. Dochodziły krzyki: hurra! Lasy oddawały echo, potęgując grzmot strzałów, wybuchy pocisków i parkotanie c. k. m. Autobusy podjeżdżały pod linię i żołnierze wprost z nich rozrzucani byli w tyraljerę.

Jak dowiedzieliśmy się rano, kilka naszych baterij stało wprost w pierwszej linii i strzelało ogniem bezpośrednim — „kartaczami“. Oslona piechoty była nikła. Artylerja przez jakiś czas musiała sama odpierać ataki. Kanonierzy wolni strzelali z karabinów.

Do Kąt Węgierskich przybyliśmy późno. Stamtąd skierowano nas w stronę Nieporęt, gdzie część szwadro-

nu rzucono w linję tyraljery, część zaś, jak czwarty pluton na wysunięte placówki. Pierwszy pluton osłaniał dwo pułku. Trzeci pluton, nie wypuszczając cugli z rąk, stanowił rezerwę. Walka tymczasem przycichła i rzadkie już tylko dochodziły strzały.

Do strzeżenia mieliśmy linję lasu nieporęckiego. Objąsnił nas, że las zajęty jest przez nieprzyjaciela; (okazało się później, że las został opuszczony przed wieczorem).

Nie zapomniał chyba nikt z nas tej nocy, tego mroku leśnego, z którego wiała groza, w którego czeluściach skryć się mogły całe pulki wroga. Każdy ruch gałęzi, krzaków, przybierał początkowo — póki oko nie przywykło — ludzkie kształty, a odgłos leśnych, nocnych hałasów zamieniał się w ciche, zdradzieckie stąpanie stóp ludzkich. Nie raz, nie dwa, karabin był przy oku, palec na spuście...

A tu, wiecznie czyhający na spokój podwładnych plutonowy szepce: tam, w przodzie, pod kępą drzew, przesunąć placówkę. Tuląc się do ziemi, niknąc wprost w mrokach nocy, zmieniamy miejsce.

Co jakiś czas, wysyłane patrole piesze, zapuszczały się w gęstwinę.

Czuwając tak do rana, czuliśmy zarazem, że coś ważnego dzieje się w bliskości nas. Czuliśmy też moc siły do spełniania obowiązku. Radzymin nas bolał.

W noc tę, patrol, prowadzony przez plt. Jana Rościszewskiego, dotarł wśród ciemnej nocy do wsi Wólka, gdzie miał znaleźć większe zgrupowanie naszej piechoty.

Ale plt. Rościszewski, zamiast linii obronnej, spotkał tylko patrol z pułku piechoty, prowadzony przez kapitana. D-ca patrolu szukał swego pułku z Dywizji Litewsko - Białoruskiej, który miał tu nadciągnąć i zapłacić łukę.

Plt. Rościszewski, po długich błędzeniach, dotarł wreszcie do dowództwa piechoty, gdzie złożył odpowiedni meldunek.

Do wschodu słońca trwał szwoleżer na stanowiskach. Ale nikt go nie niepokoił. Las milczał uparcie. Tylko gdzieś szosa dudniła.

Nad ranem 15-go sierpnia rozpętała się walka. Jeszcze nie dniało, jak 28 pułk piechoty, w lewo od nas, ruszał do boju. Pociski naszej ciężkiej artylerji zaczęły łomotać po lesie. Opowiadał mi szwoleżer z innego szwadronu, wysłany z meldunkiem do Nieporęt, (w przygodnem gdzieś później spotkaniu), o wrażeniu, jakie wywarła na nim piechota, która za chwil parę miała pójść w bój.

Żołnierze zdawali sobie sprawę, czem jest dzisiejsza walka: cofnąć się niema poco, chyba po hańbę, po sromotną niewolę. Oficerowie troskliwie oglądali swoje oddziały, przyjacielską rozmową budząc w żołnierzu ambicję i ofiarność. W czasie walki, podobno wyżsi dowódcy stawali w pierwszych liniach, by własnym przykładem wskazywać żołnierzowi drogę obowiązku. Nie było już szarż — był tylko bezimienny żołnierz. Jakiś patrol śmiało ruszał w stronę zarośli, skąd w nocy padały strzały. Jego dowódca, młody kapral, biegiem pro-

wadził swój oddział. Kryzys odwrotu był przełamany — duch inny wstąpił w masy żołnierskie. Wstyd żał niejedno proste, lecz szczere serce.

Za chwil parę zwycięstwo wydarto czerwonej armji.

Gdy dzień się robił, doszły do nas odgłosy strzałów karabinowych. Odgłosy były nierówne, chwilami przechodziły w potężny trzask, potem znów nagle milkły, by odezwać się w pojedynczych głosach.

Rankiem, spatrołowawszy już na koniach przedpole piechoty, pomaszerował 201 p. szwol. do Nieporęt, natykając po drodze liczne trupy sowieckich piechurów, a stamtąd do zdobytej przed chwilą Wólki Radzymińskiej. Znać było, że przebiega tu pierwsza linja frontu; zmęczone, ale zadowolone twarze piechurów mówiły, że bolszewika przetrzepano. Zabici leżeli przy drodze — rannych wieziono i niesiono.

Zdawało się, że teraz my pójdziemy w ogień. Ale na nas spadła inna praca; dowództwo polskie sądziło, że w lasach, znajdujących się z tyłu nowego frontu, zostały oddziały sowieckie. Pułk więc otrzymał rozkaz oczyszczenia podejrzanego terenu. Płocki szwadron skierowano do Pustelnik. Ale próżne były poszukiwania.

IV. NA SZLAKU WOJENNYM PŁOŃSK — MŁAWA.

Dnia 16 sierpnia 201 p. szwol., wszedłszy razem z innemi pułkami IX brygady jazdy w skład grupy operacyjnej płk Dreszera, wyruszył z Jabłonny, szosą przez Modlin, Zakroczym, Kroczewo do Płońska. Płońsk broił się podobno już ostatkiem sił. W szalonym przeto tempie odbywaliśmy marsz. Gdy klus dobijał konie, zsadzano z nich jeźdźców, którzy prowadzili je w rękę, aby tylko nie zatrzymać się, nie stracić żadnej z tak drogiej dzisiaj minut. Napotkani dwa razy po drodze oficerowie sztabowi, jadący samochodami od strony Płońska, przynaglali. Czwarty szwadron, jako mający najwięcej ludzi obeznanych z terenem, poszedł na czoło, dodając jeszcze tempa.

Spoceni, zakurzeni, zmordowani, już na zachód słońca wpadliśmy do Płońska. Swoje strony to były dla wielu z nas, znane niejednemu od lat niemowlęcych. O ileż różniej walczyć — i chyba ginąć, na swoich śmieciach, wśród tych najbliższych sobie niw!

W Płońsku 1-go pułku szwol. nie zastaliśmy, gdyż

odparłszy rano, nacierającego na miasto nieprzyjaciela, udał się w kierunku Rzewina.

Piechoty wiele nie było widać, chociaż bolszewicy byli tuż za rzeczką.

Ponieważ na rynek padały kule karabinowe, pułk zatrzymał się na ulicy Płockiej. Zalęknione twarze żydów, zaniepokojone oczy Polaków, świadczyły o niepewności sytuacji. Jakiś starszy jegomość z dumą opowiadał, że widział paru bolszewików o świcie, już przy ap-tece. Jakaś starsza paniusia, z zapłakanymi oczyma, wtykała szwoleżerowi... kolację. Paru chłopaczków — kilkunastoletnich — kręciło się przy koniach, prosząc, żeby im dać je potrzymać. Tacy ci wszyscy ludzie byli swoi, sercu bliscy! Czuło się, że oni są też częścią Polski, że i za nich, niezdolnych do walki — należy dać swój trud, jak i za tę polską ziemię.

Zaraz po przybyciu do Płońska wysłał szwadron patrole.

Pierwszy cały pluton dostał rozkaz marszu do Ilińska i ubezpieczenia tam miasta od strony Gory. Ale tuż przy rogatkach, wstrzymał plt. Gorskiego dowódca samochodu pancernego, informując, że w Ilinku są bolszewicy (w rzeczywistości, cofnęli się oni stamtąd przed wieczorem). Na zasadzie powyższej informacji, plt. Gorski wysłał meldunek, a otrzymawszy po paru minutach już nowy rozkaz, skręcił do stacji kolejowej, przejechał obok niej, a następnie dostawszy się na pola, dotarł nimi do folwarku Skarżyn, gdzie zastał oddział piechoty morskiej. „Marynarze“ spali jak zarżnięci, nie wysta-

wiwszy przytem ani jednej placówki. Dowódcę ich, podporucznika, plt. Gorski „zrugął“ po kawaleryjsku, korzystając naturalnie z ciemności nocy, która nie pozwoliła porucznikowi dojrzeć szarży krewkiego szwoleżera.

Ze Skarżyna, zrobiwszy ruch u marynarzy, zdążył pluton do Kucic, gdzie całą noc przepędził w bojowym pogotowiu. Rano dopiero dołączył do szwadronu w Szereminie.

Drugi patrol, pod dowództwem plt. Rościszewskiego, wyruszywszy godzinę później niż pierwszy, nie zastał już krasnoarmiejców w Ilinku. Idąc zaś ich śladami, dotarł do wsi Siekluki, a następnie do Gumowa, gdzie spotkał się z patrolem któregoś z pułków ułańskich. Łączności z nieprzyjacielem nie nawiązał i w nocy powrócił do oddziału.

W kilkanaście minut od chwili zatrzymania się na ulicy Plockiej, wysłał też ppor. Zarzycki pieszy patrol z trzeciego plutonu, pod komendą doświadczonego i bitnego kpr. Karola Grabowskiego, w składzie tylko trzech ludzi (Witold Gąsiorowski, Szmelcer) na szosę ciechanowską, dla zbadania, czy most nie jest uszkodzony i czy piechota bolszewicka nie umocniła się z tej strony rzeki. Kpr. Grabowski, korzystając z opłotków i domostw, dotarł nad samą wodę i stwierdziwszy, że most jest cały, a nieprzyjaciel przyczaił się po tamtej jego stronie, wysłał szwol. Gąsiorowskiego z meldunkiem do dowódcy szwadronu, sam zaś ze szwol. Szmelcerem trwał na posterunku, aż do północy.

Po zachodzie słońca patrole sowieckie widocznie

musiały wycofać się, bo kule przestały bzykać z tamtej strony rzeki.

Około godz. 23-ej, szwadron skierował się na most. Służbowy tego dnia trzeci pluton, zostawiwszy jako łącznika przy d-wie piechoty, szwol. Tadeusza Gorczyńskiego (z Ogorzelic), ubezpieczał szwadron od przodu. Straż przednią stanowili: kpr. Grabowski, szwol. Kalinowski (ze Szpondowa), Kocięcki (z Dłużniewa), Dmowski, Sieklucki. Łącznikiem między nimi a oddziałem głównym był szwol. Piotr Orłowski. Przejechawszy most, który już został obsadzony przez inny oddział, skierowano się w lewo, do wsi Szeromin, jakoby zajętej przez nieprzyjaciela.

W kompletnej ciszy i w bojowym pogotowiu, wjechała straż przednia pomiędzy domy mieszkalne służby folwarcznej. Ludzie nie spali. Od nich dowiedziano się, że nieprzyjaciel nie całą godzinę temu wycofał się w stronę Baboszewa. Przed bramą do podwórza spieszone szwadron.

Czwarty pluton — zdaje się, że niekompletny — skierowano zaraz jako wysunięte ubezpieczenie w stronę Arcelina, reszta zaś szwadronu rozłożyła się obok folwarku, zajmując trzecim plutonem, jako odwodem, zarośla nad rzeczką Płonką.

Powłócząc ledwo nogami, dobrnął czwarty pluton do jakiejś zagrody, wiatraka, gdzie w starych rosyjskich okopach, zajął stanowiska.

Spać się chciało, więc szczęśliwcy, niepełniący służby, chrapnęli momentalnie. Ci zaś, którym służba na to

nie pozwoliła, musieli palcami rozcierać ołowiane powieki, aby tylko nie dać im się zamknąć. Zmęczone jednak oczy, mimo największego wysiłku, nie mogły w cieniach nocy wiele zobaczyć, dlatego więcej słuchem, niż wzrokiem czuwał szwoleżer.

Od przodu dochodziły dalekie jakieś szумы. Wyślany na przedpole patrol, nie znalazł jednak nic niepokojącego. Śpiący, skuleni w okopach żołnierze, trzymali pod pachami karabiny i gdy o świtanu podchorąży zaalarmował oddział, momentalnie był on gotów do walki. Do dowódcy swego nabieraliśmy z dniem każdym coraz większego zaufania: wszędzie był, o wszystko dbał, wesołą twarzą nas witał, poruszył też swoim przykładem w niejednym naszym sercu drzemiące struny.

Ale na szczęście pozwolono nam znów zdrzemnąć się.

Na placówkach zmieniano ludzi.

W blaskach dnia dobrze można było rozejrzeć się w terenie; z tyłu widać było mury maj. Szeromin, oddalone o dobry kilometr, z przodu, w odległości najwyżej dwóch kilometrów; zarysowywały się drzewa wsi Arcelin. Na prawo ciągnął się trakt Baboszewo — Arcelin — Płońsk, a poza traktem, wieś Ćwiklin, w okolicy której wiedzieliśmy, że znajduje się pierwszy i drugi szwadron naszego pułku. My sami, na wzgórku. Wiatrak ułatwiał jeszcze wgląd w dalsze tereny.

Idą! — przylatuje któryś z meldunkiem do podchorążego. Rzeczywiście z Arcelina wyszło czterech piechurów. Po stwierdzeniu ich przynależności do sowieckiej

armji, część plutonu zajęła stanowiska. Tymczasem żołnierze szli wolno, w gromadce, nie przeczuwając widocznie bliskiej obecności wrogiego oddziału. Już widać wyraźnie ich twarze, coś z sobą rozmawiają, karabiny wiszą im na ramionach.

Na rozkaz podchorążego paru szwoleżerów strzeliło nad głowy piechurów. Ci zaś padli na ziemię i widząc biegnących do nich szwoleżerów, poddali się. Twarze ich były nietyle przestraszone, ile tępe. Podchorąży odesłał ich zaraz do Szeromina.

Do obiadu na przedpolu 201 p. szwol. panował spokój. Tylko gdzieś, od strony Baboszewa dochodziły rzadkie, dalekie strzały. To były odgłosy walk I-go pułku szwoleżerów. Ale w tym prawie momencie, gdy nadeszło pół drugiego (czy trzeciego) plutonu, aby zmienić czwarty, od strony Arcelina zaczęły wychodzić kolumny piechoty i rozsypywać się po polach. Zbliżająca się tyraljera była teraz dla nas wszystkim, jakby w niej skupił się cały obchodzący nas świat.

Odezwała się i artylerja nieprzyjacielska, bijąc z dział polowych i działek piechoty.

Pociski jednak początkowo padały przeważnie za nas, niektóre aż na łąki między Szerominem i Płońskiem, skąd wypłoszyły naszych konowodów. Padły komendy i kilkudziesięciu ludzi zaczęło przeciwstawiać się kilkakroć liczniejszemu nieprzyjacielowi. Już z Arcelina rozwija się po obu stronach traktu i drugi rzut sowieckiej piechoty. Idą wolno, lecz ciągle. Karabiny nasze pracują rzetelnie.

Artylerja zorjentowawszy się teraz, gdzie jest pierwszy opór, skierowała swój ogień dokładnie na nas, a jeszcze większy na Ćwiklin, w której to wsi dwa nasze szwadrony broniły się zawzięcia. Pociski już nie szły górą, ale bliskim swoim świstem gniotły nas do ziemi, wciskały w nią i wybuchały w pobliżu. O ile mocniejsze one robiły wrażenie, aniżeli mizerne kule karabinowe! Lotki szrapnelowe sypały się.

Dziwne uczucia budzą się w niedoświadczonym żołnierzu pod wpływem świstu armatnich pocisków i huków wybuchów; przez pierwsze chwile wydaje się on sobie małym, dziwnie małym, jakimś oderwanym od świata, zostawionym naprawdę bez żadnej opieki, niepotrzebnym nikomu — tylko sobie samemu... aby życie zachować! Stąd uczucie lęku, które budzi się w najodważniejszym podobno sercu, gdy lada chwila może ono przestać bić, wyrwane z kawałem ciała lub przeszyte jedną, jedyną małą lotką czy karabinową kulą. A z drugiej strony, gdy nerwy powoli opanowywać się dadzą, a żołnierz poczuje żar karabinu, to w oczach zapalą mu się błyski zwierzęcej nienawiści ku tym, co z odległości kilkudziesięciu metrów na niego czychają, i poczuje w sobie nową siłę. Nie jest już sobą, nie jest już do ostatniej komórki swego ciała „cywilem“. Pieką go ręce w gorące strzałów, palą mu się oczy, pali go własne ciało — jak karabin.

Ogień artylerji wzmógł się. Pociski jej zapaliły zagrodę. Słup płomieni buchnął w górę. Chmury bolszewików były coraz bliżej, widać jak przyśpieszają kroku i za-

chodzą od prawej strony. Ogień nasz zesłabł, bo amunicji już brakło. Podchorąży przeto dał znak odwrotu, osłaniając go kilkoma ludźmi. Ledwo plutony opuściły stanowiska, parę pocisków gruchnęło w okopy.

Biegiem dopadliśmy Szeromina, około którego szwadron już zajął stanowiska. Czwarty pluton i część drugiego dostała do obrony folwark i trochę pola. Pluton pierwszy i trzeci leżał na prawo, niedaleko drogi, prowadzącej do Płońska. W lewo od folwarku w zaroślach, kręcił się patrol któregoś plutonu.

Ukryci za płotami, zająwszy drzwi i okna wychodzące na pole, czuliśmy się jak w twierdzy, podreperowawszy też swą wartość bojową nową porcją amunicji. Dwie polskie armaty zagrały od strony miasta i były w bolszewików, którzy coraz bardziej zbliżali się do nas, jednak coraz częściej padali na ziemię i coraz wolniej podrywali się do skoku. Czemu nie mieliśmy chociaż jednego c. k. m.? Nieprzyjaciół trafiawszy na mocny nasz opór, wysuwać zaczął w linię swoje karabiny maszynowe. Na przedpole pierwszego plutonu ciągnął c. k. m. pod stożek, ale ujrzał to plt. Gorski i, otworzywszy tam ogień kilku karabinów, nie pozwolił ustawić broni, której sam nie mógł nic równego przeciwstawić.

Na prawo, od strony Ćwiklina, silna dochodziła strzelanina (tam ranny został mjr. Kulesza).

Nagle od Arcelina, ale za traktem, ukazały się oczom naszym niewyraźne sylwetki jeźdźców, pędzących szarżą. Spojrzeliśmy po sobie; twarze zbladły. Pewno tu przyjdzie już zginąć, pomyślał niejeden, bo

cóż znaczy nasza garść, wobec tych tyraljer, popartych jeszcze kozakami? A rozkaz brzmi: do ostatka! Ręce mocniej więc uchwyciły karabin; ktoś tam krzyknął — „a tom mu dał“! ktoś radzi — „strzelaj w tych dwóch!“ Bryzgnęła gdzieś krew, pochylił się bolszewik. Kule stukają o mur — a my wszyscy cali. Ale tyraljera już tuż... gdy wtem... zaczyna mieszać się, dzielić, powoli zawracać i wkońcu uciekać.

Zrozumieliśmy.

To 1-szy pułk szwol. szarżował na tyły nieprzyjaciela. A myśmy już mieli strzelać do niego prawoskrzydłowym plutonem, który był mu najbliższy; (kpr. Grabowski otrzymał rozkaz, ale bystre jego oko poznało szwoleżerskie czapki i mundury).

Odsiecz przyszła w samą porę, bo trzy pułki piechoty lada chwila mogły złamać opór trzech szwadronów, zwłaszcza, że od strony Smardzewa zdążała jeszcze jedna dywizja sowiecka (54).

Czwarty szwadron ruszył biegiem, bo koni dosiąść nie mógł, gdyż te cofnęły się do Płońska. Poprzez bujną koniczynę, między stygami owsa rwał do przodu, goniąc uciekających bolszewików, którzy częściowo wpadli w ręce 1 p. szwol., częściowo jednak boki umknęli do Baboszewa.

Odsunięcie koni zbyt daleko od spieszonych żołnierzy, pokazało teraz swoje ujemne skutki, w niemożności doścignięcia uciekającego nieprzyjaciela. W czasie pościgu niejednego ze starszych szwoleżerów zatknęło,

niejeden przewrócił się parę razy, zanim wy dostał się z uścisku koniczyny na nagie pola.

W ziemniakach leżały trupy. Pod stożkiem, skąd pl. Gorski wypłoszył bolszewicki c. k. m., znaleziono dwie skrzynki amunicji.

Radość z klęski czerwonych pułków była u nas nie mała. Zakurzeni, zdyszani, dotarliśmy do zagrody, około której to tak niedawno leżeliśmy w okopach. Tu teraz czekaliśmy na podciągnięcie koni. Dosiadłszy ich wreszcie, szwadron pomaszerował do Poświętnego, (lokując się tam w ogrodzie), wysyłając tylko część czwartego plutonu na podjazd do Baboszewa oraz pieszy patrol z trzeciego plutonu do Ilinka.

Baboszewo zajęte było przez silny oddział piechoty sowieckiej. Podjazd stwierdziwszy to, w nocy już powrócił do szwadronu.

Pieszy zaś patrol w sile czterech ludzi (kpr. Grabowski, Adam i Stanisław Rościszewscy oraz Homolko) dostał rozkaz nawiązania łączności z bataljonem morskim, znajdującym się gdzieś w rejonie Ilinka. Tuż za rzeczką Płonką natknął się kpr. Grabowski na placówkę marynarzy, która dała mu przewodnika do d-cy bataljonu, czy kompanji. Patrol nasz został ze wsi na odległość 200 — 300 metrów ostrzelany z c. k. m., ustawionego na klepisku jednej ze stodół. Całe szczęście, że rów dał szwoleżerom osłonę. Porucznik marynarzy przyjąć musiał parę gorzkich słów od rozgoryczonego kpr. Grabowskiego. Okazało się, że marynarze nic nie wiedzieli o klęsce nieprzyjaciela pod Szerominem

i Ćwiklinem i sądzili nawet, że nieprzyjaciel podchodzi pod Płońsk.

Nazajutrz wieczorem pułk osiągnął rejon Sarbiewa*), gdzie miano forsować rzeczkę Raciążnicę. Deszcz nocny przemoczył żołnierzy do kostek. Ale cóż znaczyła ta nieprzyjemna wilgoć ziębiąca ciało, wobec zapalu, jaki rozgrzewał nas i wobec wiadomości o polskich zwycięstwach, odnoszonych na wszystkich polskich frontach?!

Za stodołami we wsi Smardzewo — wśród nocy — szwadron zostawił konie i rozwinął się w tyraljerę, wydzielając jako odwód w drugą linię czwarty pluton. Łączność z nieprzyjacielem została niedługo nawiązana. Patrol z drugiego plutonu wypłoszył bowiem bolszewicką placówkę, która zaalarmowała swoje oddziały. Z ciemnej dali padały liczne strzały. Śmiały jednak ruch szwależerskiej tyraljery zmusił moskali do cofania się. Ustępowali oni jednak wolno. A trop w trop za nimi szedł polski żołnierz, któremu ciemność nocy uniemożliwiała strzelanie do celów widocznych, strzelał więc po omacku, tam, skąd padały do niego strzały lub dochodziły jakieś odgłosy, świadczące o obecności ludzi. Wal-ki wręcz nieprzyjaciel wyraźnie unikał. Parę razy tylko zamajaczyły uciekające postacie. Artylerja rosyjska odezwiała się, przenosząc jednak początkowo ogień swój

*) W bitwie pod Sarbiewem udziału nie brałem, ponieważ zachorował mi koń. Podaję opis walki na zasadzie opowiadań kolegów.

hardziej na nasze tyły i obsypując lotkami szrapneli zostawione za wsią konie, wśród których ranny został m. in. koń plt. Gorskiego.

Moskale stawiali coraz zaciętszy opór. Puszczane przez nich rakiety rozświetlały niebo, a w świetle ich, wzmagał się ogień nieprzyjacielskich c. k. m. Ale wtedy polska linja padała i tuląc się do ziemi, zamierała na parę minut; przed nią zarysowywały się niewyraźne kontury drzew, zarośli, czy domostw. Polskie działa też były.

Chwilami niebo całe, rozświetlone rakietami i wybuchami pocisków, mieniło się czerwienią. Efekt optyczny i słuchowy tej walki nocnej, był kapitalny, niezapomniany.

Posuwając się wolno naprzód — wysunąwszy w pierwszy rzut trzeci pluton i część drugiego — chyłkiem lub pełzając, to znów cofając się, obchodząc jakieś przeszkody, osiągnął wreszcie szwadron pierwszą swą linją rów, w którym został dłużej. Przemykają się sanitariusze, spiesząc w rejon drugiego plutonu, skąd dochodzą jęki. Bardziej jeszcze wprawo słyszeć też wołanie o sanitariusza. Ranny zostaje szw. Jankiewicz z II plut.

Tuląc się w rowie, zaczęli żołnierze drzemać.

O pierwszym świtaniu pojawili się oficerowie z artylerji i założywszy telefon rozpoczęli strzelanie. Pociski padały 200 — 300 mtr. przed polską tyraljerą. Świst szedł tuż nad głowami. Był on jednak dziwnie... miły dla naszego ucha, jakby opiekuńczemi skrzydłami ochraniający polskiego żołnierza. A przecież był on

zwiastunem też bólu lub śmierci, jak i ten świst, co szedł do nas. Tylko tamten niósł zło — im, ten — nam. Niby to samo, a jak szalenie różnie odczute.

Oficerowie z artylerji coś „lornetowali“, naradzali się z oficerami naszego pułku. Wystrzeliwszy kilkanaście pocisków, przenieśli strzały gdzieś dalej, a szwoleżerowie zbudzeni z drzemki, na którą sobie pozwolili w chłodnych oparach rosy, ruszyli ostrożnie dalej. Moskale jakoś milczeli. W milczeniu też posuwała się polska tyraljera. Natrafiono na porzucony przez nieprzyjaciela przewód telefoniczny. Minawszy wreszcie dość głęboką parowę, za nią nad drogą, na wzniesieniu ulokował się szwadron. Do pobliskich chałup wysłał ppor. Zarzycki patrol z 2-ch ludzi (Piotr Orłowski z kimś drugim), którzy podsunawszy się rowem zostali ostrzelani z pierwszej zagrody. Wrócili więc do oddziału, a za chwilę pociski polskich dział poszybowały nad wieś.

W czasie tego nocnego natarcia służbę łącznika między ppor. Zarzyckim a plutonami, idącymi w pierwszym rzucie, pełnił szwol. Jan Baliński (z trzeciego plutonu). Ciężka i ofiarna była jego praca. Pośród mroków nocy, przy blasku rakiet, nie mając czasu na krycie się i padanie, zaszargany, spotniały, przemykał się szwol. Baliński tam i spowrotem, dostarczając rozkazy, donosząc meldunki. Parę razy, gdy rakiety rozświetliły niebo, a rosyjskie karabiny maszynowe mocniej zagrały, zgarbiona jego postać, sunąca tuż przy linji, zdawało się, że musi być trafiona. Na ciemnem tle pól, oświetlony z góry jasnem światłem, dawał dziwnie malowniczą sylwet-

kę — żołnierskiego czynu. Ppor. Zarzycki zawdzięczał mu wiele, że mógł sprawnie kierować akcją. Żaden meldunek ustny nie został przekreślony, każdy rozkaz doszedł we właściwej formie i czasie do podwładnych jednostek. Jakie to ma znaczenie na polu walki, wie tylko ten, kto tego na własnej doświadczył skórze. I dlatego, żeby uwydatnić czyn szwol. Balińskiego, czyn pełen męskości, poświęcenia, żołnierskiego hartu, d-ca szwadronu w rozkazie dziennym udzielił mu pochwały. Było to najwyższe odznaczenie, jakim mógł doraźnie dysponować.

Dzień cały spędził szwadron około parowy. Kuchnia przywiozła obiad, ale mimo, że schowała się w jar, celne strzały rosyjskiej artylerji wypłoszyły ją, zanim rozdała zawartość swego kotła. Zgłodniiali ludzie musieli ją gonić.

Nocleg wypadł w parowie. Liczne placówki strzeły przedpola, nie pozwalając nieprzyjacielskim patrolom zbyt blisko podchodzić pod jar, w którym drzemała część szwadronu. W nocy nastąpił alarm, który postawił na nogi wszystkie walczące tu oddziały. Bolszewicy, widząc gotowość polskich wojsk, prędko zrezygnowali jednak z natarcia, wycofując się na wyjściowe stanowiska, by o świtanu rozpocząć odwrót.

Czwarty szwadron nie ruszył w pogoń, bo otrzymał rozkaz czekania w Sarbiewie na 2-gi pułk ułanów. Dopiero po przywitaniu się z białemi rabatami, rozjechał się — już plutonami — po okolicy, w celu zagarniania taborów i maruderów z rozbitych sowieckich pułków.

Pierwszy pluton działał oddzielnie przez pierwsze dwa dni i dopiero nocą z 21 na 22 sierpnia dołączył się do szwadronu. Pozostałe trzy plutony zjechały się razem już na nocleg do Glinojecka.

Po opuszczeniu Sarbiewa, w okolicach jakiejś wioski nastąpiła przeprawa przez Działdówkę, przeprawa pełna dla niejednego tragicznych momentów, ale i obfitująca zarazem w komiczne sytuacje i obrazki. Nie wszystkie konie chciały płynąć, nastąpił więc zamęt. Niektórzy znów jeźdźcy pierwszy raz odbywający taki „wodny“ marsz, zsunawszy się z siodła nie umieli utrzymać się na powierzchni i z głową razem zażywali kąpiele. Jeszcze gorzej czuli się ci, którym konie kładły się przy brzegu w wodzie lub siadały na zadach i nie chciały wstać. Złorzeczenia mieszały się ze śmiechem. Po wielu wreszcie trudach, przy wspólnej pomocy, oddział jazdy zabłocony, skąpany, wydostał się na przeciwny brzeg rzeki.

Już po oddzieleniu się czwartego plutonu, szpica jego dała znać, że ciągną bolszewickie tabory, chronione przez piechotę. Zamoczonym szwoleżerom nadarzyła się okazja rozgrzania się. Podchorąży Protassewicz momentalnie rozdzielił swój oddział i rozsypał go do szarży, uderzając z dwóch boków. Cóż to znaczyło, że na jednego szwoleżera wypadało z pięciu moskali? Któżby liczył? A konie szły jak wichry. Przed ich pędem piechota, zanim zdążyła parę razy wystrzelić, rozpryskiwała się i rzucała broń, zaniechawszy walki. Ale dowódca wołów próbuje jeszcze ucieczki — nadaremno — szwol.

Szempliński, Gierzyński, Rudowski, Kozłowski przecinają mu drogę. Błysk szabel, świst rewolwerowych kul wytrącił broń z rąk taborytów. Cała kolumna prowiantowa wpadła w polskie ręce.

Nie ujechał pluton daleko, gdy na swej drodze napotkał oddział piechoty sowieckiej, cofający się do Glinojcka. Sam widok rozwijającej się do szarży kawalerji polskiej tak na nią podziałał, że bez walki rzuciła broń.

Należy też tu nadmienić o przygodzie, jaką miał tego dnia szwol. Czesław Gierzyński, jeden z lepszych żołnierzy czwartego plutonu. Gdy sekcja kpr. Chełmieckiego Bohdana oddzieliła się od plutonu, — wysłana na patrol, — droga wypadła jej niedaleko wioski, gdzie mieszkali znajomi szwol. Gierzyńskiego. Dowódca sekcji, jako, że miał często dobre serce dla podwładnych, uległ i tym razem prośbom i pozwolił szwol. Gierzyńskiemu oddalić się, z tem jednak zastrzeżeniem, że „wizyta“ potrwa parę minut. Była też obawa o kozaków, o czem przypominali szwoleżerowi koledzy, odradzając „wycieczkę“. Bezskutecznie! Gdy szwol. Gierzyński wszedł do domu znajomych, wpadł zaraz zanim służący i szepcze: bolszewiki! Rzeczywiście — przejeżdżający drogą dwaj kozacy, zobaczywszy jakiegoś konia w podwórku, skręcili do niego, a gdy w tym momencie ujrzeli w drzwiach domu polskiego żołnierza, chwycili za szable i końmi do niego. Ale spokojny i zawsze opanowany szwol. Gierzyński skierował do nich momentalnie karabin i wystrzelił. Kozacy zaskoczeni tą obroną, za-

wrócili na miejscu. Jeszcze jedną kulę posłał za nimi szwoleżer.

Na nocleg ściągnął szwadron (oprócz pierwszego plutonu) do Glinojocka (z 20 na 21.VIII), pod którą to wsią, szw. St. Łepicki i A. Szempliński zagarnęli jeszcze kilkanaście wozów z obsługą. Nareszcie trochę snu można było złapać.

Liczne jednak placówki czuwały. Gdzieś, od strony szosy ciechanowskiej doszło parę dalekich, przytłumionych strzałów. Hen, jakby jeszcze dalej, zagrzmiało działo.

Ale któżby tem teraz się niepokoił? Przecież to nasza ofenzywa, to nie odwrót z dalekich rubieży, gdzie jeden strzał stawiał na nogi przemęczone polskie kompanje. Bodaj to być w natarciu!...

W związku z serdecznem przyjęciem zgotowaniem w Glinojocku, muszę parę słów poświęcić nastrojom, jakie panowały u ludności. Byliśmy pierwszymi oddziałami, które wkraczały do wiosek wprost po cofnięciu się nieprzyjaciela, lub na jego karkach. A więc najlepiej, bo bezpośrednio, mogliśmy odczuć, co tętniło w sercu polskiej wsi. A ta wieś dała poznać, że wojsko polskie — to jej krew. Zastawaliśmy nietylko przygotowane wzdłuż drogi pełne kosze czy fartuchy chleba, ale zastawaliśmy wszędzie i rozradowane twarze i roześmiane oczy. Z tych prostych, a jakże znamiennych odruchów i okrzyków, jakimi witano polskie wojska, wyczuć się dało, że moskal nigdzie nie zaskarbił sobie przyjaźni, że nigdzie nie przekupił sumienia polskiej wsi czy miasteczka.

Dziewczęta stroiły nam kwiatami konie, broń i mundury; co śmielsze głaskały lub całowały pyski i szyje naszych rumaków. Szczera radość, prawdziwa miłość szła z szarych mas do przechodzących wojsk. Kaśki, Maryśki, Zośki aż klaskały w ręce na widok barwnych ułanów, a pocziwe starsze kobiety, rozdawszy całą zawartość koszy czy fartuchów, żegnały krzyżem mijające je oddziały. Mężczyźni służyli chętnie wskazówkami, przeprowadzali, objaśniali.

W tem wszystkiem jakżesz wymownie zawarte było — serce.

Tem więcej odczuwaliśmy życzliwość tutejszych mieszkańców, ponieważ mieliśmy świeżo w pamięci nieżyczliwy stosunek pewnego procentu ludności w czasie naszego odwrotu pod Okuniewem. Ale podobno i tam, na warszawskim froncie, gdy zakrwawione pułki z bagnetem w ręku odbierały wieś, odezwało się serce nawet u najobojętniejszych; wszystka ludność witała zwycięskiego żołnierza — płaczem i radością, całując jego potargany i zakrwawiony mundur.

Nazajutrz (21. VIII) czwarty pluton, jako służbowy, szedł na czołe, wysuwając na szpicę niezmordowanych nigdy szwol. Karola Kozłowskiego i Łempickiego (z Sękowa). Gdy szpica wjechała między zagajniki, z zagrody gajowego, leżącej tuż przy drodze, padło kilka strzałów i jednocześnie pięciu kozaków i jeden koń luzem wymknęło się na drogę i popędziło po niej. Jedna z kul trafiła szwol. Łempickiego w nogę. Na odgłos strzałów momentalnie przygalopował do przodu pluton.

Część jego skierowała się w pogoń, kilku zaś ludzi zostało dla przeszukania zagrody, w której, domyślano się, że jest jeszcze kozak, skoro koń jeden uszedł bez jeźdźca.

Rannym szwol. Łempickim, który cierpiał mocno, chociaż nadrabiał miną, zajął się sanitariusz.

Tymczasem przeszukiwanie budynków nie było bez rezultatów. Kpr. Wodzyński, póty szperał i zagłądał we wszystkie zakamarki, aż wyszperał kozaka w... chlewu. Ale kozak ani myślał o poddaniu, oddając parę strzałów, na szczęście dla szwoleżerów nieszkodliwych. Chwila namysłu — co robić — brać go żywego, czy kulami obezwładnić? Ostatecznie kpr. Wodzyński, jako dawny rosyjski dragon, znalazł dobór słów, które skłoniły wreszcie kozaka do poddania się.

Najważniejsze trofeum: szabla kozacka, znalazła się przy boku ucieszonego „Wodzyńsia“. Jeniec zachowywał się bardzo pewnie, nawet arogancko. Jak się okazało, był on komisarzem. Pewno to on oddał ostatnie strzały do polskiej szpicy i nie zdołał dosiąść konia, który uciekł z jego mniej wojowniczymi kolegami.

Wkrótce szwadron dołączył do pułku. Zobaczyliśmy wtedy szwadron c. k. m., który brał już udział w bitwie pod Smardzewem. Radzi byliśmy z jego pomocy. Miłaliśmy i inne pułki z IX brygady jazdy.

Za wsią Niedzborzem toczyła się gdzieś niedaleko bitwa, w której jednak 201 pułk nie brał udziału. Tam też natknęła się w nocy nasza brygada na większe zgrupowanie nieprzyjaciela. Po niewczasie — bo na drugi

dzień — przekonano się, że nadciągnęły już główne siły korpusu Gaya i 53 dywizji piechoty, które to oddziały przedzierały się na północ. Mława była w polskich rękach. Sam Gay — zwycięski dotąd Gay — kierował walką.

Nocleg pułków IX brygady jazdy wypadł około wsi Drogiszki. Pułki właściwie noclegowały w polu, ubezpieczone luznemi czujkami. Ciemność nocy nie pozwalała dowódcom orjentować się w położeniu, a wysyłane patrole i całe szwadrony poprostu wchodziły na siebie, nie mogąc przedrzeć zasłony, jaką Gay wysunął dla ochrony przedzierających się jego sił głównych przez Wyszy — Konopki.

Nasz pierwszy pluton, na zasadzie rozkazu d-cy brygady, mjr. Głogowskiego, miał skierowywać wszystkie napotymane szwadrony z brygady w rejon Drogiszki. Walęsając się całą noc, ciągle „wchodził“ na rosyjskie strzały.

Noc ta pozwoliła Gayowi — dzięki temu, że dwo polskie spodziewało się go dopiero wieczorem 22. VIII — wymknąć się z większością swoich wojsk.

Noc ta pełna była hałasu, szumu, strzałów armatnich i karabinowych, które szły od strony stacji Konopki.

Około północy strzelanina spotęgowała się. Czujki nie potrzebowały alarmować, bo całe pułki były właściwie w pogotowiu. Kto z nas mógł spać? Wszyscy czuli jakby podświadomie, że gdzieś blisko, bardzo blisko, tuż

ohok, dzieje się coś ważnego, toczy się bitwa, bryzga krew.

Dopiero gdy ranna mgła pierzchła i słońce dało szersze pole widzenia, druga dywizja jazdy pułk. Dreszera uderzyła, trafiając już tylko jednak w końcowe brygady korpusu Gaya.

Artylerja polska na widok rosyjskich wojsk, które nagle odsłoniła oczom opadająca mgła, rozpoczęła silny ogień. W miarę ruchów nieprzyjacielskich pułków zmieniała ona pozycję, przenosząc się, w naszych oczach, z jednej na drugą, w pełnym galopie.

Szwadrony ruszyły z miejsc noclegu wyciągniętym klusem. Pędzimy przez jakąś wieś, w której po podwórkach wyłapuje się sowieckich maruderów. Wyciąga się ich z piwnic, ze stodół, z dziur i różnych zakamarków. Płocki szwadron częścią plutonów bierze w tem udział. Za minut kilkanaście, oddawszy jeńców, pędzi już dalej. Wszystkie twarze dziwnie rozgorączkowane, podniecone.

Poza wsią na szerokich polach wszędzie galopujące oddziały, które giną hen w dali, w głębinach terenu lub zaroślach.

Czwarty szwadron rozdzielony został na mniejsze grupy, z których każda już oddzielnie wykonywała swoje zadanie.

Walka rozwijała się w okolicach Żurominka i bardziej na wschód pod Dunajem. Tam to, na wzniesieniu, między Dunajem a wsią Drogiszki, znalazł się nasz pierwszy pluton, jako ubezpieczenie artylerji, która

strzelała na wieś Dunaj, atakowaną przez 1-szy pułk szwoleżerów. Natarcia wykonywane były w szyku piechotnym i konnym, ale bezskutecznie: dobrze we wsi usadowiony przeciwnik odpierał je krwawo.

W pewnym momencie plt. Gorski zbliżył się do dział, przy których stał d-ca brygady, mjr. Głogowski, i w zawiązanej z nim rozmowie podsunął taką myśl: przeprowadzić fałszywy atak na folwark przez rzadką łąkę, ciągnącą się po prawej stronie, prawie pod same zabudowania i w tym momencie, kiedy nieprzyjaciel skupi swoją uwagę w tamtym kierunku, uderzyć szarżą od frontu. Mjr. Głogowski pokręcił głową, machnął ręką, ale po paru minutach wydał odpowiednie zarządzenia i kiedy skierowany do łąki oddział rozpoczął tam silną strzelaninę i wrzawę, rzucił plt. Gorskiemu zaproszenie: „no, proszę próbować“!

Plt. Gorski rozwinął swych ludzi, sam stanął na jednym skrzydle, na drugie skierował plt. Mayera i nie chcąc dopuścić do rozproszenia frontu, co łatwo mogło stać się, zważywszy na niedoświadczonego żołnierza, ruszył początkowo klusem. Naturalnie, że to mogło stać się zgubą oddziału. Ale Pan Bóg sprzyjał. Bolszewicy zmienili front w kierunku łąki i pluton mógł bez strzału dotrzeć do samych prawie budynków, w pełnym już galopie, wpadając między nie. Zdezorientowany nieprzyjaciel rzucał broń i poddawał się. Jednak przekonawszy się po chwili o słabej sile szwoleżerów, począł chwycić znów za karabiny. Ale pomoc 1-go pułku szwoleżerów już nadbiegała. 500 jeńców wpadło w polskie ręce. Po

bitwie mjr. Głogowski gratulował plt. Gorskiemu, a do swego adjutanta rzucił krótki rozkaz: przedstawić do krzyża „Virtuti Militari“. Plt. Gorski zasalutował.

W tym samym czasie część drugiego plutonu walczyła pod Żurominkiem, część zaś pod d-wem plt. J. Rościszewskiego, przeszukując okoliczne pola, natknęła się na opóźnione w marszu działo. Po krótkiej wymianie strzałów z patrolem, będącym ochroną działa, plutonowy szarżę je zdobył.

Trzeci pluton, wydostawszy się ze wsi, gdzie zagarnął kilkudziesięciu jeńców i przejechawszy leżące za nią pole i lasek, ujrzał przed sobą w odległości kilometra tabory i pieszą ich ochronę, liczącą przeszło 300 ludzi.

Padły słowa komendy i pluton rozwinął się po koniczynie do natarcia w szyku konnym. Konie szły całym pędem, biorąc kapitalnie wszelkie terenowe przeszkody. Bardziej rącznie wydostawały się na czoło. Komu tam serce nie biło z radości, kto nie czuł sił do walki?... W kolumnie nieprzyjacielskiej na widok idącej szarżą jazdy zakotłowało się, ale wkrótce zaczęły grać ustawione na wozach C. K. M. Kule z nich, dzięki strzelaniu w czasie ruchu wozów, nie były zbyt celne. Raniły jednak konie szw. A. Orłowskiego, T. Gorczyńskiego, Kocięckiego i paru innych, a sanitariuszowi zdarły pasmo skóry z głowy, tak, że ten straciwszy na chwilę przytomność, zwałił się z konia.

Pod wpływem silnego ognia, pluton rozdzielił się na dwie części, z których mniejsza, wpadła za kamionkę, skąd zaczęła strzelać, mając doskonały cel z masy ludzi

i wozów. Wtedy to jedna z kul moskiewskich roztrzaskała zamek u karabinu szw. Kocięckiego. Druga zaś, większa część plutonu, poszła wprawo i znalazłszy się wśród własnej piechoty, popieranej dwoma czołgami, wraz z nią atakowała, by złamawszy opór nieprzyjaciela, znów w szyku konnym na niego nacierać, zdobywając 1 działo, 2 karabiny maszynowe, wozy i przeszło stu jeńców.

Ppor. Boichut, jako zawodowy artylerzysta, chciał zaraz użyć działą, ale okazało się, że było ono bez zamka.

Ponieważ został zdobyty tylko jeden koń, więc szwoleżerowie, chcąc działą dociągnąć do Wyszyn, musieli zaprząć swoje. W drodze do Wyszyn zostaje pluton jeszcze zdaleka ostrzelany, tracąc jednego konia.

Czwarty pluton częściowo pozostał przy d-wie pułku, częściowo rozdzielony wylapywał małe oddziały rosyjskie, przechodzące jeszcze szosą Mława—Strzegowo.

Jeden z tych naszych patroli pod d-wem szwol. Kaźłowskiego, w składzie pięciu ludzi (Z. Gerlach, A. Protasiewicz) natknął się pod wsią Kosiny na piechotę bolszewicką w sile 120 ludzi.

Że animusz u szwoleżerów, a zwłaszcza u ich dowódcy był wielki, więc szarżowano. Piechurzy, zdezerjentowani ostatnimi walkami, bez walki rzucili broń. Obdarci, bosi, wynędzniali nie przedstawiali groźnego widoku. Ponieważ patrol musiał wracać w kierunku dochodzących strzałów, szwol. Kaźłowski zdał komendę nad jeńcami soltysowi. — „Damy sobie z nimi radę“ — upewniał uradowany soltys.

Patrol w powrotnej drodze spotkał się z częścią trzeciego plutonu i wraz z nim, atakując tabory, musiał chronić się za kamionki. Dopiero przy pomocy ognia piechoty, mógł kontynuować dalszy pościg, przyłapując kilkanaście wozów bez koni i trochę ludzi.

Walki z przedzierającym się korpusem Gaya dały szwadronowi w zdobyczy: 2 działa, 2 karabiny maszynowe i kilkuset jeńca. Całe masy tych jeńców odprowadzono w stronę Mławy. Dziwny też widok przedstawiały zdobyte stada bydła, liczące chyba tysiące sztuk. Bydło to zrabowane zostało przez moskali w okolicach, z których uchodzili.

Zmęczeni ludzie jakby zamglonym okiem patrzyli na tą wszystką zdobycz. Niczem były trudy — za te wzbudzone uczucia, niezapomniane wrażenia.

Wyszyny przyjęły 201 pułk grobową ciszą. Tu na chwil parę przed naszym przybyciem zamordowano w okrutny sposób miejscowego proboszcza, ks. Stanisława Szulborskiego.

Niedaleko zaś od Wyszyn pod Konopkami, dywizje Gaya wyrąbały w nocy trzeci bataljon 49 p. p., znęcając się nad rannymi, mordując jeńców. Krwawa szabla kozacka chciała Polskę pożegnać mordem, wzbudzając strach przed sobą. Ale zamiast strachu wzbudziła tylko nienawiść i pragnienie odwetu.

Roztrzaskana głowa, porąbane zwłoki ks. Szulborskiego, który nie zszedł z powierzonego mu posterunku, zmasakrowane ciała kolegów - piechurów, były dla pol-

skiego żołnierza podniętą w dalszych jego trudach, były relikwią i ideą.

Obszerne stodoły i stajnie w Wyszynach zapelniły się ludźmi i końmi. We dworze pustym i ograbionym stanął sztab. Okna dworu porąbane, drzwi pocięte, sprzęty poniszczone, w kątach odchody ludzkie, — wszystko to świadczyło wymownie o kulturze wschodniego najeźdźcy.

Noc dała wypoczynek. Spali twardo wszyscy, oprócz tych, którzy skuleni, okryci płaszcami wyteżali swój wzrok ku smudze przydrożnych drzew, czy hen, pod szarzejący las. Jakżesz lekko było na sercu, jak dobrze z myślą o żołnierskim obowiązku!...

Co do mnie — nie spałem też tej nocy, bo wraz ze szwol. Werpechowskim, swoim profesorem matematyki (obecnym majorem i wykładowcą w Wojskowej Szkole Inżynierji w Warszawie) wiozłem owies z Unieżyrza do szwadronu. Na trzech wozach mieliśmy prowiant.

Kręcące się polskie patrole zakomunikowały nam, że droga jest jeszcze niepewna. Ale ponieważ mieliśmy rozkaz jaknajszybszego dowozu furazu, a po drugie — pilno nam było do kolegów, więc, nie czekając świtu, ruszyliśmy o zmierzchu (22. 8) w stronę Mławy, zupełnie samotni, gdyż z innych szwadronów eskorty postanowiły czekać do rana.

Szosa, którąśmy jechali, zasłana była literalnie komunistycznymi broszurami, które wieźli do Polski komisarze. W ucieczce, dla ulżenia koniom, zrzucono ich całe paki z wozów na drogę.

Już za Strzegowem spotkaliliśmy pierwsze podwody, które odbito bolszewikom w dzisiejszych walkach pod Mławą. Wracaly do domów. Niektóre z nich były aż spod Bielska Płockiego i Gory. Zatrzymaliśmy kilka z nich i pytamy: skąd? Padają znane nazwy wsi. Przed oczyma stają nam rodzinne kąty.

Wreszcie skończył się sznur wozów i ogarnęła nas ciemna, samotna noc. Droga była mi dobrze znana, bo jeździłem nią nieraz do Mławy. Tu znany lassek, gdzie w cieniu znajdowało się odpoczynek, tam znów przydrożna zagroda, która swemi konturami mocno wryła się w pamięć dziecka.

Gdzieś już po północy doszedł do uszu naszych wyraźny hałas: ludzkie rozmowy zmieszane ze stukiem kopyt i chrzęstem broni. Zatrzymawszy wozy, rowem podsunęliśmy się bliżej i ujrzelśmy polską baterję, popasającą we wsi.

Nieco dalej, natknęliśmy się na podjazd któregoś pułku ułanów, który z pola zaczął nas okrążyć. Chwila namysłu. — Co robić? — Czy to nasi, czy nie nasi? Czy strzelać i bronić wozów, czy wiać?...

Z rewolwerem w rękę daliśmy się zbliżyć ułanom. Na strachu się skończyło.

Gdy dniało, ujrzelśmy po bokach szosy rozwalone wozy, rozbite kuchnie, parę zabitych koni. W rowach, uprzątnięte z jezdni, leżały tu i tam trupy bolszewików. Twarze już były jakby napuchnięte. Leżeli cisi, spokojni, w trupim bezładzie. Skończyli już swą życiową piel-

grzymkę — zdala od swoich; przed chwilą jeszcze, gdy nieśli karabin, znienawidzeni przez obcych.

Przed Mławą zatrzymały nas posterunki piechoty. Na prawo i lewo od szosy ciągnęły się okopiki, a w nich widać było śpiących żołnierzy i sterczące lufy karabinów. Czuwały tylko czujki skulone, niewidoczne bez mała. W rowie spał owinięty płaszczem porucznik. Zbudzony turkotem, zerwał się i zaczął wypypywać nas o nieprzyjaciela.

W Mławie szwadronu nie było. Miasto roilo się od wojska, a ulice i rynek zapchane były zdobytymi armatami i karabinami maszynowymi. W parku stały tanki.

O godz. 10-ej złapaliśmy odpoczywający szwadron w Wyszynach i, zdawszy transport szefowi — ku jego uciesze, bo owsa brakło — meldowaliśmy się w plutonach. Słuchałem opowiadań o walce pod Mławą.

Syty i jako tako wypoczęty, pułk pomaszzerował tego dnia (23. VIII) do Mławy i przenocowawszy w Wólce, połączył się następnego dnia z całą dywizją jazdy.

Ruszono za bolszewikami, którym od północy zagradzała już drogę nasza piechota. Wspaniały był widok, gdy kilka pułków jazdy posuwało się szerokim traktem. Pstrzyła się długa ich wstęga różnemi barwami koni i mundurów, wiła się barwnym węzłem wśród jasnych pól, migotała w promieniach słońca, ginęła hen, gdzieś za wzgórzem.

W niektórych miejscach trakt rozszerzony był przez uciekających moskali do kilkudziesięciu metrów. Co krok leżały połamane wozy, popalone samochody cięża-

rowe, które nie mogły wyrwać się z czeluści piasku. Amunicja od dział leżała całemi gromadami. Widzieliśmy lance kozackie, ułożone czwórkami: widocznie oddziały rzuciły je na komendę. Wszędzie znać było, że nieprzyjaciel uchodził w popłochu. I tylko z tyłu pozostawała czerwona armja masy szpiegów, którzy jednak prędko wpadali w ręce wojsk polskich. Oto z boku drogi, którą maszerujemy, przy samotnej gruszy na miedzy, widać dwie postacie, strzeżone przez paru ułanów. Akurat nadjechał oficer; zawiązano „cywilom“ oczy, eskorta odeszła parę kroków i... tarrach. Dwa ciała bezwładnie opadły na ziemię.

Dywizja jazdy dotarła do wsi Kuklin, gdzie zatrzymała się, bo nieprzyjaciel zdążył już przejść granicę niemiecką. Przednim polskim oddziałom udało się odbić tylko kilkuset swoich żołnierzy, którzy dostali się do niewoli w ciągu trzech ostatnich dni, przy przebijaniu się Gaya. Trzeba temu ostatniemu przyznać, że przebiecie się jego przez polskie wojska dokonane było z prawdziwie kawaleryjską brawurą.

Wśród powracających z niewoli piechurów, poznałem paru swoich kolegów z ławy szkolnej.

W Kuklinie miejscowe „panienki“ karmiły kawalerzystów kapuśniakiem i to „ad libitum“. Za posiłek dziękowano wesołemi żartami.

Naokoło płotu kościelnego stały konie, które paśliśmy z ręki.

Nocleg wypadł we wsi Wietrznia. O wschodzie słońca, 18 ludzi z czwartego plutonu na czele z plt. Gnatem,

który zajął miejsce Gaika, zostało wysłanych na przejście okolicznych lasów. Byliśmy świadkami faktu, chlubnie świadczącego o duszy polskiego dzieciaka. Gdy oddział nasz przeglądał zarośla i pola, podbiegł malutki pastuszek (około 10 lat) i wskazując ręką przed sobą, szeptał: „bolszewik!“ Rzeczywiście — przed nami w odległości może kilometra, jakiś człowiek śpiesznie zdązał w kierunku grupy drzew. Ruszono kłusem i po paru minutach malutki lasek był otoczony. Nadbiegł też chłopczyzna i dalejże z nami szukać; włożył pod każdy większy krzak, każde zagłębienie oglądał. Z oczu tryskała mu radość, że i on swojemu wojsku pomaga. Z pewnem wzruszeniem patrzyliśmy na tego dzieciaka, który, idąc za podszeptem wrodzonego instynktu narodowego, chciał przysłużyć się wspólnej sprawie. Ale bolszewik gdzieś przepadł. Widocznie, zanim dopadliśmy lasku, musiał skryć się w dalszych zaroślach.

Ludność witała nas tu wszędzie radośnie. Gdy po całodziennych szukaniach stanęliśmy we wsi Masiak, kury, kaczki, szły pod nóż wieśniaczek, które nie żałowały niczego dla swoich wojaków.

Wszędzie tam, gdzie dotarł moskal, wzbudzał w sercach mieszkańców miłość dla wolności, dla polskiego kraju, a nienawiść do najeźdźcy. Zwłaszcza kozackie mordy, bestjałskie ich pohulanki, spowodowały silną reakcję wśród szerokich mas ludności.

Świadczyły o tem usta, oczy, otwarte serca wieśniaków, świadczyła ich radość ze zwycięstwa wojska polskiego. Niech o tem też świadczą dwa poniższe fakty,

wyjęte z wielu podobnych, które zdarzyły się w okolicy Mławy.

W jednej z wiosek zakwaterowało się na noc dwóch żołnierzy rosyjskich. Wieczorna rozmowa z mieszkańcami zagrody, widocznie niezbyt przyjaźnie nastroiła do nich kilkunastoletniego syna gospodarza, gdyż ten, korzystając z ich snu, dorwał się do stojących w kącie karabinów i obydwom wpakował — kule. Ten dzieciak zemścił się za słowa, jakimi bolszewicy zbeszcześcili jego — Polskę.

A fakt drugi: w jednym z małych miasteczek (Radzanowo n. Wkrą) do młynarza na wiatrak zaszło dwóch czy trzech krasnoarmiejców. Młynarz, krewki człowiek, na obelgę rzuconą do niego, zareagował wyrwaniem karabinu pierwszemu z brzoza. Wywiązała się walka, wynikiem której były moskiewskie... trupy. Młynarz, uzbrojony w karabiny, udał się następnie do miasteczka, gdzie kulami steroryzował „radę“, rozbroił przejeżdżającego kozaka i na jego koniu oddalił się spokojnie w stronę Płocka, gdzie przyłączył się do któregoś z pułków jazdy. Krzyż „Virtuti Militari“, który spoczął na jego piersi, był mu świadectwem rzetelnej służby dla narodowej sprawy.

Razem ze szwol. Karolem Rudowskim „błogosławiśmy“ plutonowego, gdy o północy wysłał nas na spatrowanie okolicznych dróg i pól. Żal było opuszczać smaczne legowisko, któreśmy znaleźli na sianie w jednej ze stajen we wsi Masiak.

Raniutko wróciliśmy do szwadrou, który, połączwszy się z pułkiem, zdążył do Mławy.

Nad wieczorem zaczął mżyć deszcz, który zamienił się wkrótce w ulewę. Plecy poczuły nieprzyjemną wilgoć, rozplywającą się po całym ciele. Konie potuliły uszy i nękane deszczem ledwo szły.

Przejechawszy Mławę, pułk około północy dotarł do wsi Stupsk, przemoczony do „suchej nitki“. A tu przepędzają cię z jednej stodoły do drugiej; już ulokowałeś konia i kontent zmierzasz do izby, gdy wpada władza i każe znów wędrować dalej. Wreszcie znaleźliśmy się przy stole, na którym dymiła kolacja: mleko z ziemniakami. Cali w bieli, (ewentualnie poszarzałej), bo mundury suszyły się przy ogniu, „wcinali“ szwoleżerowie to, co dobry los im zesłał.

W Stupsku stał pułk do 2-go września; trzeci pluton rozmieścił się w zabudowaniach folwarcznych, pozostałe — po zagrodach gospodarskich.

Przez te parę dni postoju ludzie i konie wypoczęli sobie należycie. Dwa razy tylko przeprowadzono ćwiczenia w cięciu łożin, a resztę dnia spędzaliśmy na czyszczeniu broni, ryszunka i koni. Wymykaliśmy się też po zakup owocu do dworskiego ogrodu i na pogawędkę do sąsiednich plutonów.

Nadeszły wieści z domu, ze znanych stron, bo moc ludzi zjeżdżało się do Mławy oglądać odebrane moskałom stada bydła i koni; kto poznawał swojego, zabierał go do domu.

Dowiedzieliśmy się o paru morderstwach, dokonanych na mieszkańcach folwarku i o bohaterskiej obronie Płocka. Smutną specjalnie dla mnie była wieść o śmierci kilkunastoletniego druha Zawidzkiego, który zginął od kul przy płockim Ratuszu. Jako drużynowy poznałem jego dzielny charakter i lubiłem go za jego prawość i wesołość. Nie zawiódł, nie zmienił się, nie porzucił wielkiej sprawy, chociaż naprawdę dzieckiem był jeszcze.

I takie właśnie dzieci wraz z ludźmi starszymi, którzy nie mieli już sił do służby w wojsku, (jak Wrzecionowski z Karwosiek), piersią swą bronili Płocka.

Do domu z nas młodszych nikt nie tęsknił, nawet o urlop nie prosiliśmy. Dobrze nam było w wojsku polskim, o którem przecież tak niedawno wolno było tylko marzyć. Żołnierskiego snu nie oddalibyśmy za nic.

Czwarty pluton, jak i inne, stopniał od chwili wymarszu z Płocka do połowy. Szwadron, liczący przeszło 200 szabel etatu bojowego, zmalał poniżej 120. A stało się to głównie dzięki urlopom, jakie dawano ze Stupska. Urlopy te były dla niejednego naprawdę konieczne.

Na drugi dzień po ostatnich walkach nadeszły nominacje. D-ca szwadronu zjawił się przed frontem z dwiema gwiazdkami, szef szwadronu, Gościcki, ujrzał na swoich ramionach plutonowego oznaki. Z pierwszego plutonu kapralami zostali Zdzisław Wierzbicki i Zygmunt Cichowski, starszymi szwoleżerami — Adam i Stanisław Rościszewski; w trzecim plutonie na plutonowego awansował Kazimierz Chamski, na starszych szerego-

wych: Szmelcer, Gąsiorowski, Sumiński i Kocięcki; czwarty pluton otrzymał nowego kaprała w osobie Karola Kozłowskiego, który ze wszystkich szeregowych naszego plutonu najwięcej okazał męstwa i żołnierskich cnót. Zygmunt Gerlach, A. Protasewicz i Grzybowski dostali po jednej naszywce. Drugi pluton dostał też parę awansów, ale nazwisk nie pamiętam.

Tak skończyły się walki na mazowieckich polach.

V. W P O Ś C I G U.

3-go września pułk załadował się w Iłowie. Pociągi wiozły całą II Dywizję jazdy (VIII i IX brygada) na wołyński front.

Drogę mieliśmy bajeczną. Słoneczna pogoda dopisywała, siano zapewniało wygodne legowisko, a czekolada, obficie dostarczana przez kantynę, i toruńskie pierniki, zakupione masowo w Iłowie, zaspakajały głód. Śpiew, pogawędka i karty (w małej stosowane dawce) urozmaicały drogę.

Na Pradze pociąg stanął wieczorem. Do Warszawy przepustki nikt nie dostał. Odtransportowano tylko do szpitala chorego szwol. Balińskiego z trzeciego plutonu. Wkrótce pociąg mknął w mrokach nocy.

Rano, gdy wskutek dłuższego postoju w otwartym polu wylegliśmy z wagonów, rozdano pocztę. Otrzymane listy dostarczyły garść wiadomości. Coś, jakby tęsknota obudziła się w piersiach, tęsknota za rodzinnym kątem, za tymi, którzy z życiem naszym łączną stanowili całość. Jechaliśmy w nieznaną dolę z nowem błogosławieństwem matczynego serca: „Niech was Bóg strzeże“.

Z któregoś wagonu dolatywała piosenka — „Wojenko! wojenko! cōżeś ty za pani“...

5-go września o wschodzie słońca dojeżdżaliśmy do Chełma. Miasto skąpane w zieleni, usrebrzonej rosą, budzącej się jakby pod ciepłym pierwszym promieni słońca, zdaleka wyglądało wspaniale. Nad miasto wznosiła się góra, bijąca w niebo wieżami historycznej katedry



Na front wołyński....

Stoją: plut. A. Gorski, szw. Z. Gumowski i ś. p. szw. W. Kępiak.
Siedzi szwol. S. Mieczkowski.

chełmskiej, przerobionej na cerkiew, opleciona ogródami przygarniająca u podnóża małe, koślawe domki. Bolesny widok sprawiają cerkwie tu, w kraju polskim; stoją one jakby na nasze urągowisko, jakby świadkowie naszych dawnych win i upadków.

Pułk rozkwaterował się we wsi Duży Strupin, niedaleko Chełma, które to miasteczko dostarczyło szarżom pamiętnych uciech: butelki i amora.

W czasie pobytu w Dużym Strupinie, czwarty pluton dostał nowego szwoleżera, Krępcia (z Wildna), który w naszą gromadę wniósł dużo beztroski i humoru.



W drodze do Chełma.

Stoją od prawej strony: kap. K. Kozłowski,
podch. Z. Protassewicz, szw. Jan Turski (pochylony).
Siedzi w drzwiach ppor. Boichut i „Michał” — trębacz.

Pobyt w tej wsi upamiętnił się nam deszczami zamieniającymi drogi w jedno bajoro; mnie zaś i szwol. K. Rudowskiemu upamiętnił się także i tym, żeśmy na jeden dzień mianowani zostali telefonistami, a ściślej mó-

wiąc „druciarzami“ i musieli, zmoknięci, zabłoceni urządzić, a potem zwinąć połączenie telefoniczne od d-cy szwadronu do d-wa pułku.

9-go września pułk ruszył na front.

Wyjaśnić tu należy, że 2-ga Dywizja jazdy wraz z 1-szą Dywizją utworzyła Korpus jazdy, dowodzonej



Na postoju.

Leżą: ?, rotm. Rudolf Dreszer, wachm. T. Sułowski
(z tyłu rotm.), „Michał“ (w furazerce), plut. A. Gorski,
por. Bogusławski, podch. Z. Protassewicz (kłęczy),
por. J. Zarzycki, ?, ppor. Boichut.

przez pułkownika J. Rómmła. Od Bugu, aż do zakończenia wojny, działał Korpus jako jednostka taktyczna. Znaleźliśmy się więc w dużej kawaleryjskiej rodzinie.

Po opuszczeniu Strupina pierwszy nocleg wypadł w ogromnej wsi — Żmudź. Wspaniałe folwarczne stajnie i wśród słomy zapewniły i koniom i ludziom kapitalny wypoczynek.

Po trzech dniach uciążliwego marszu poprzez błotniste drogi, minąwszy wsie Raciborowice i Metelin oraz szereg pustych folwarków, rozwalonych fabryk, zawa-



Odpoczynek w drodze do Strupina.

Od prawej strony: plut. Gorski, por. Zarzycki, szwol. S. Mieczkowski, szwol. J. Gościcki, szwol. A. Czaplicki, kapr. Z. Wierzbicki, szwol. Z. Gumowski, z tyłu dwóch szwoleżerów w furazerkach.

dziwszy o Hrubieszów, stanęła 2-ga Dywizja jazdy rankiem 12-go września pod wsią Kosmów.

Na płaskim polu długimi szeregami stały pułki jazdy, stały skupione, spokojne. Huk armat od czasu do

czasu wstrząsnął powietrzem, grzechot karabinów maszynowych dochodził wyraźnie do uczu. Wozy czołówek sanitarnych ciągnęły na linję i spowrotem. Jaszczce artyleryjskie wiozły amunicję.

Nagle przed frontem pułku zjawił się kapelan ks. Walenty Mróz. Szwadrony utworzyły czworobok i pa dla krótka komenda: „Baczność“. Kapelan odmówił modlitwę, przeżegnał szeregi, udzielił rozgrzeszenia. Dalekie wspomnienia zamajaczyły w pamięci, zadrzała struna nieokreślonego żalu. Ale już pada następna komenda i pułk sunie długim sznurem po drodze, by za chwil parę rozwinąć się znów na polu i wysłuchać rozkazu odczytanego przez adjutanta pułku, por. Bogusławskiego.

Rozkaz głosił: ...precz z litością dla pułków kozackich: za mękę naszych torturowanych żołnierzy, za znęcanie się nad rannymi i bezbronnymi, za hańbienie Polek, które w pierwszych linjach niosły ulgę cierpiącym, za całe piekło bestjałskich czynów — niech wraza pierś kozaka Budiennego spodziewa się od polskiego kawalerzysty tylko celnej kuli lub śmiertelnego cięcia jego szabli!...

Przed nami więc — Budienny! Ten, którym bez mała niańki straszyły polskie dzieci.

Kto z nas nie znał tego nazwiska?! Wszak on — Budienny — pierwszy zatargał naszym południowym frontem, on pierwszy zmusił nasze najodważniejsze dywizje do odwrotu, i to do odwrotu, aż hen bez mała w samo serce Polski; zmusił, stratowawszy kopytami swych 4-ch

dywizji niejeden polski oddział, splamiwszy się krwią niejednego mordu.

On, Budienny — pierwszy wzbudził też w nas piekące uczucie wstydu, ten były wachmistrz niżegorodzkiego dragońskiego pułku.

Pamiętaliśmy dobrze niedawne dni czerwca i lipca, kiedy imię jego łączyło się z naszą klęską. Zwyciężał on wtedy naszych wodzów, którzy tak chlubnie walczyli w wojnie światowej i którzy przecież potrafili zwycięski sztandar zatknąć aż u bram Kijowa.

Bolało to mocno. Z jakąż ulgą dowiedzieliśmy się o klęsce zadanej mu przez naszą piechotę.

A teraz Korpus jazdy pułk. Rómmła idzie dokończyć zwycięstwa.

Na twarzach malowała się ostrość, w sercach biła — zawziętość.

Wkrótce pole opustoszało.

Drogą, którą zmierzaliśmy w stronę mostu, ciągnął długi sznur rannych koni, prowadzonych przez ułanów. Niektóre konie miały obnażone ze skóry całe boki, wiele z nich kulało. Szczególniej jeden zrobił na nas przykre wrażenie, stąpał bowiem z głową, stanowiącą jedną czerwoną ranę. Biedne zwierzęta cierpiały; widać to było po ich spuszczonej łbach. Czyż kawalerzysta może nie uważać swego konia za prawdziwego przyjaciela? Przecież zawiera z nim często przymierze z krwi, przymierze, co łączy silnie, nieraz tak silnie, że aż do śmierci, znalezionej razem na polu chwały.

Przeprawa przez Bug sforsowana była o świcie oddziałami 1-szej Dywizji jazdy, które odrzuciły następnie nieprzyjaciela od rzeki i zapewniły naszej Dywizji spokojne przejście przez most.

Most drewniany, szeroki, solidnie zbudowany, strzeżony był bagnetami kilku piechurów. Zaraz za nim, ledwośmy wydostali się z nadbrzeżnych łąk, spotkaliśmy



**Czwarty szwadron przed przejściem Bugu.
Stoi por. Zarzycki.**

kilkunastu rannych; jedni z nich szli spokojnie, ale wolno, drudzy jechali na wozach jęcząc, a byli i tacy, co leżeli bezwładnie z trupią jakby już twarzą, zamienieni często na krwawą masę, w której podobno tliła się iskierka życia. Do uszu naszych doleciał rozpaczliwy jęk i urywane krzyki: to z bólu szarpał rany jakiś żołnierz, któremu granat oderwał nogę, wyrwał kawał boku i ca-

łego pokaleczyć. Wieziono go na specjalnych noszach, między dwoma końmi, a on przeklinał i darł opatrunki. Żywe jeszcze, krwawiące strzępy ciała ludzkiego, widziane poza linią frontu, obdzierają wojnę z jej sławy i uroku. Gdy się patrzy na nie w wirze walki, przy zgiełku i napięciu bitwy, są one relikwią żołnierskiego czynu.

Po paru minutach dojeżdżamy do wsi. Za chałupami stoją ukryte wozy czołówek sanitarnych, a w nich widać sanitariuszki, które niezbyt tęgie mają miny, bo kule lecą nie na żarty i pociski wybuchają blisko.

Gdy na chwilę kolumna jazdy stanęła, wzrok kawalerzystów, przebiegłszy szereg twarzy kobiecych, zatrzymał się na jednej z nich: buzię miała młodą — ot tak, dziesiętnastolatka. Czarne oczy dopasowały się do śniadej cery, a zadarty nieco nosek nadawał twarzy sympatyczny, łobuzerski wyraz. Ładna była ze swoim lękiem w oczach i z pobladłą twarzyczką. Zorjentowawszy się, że ją obserwują, zakryła oczy długimi rzęsami i zaczęła dostawać na policzkach nieznacznych rumieńców. Od czasu do czasu, nie mogąc powstrzymać wrodzonej ciekawości, rzucała na kawalerzystów krótkie spojrzenie. „W rękach takiej sanitariuszki - spartanki rauny prędko muszą się goić“ — zadowcipkował ktoś. „Jedne się zgoją, a drugie mogą się otworzyć — w sercu“, ktoś bardziej romantyczny dorzucił. A jednak naprawdę odważne to były kobiety i pełne poświęcenia. Rzuciły przecież dostatek, bezpieczeństwo i poszły na niepewny los, nieraz gorszy jak żołnierski. Nie zastraszyły się śmier-

cią swoich poprzedniczek, które zginęły w torturach, w bestjałskich mękach, hen, po Ukrainie padając.

Na polu z boku drogi widać było stojące na stanowiskach ogniowych dwie baterje. Przejeżdżamy blisko obok jednej z nich, która bije raz poraz. Cztery napozór spokojne, martwe cielska stalowe wstrząsną się, hukiem napelnia powietrze i znów stają nieczułe, nieme, póki nie padną słowa następnej komendy. W tych zimnych, a bezlitosnych narzędziach walki mieści się utajona potęga, potęga zniszczenia i śmierci. Kilka słów, naprężenie paru mięśni i nieżywa masa zadrga, ożyje, przemieni się. A po strzale cofnie się nieco, wzdrygnie, jakby przez moment odczuła, ile bólu tam, przed sobą sprawiła. Jak jednak piechur, czy kawalerzysta kocha „swoje armatki“, o ileż rażniej idzie w bój, gdy one pośpieszą mu z pomocą. A jak mocno nienawidzi tych obcych, co kawałami rwą mu ciało.

Minąwszy wieś i gromadki trupów nakrytych kocami, wjechał pułk w jar, gdzie zgrupowanych już było kilka pułków jazdy.

Szwadron zatrzymał się zaraz za wsią przy wiatraku, koło którego stała grupa oficerów. Lornetowali zawzięcie wieś, będącą zdaje się celem polskiego natarcia. Kule karabinowe bzykały gęsto. Ktoś obsunął się z grupy oficerów na ziemię. Nagle między nami a wiatrakiem upadł pocisk, jeden, drugi, hukiem napelniało się powietrze, obłok ziemi wzbił się w górę, konie zachrapały, bliższe usiadły aż na zadach. Nieprzyjacieli spostrzegł widocznie większe zgrupowanie jazdy, oraz zauważył

oficerów koło wiatraka, bo zaczął mocno prażyć. Nie żałował ani kul karabinowych, ani też pocisków armatnich.

Oficerowie skryli się za jakimś domem, rannego ulana wynieśli sanitariusze. Nas zaś rozrzucono w szachownicę: każdy pluton oddzielnie. Pociski padają to z przodu, to z tyłu — plutony przesuwają się to w prawo, to w lewo, jakby chciały znaleźć zupełnie bezpieczne miejsce. Zdawało się, że widać było drzewa we wsi, której bronili moskale. Wreszcie przesunięto szwadron bardziej w głąb wąwozu, poza stoki, którego leżeli spieszeni ulani.

Bitwa trwała. Karabiny maszynowe strzelały prawie bez przerwy, wtórowały im armaty polskie i sowieckie. Pociski tych ostatnich świszczały nam nad głowami, padając na szczęście poza stoki. Kłęby dymu wyrzucanej do góry świadczyły o miejscu wybuchu. Kule karabinowe już bez wielkiej siły błękały się po przeciwnym stoku. Jedna z lotek szrapnelowych trafiła szwola Tadeusza Strzeszewskiego, ale krzywdy mu żadnej nie zrobiła. Wychyliwszy głowę za stoki, widać było naszą linię tyraljerki, wtuloną w ziemię, oraz stanowiska c. k. m.ów. A tam zdawało się, że zadrzewiona, wieś ziejąca ogniem, tak niedaleko nas... a tak odległa, oddzielona niejednym może jeszcze życiem, bólem, zanim będzie naszą — zdobytą.

Znowu przesunięto nas dalej.

Prędko oswoił się szwoleżer z hałasem i niejednym, zjadłszy obiad (w czasie którego koń szwol. Mieczkow-

skiego z 1-go plutonu kopnięty przez innego w czoło padł trupem na miejscu), nawet zdrzemnął się nieco.

Walka trwała prawie do samego wieczora, ponieważ nieprzyjaciel bronił się zawzięcie.

Na zachód słońca dopiero działa i karabiny zamilkły. Krasnoarmiejcy pod naciskiem któregoś z pułków ułanów ustąpili z zapalanej wsi, którą to zająć dostał rozkaz 201 p. szwoleżerów.

Wieczór zapadł już zupełny, gdyśmy napoiwszy wprzód konie w strumieniu — wydostali się z wąwozu i, rozdzieleni następnie na szwadrony, a te na plutony, zaczęli posuwać się pod wieś (zdaje się, że były to Morozowice). Wspaniały ale i groźny był widok: domy wsi stały wszystkie od strony nas w ogniu, który tworzył czerwoną tarczę na ciemnem tle nieba. Tarsza płonęła, mieniła się, oświeślała pole, na którem stały rozstawione w szachownice polskie oddziały.

Blask ognia odbijał się w szablach, czerwienił twarze, rzucał długie smugi cieni. Owiani purpurą ognia, podobni byli szwoleżerowie do legendarnego snu, w którym dziecko niewoli ujrzało rycerzy w krwawym ogniu zwycięskiej pożogi.

A żywioł rósł, potężniał, szalał. W ogniu widać było przebiegające postacie.

Z niewiadomych nam powodów do palącej się wsi wjechały tylko patrole, które zostały tam całą noc, a cały pułk powrócił do wsi leżącej obok wąwozu. Wieś była widocznie nieduża, bo szwadron dostał do noclegu dwie małe obok siebie leżące zagrody. A może zakwate-

rowano nas tak ciasno ze względów bezpieczeństwa! Placówkami obstawiono kwatery.

Konie nierozsiodłane posilały się sianem. Te, które nie miały już miejsca przy płotach, stały przywiązane grupkami do wyciągniętego z puśliska strzemienia.

Rano, ledwie zaświtało, pułk znalazł się już, na tlejących jeszcze zgłiszczach. Szwadrony czekały na wyświetlenie sytuacji, a plt. Gnat z trzema „czwartakami“ ruszył na spatrolowanie wsi, z poza której odzywały się armaty strzelające w stronę nas.

Droga wypadła przez spaloną częściowo wieś. Na jednym z popielisk siedziała kobieta i zawodziła smętną pieśń; z oczu jej wyglądał obłęd. Grzebała kijem w popiele, lub zrywała isę i tańczyła. Prawo wojny jest okrutne — pomyślałem — ale czy prędko możliwe do zastąpienia prawem pokoju?

Minąwszy za ostatnimi zagrodami rozstawione placówki, jechaliśmy nieco pod górę. Jak tylko ujrzelismy wieś, oddaloną o niecały kilometr, odezwała się ona. Psst... psst.. lecę już kochane kuleczki, to bliżej, to dalej, to gdzieś u góry, to z boku. Cel bolszewik ma dobry, bo pola płaskie, gołe, więc im bliżej podsuwamy się, kule robią się coraz bardziej natrętne. Konie strzygą uszami.

Nam twarze pobladły, bo dziwne uczucie budzi się w człowieku, gdy grozi mu niebezpieczeństwo, a on na to reagować nie może. Żeby chociaż strzelić samemu, zając się, rozruszać, pogalopować. Ale czekać „swojej“

kuli, beczynnie siedząc na siodle, to zbyt przyjemne nie jest.

„Jeszcze kawalek“ — dodał nam odwagi plutonowy i chcąc zmniejszyć cel, rozrzucił nas po swoich bokach. Kule sygnęły się gęściej; między zabudowaniami widać wyraźnie gromadki celujących żołnierzy. Plutonowy wstrzymał patrol, przyjrzał się dokładnie niedalekiej wsi, a widząc, że moskale nie myślą przestać strzelać, zawrócił do szwadronu.

Wkrótce trzeci i czwarty szwadron 201 pułku szwoleżerów zaczął oskrzydlać nieprzyjaciela. Ledwośmy wydostali się na otwarte pole, sowiecka artylerja już nas spostrzegła i dalej „pukać“. Ale bardzo kiepskiego miała obserwatora, bo pociski jej padały o kilkadziesiąt metrów od maszerującej kolumny.

Marsz trwał krótko. Tuż za dworskim ogrodem we wsi X (?) szwadrony rozsypały się w tyraljerkę. Ruszono. W dali, w dolinie widać było kozaków, którzy spostrzegłszy nasz manewr, czemp prędzej dosiedli koni. Mentalnie wsadzono i nas na konie i galopem pognaliśmy. W prawo pędziły już inne szwadrony.

Zaczął się gwałtowny pościg za ustępującą armją sowiecką. Dywizje Budiennego, jakby zawstyżone swą gasnącą gwiazdą, uchodziły prawie bez walki, piechota rosyjska dotrzymywała im kroku.

Zdala tylko po wzgórzach, czy pagórkach — w artystycznych jakby obrazach — widzieliśmy kozackie patrole, które na nasze oskrzydłujące manewry, odpowiadały strzałami i — ucieczką.

A długie kolumny polskiej jazdy wiły się barwnym wężem wśród pól i zarośli, rozpościerały się jak wachlarz, gdy szarżę nacierały, ścieśniały się znów w jedną zygzakowatą linję, gdy klusem doganiać musiały ustępującego nieprzyjaciela, nikły w małych zagłębieniach terenu, chowały się za kępy drzew lub zagrody, gdy moskal karabinem maszynowym i działami je straszył — by za chwil parę gdzieś z boku wypełznąć i uderzyć. Naprawdę ruchliwe i barwne tworzyły to widoki.

Strzały, oddawane przez tylne strażę, na krótko powstrzymywały naszą jazdę, która wnet przechodziła do natarcia, — łamiąc momentalnie opór słabego ubezpieczenia.

Dywizja nasza, depcząc nieprzyjacielowi po piętach, parła bez wytchnienia. W ciągu pięciu dni zrobiono około 350 klm. — a gdzież zwiady, ubezpieczenia?

Inny to był marsz, aniżeli pod Warszawą. Przygnębienia ani śladu. Pułki szły ochoczo, rażno, na postojach rozbrzmiewał śmiech, na patrolach ochota. Ofensywa samym swoim charakterem walki dodawała żołnierzowi odwagi, i w ciemne noce śmiało podsuwały się nasze podjazdy pod rosyjskie biwaki, by spędzać nieprzyjacielowi sen z powiek. Brygada szła przez wieś Grzybowice — Myszów, (nocleg z 13 na 14. IX).

W drugim dniu pościgu zdawało się, że już dojdzie do bitwy. Walkę zaczęły z obu stron karabiny maszynowe. Działa zajęły na stanowiska, a pułki rozrzucono po polu. Przednie oddziały spieszo, bo moskale prażyli gęsto. Ruszyliśmy częścią szwadronu do natarcia.

Ale nieprzyjaciół krótko stawiał opór swą strażą tylną, wycofując się w pośpiechu. Szarża z boku któregoś pułku ułanów, dała zdobycz — dwa działa. 201 pułk szwoleżerów przeszedł na czoło. Po parogodziennym marszu, w znacznej części odbytego klusem, zatrzymał się wreszcie pułk wśród ciemnej nocy we wsi Świniuchy (z 14 na 15. IX).

Ponieważ cały trakt zajęty był przez wyczekującą kolumnę, łącznicy musieli omijać ją bokiem po polu. I traf zdarzył, że jeden z nich dzięki ciemnicy wpadł z koniem do nieogrodzonej studni. Wszczął się hałas, szukanie lin u artylerzystów. Ktoś na ochotnika opuszczać się zaczął po linie, ale gazy zmusiły go do odwrotu już z połowy drogi. Dopiero po długich zabiegach wydobyto na pół żywego żołnierza, do którego — o ile mnie pamięć nie zawodzi — wpadł jeszcze jeden z ratowniczej ekspedycji (Woźniak) z urwaną liną. Wybawicielem i bohaterem chwili był nasz sanitariusz — Dietrych z Płocka. Koń zabił się na miejscu. Szwoleżer zaś na drugi dzień był już w szeregu.

Szwadron ulokował się po prawej stronie drogi, u żyda karczmarza. Konie przywiązano gdzie kto mógł, gdzie kto mógł ułożył się spać. Szwal. Śniegocki, specjalista w wyszukiwaniu dobrych rzeczy, znalazł mały stryszek nad chlewkami, pełen siana. Schroniło się tam nas paru. Na miękkim posłaniu sen zmorzył momentalnie. Ale trwał na nieszczęście bardzo krótko. Bo oto przez sen słyszymy głos kpr. Wodzyńskiego, „Matusiak i t. d. — na patrol“. Po omacku opuściliśmy strych.

W pięciu (Matusiak, Śniegocki, zdaje się, że Jagnieża, ja i kpr. Wodzyński) mieliśmy dotrzeć do wyznaczonej wsi.

Droga była szeroka, niebo przetarło się, więc posuwaliśmy się szybko. Po drodze zaatakowaliśmy parę przydrożnych krzaków, które w szarzyźnie nocy wydały się kpr. Wodzyńskiemu — kozakami.

Dotarłszy do nakazanego celu, dowiedzieliśmy się, że nie minęło pół godziny, jak przejeżdżały tędy uciekające tabory. Rzeczywiście turkot dochodził do uszu. Jakś wieśniak opowiadał kpr. Wodzyńskiemu z przejęciem — o kozakach.

Gdy kpr. Wodzyński zdawał meldunek w d-wie, nad wsią Świniuchy wzeszło słońce. Wieś Świniuchy, niegdyś podobno rozległa i zamożna, dzisiaj przedstawiała kupę gruzów i zgliszcz. Wojna światowa zmiotła ją prawie z powierzchni ziemi.

Rosół z fasolą, z dodatkiem przyzwoitej porcji mięsa, podany na śniadanie (które było i kolacją z dnia poprzedniego) zaspokoił głód.

Jakąś dziwną wymowę miało jedzenie w wojsku. To nie była czynność taka sobie zwyczajna — jak w cywilu. Daleko więcej było w niej istotnej treści, daleko więcej... życia.

Może działał tu instynkt, który wiedział, że głód osłabiający siły, nerwy — jest sprzymierzeńcem wroga.

Nieraz w kawale suchego, razowego chleba było coś jakby z... kościoła.

W dalszym marszu brygada mijiała potężne okopy „Stochodu“, świeżące jeszcze białemi kośćmi, wytrzeszczające na nas oczodoły czaszek ludzkich. Iluż tu padło i Polaków, walczących w obronie obcych spraw. Tu, w tym pasie, przez który przechodziliśmy, rozegrał się jeden z najkrwawszych aktów wojny światowej.

Okolice była zupełnie zniszczona, ludzie mieszkali w lepiankach lub schronach, w krwawym pocie wydzierając zajałowionej i poszarpanej ziemi kawałek chleba. Twarze mieszkańców ziemiste, brudne, zarośnięte, dopasowywały się do zniszczonego, znękanego krajobrazu.

Na łączce obok drogi widzimy pasącego się wielbłąda. Nie wiele on robił sobie z tego, że wczoraj pasł go krasnoarmieje, a dzisiaj ulan.

Tego dnia marsz dotkliwie dał się nam we znaki, bo maszerowano ciągle „per pedes“, prowadząc konie w rękę. Bardziej otyli kłeli. Żadnych strzałów nie było słyszeć, a długie wsie mijaliśmy bez zatrzymywania się.

W godzinach popołudniowych, gdy 201 pułk odłączył się od brygady, przednia jego straż przyłapała na drodze bolszewickiego komisarza, który, oczekując kozaków, doczekał się szwoleżerów.

Po wykryciu jego komisarzkiej szarży, rozstrzelano go. Z całym cynizmem, ze stekiem plugawych słów — czekał na śmierć. Śmiał się, że jednak zdążył już niejednemu „Polaczkowi“ kulą łeb roztrzaskać lub męką piekielną dokuczyć. Dla was, komisarze bolszewiccy, którzyście z rozkoszą pastwili się nad bezbronnymi, z okrucieństwem iście wschodniem, darli pasami ciało z pol-

skich żołnierzy, wydłubywali żywym oczy, z sadyzmem piekielnym ucinali piersi polskich sanitariuszek, plugawiąc przedtem ich ciało, — dla was za zaszczytną była śmierć od polskiej kuli. Wam należałaby się tu, na ziemi, wieczysta — cielesna męka!...

Przed wieczorem, niepełny płocki szwadron znalazł się na przodzie. Trzeci pluton oddzielił się od niego zaraz koło brzozowego lasu. Pół plutonu czwartego z plt. Gnatem pełniło dzisiaj służbę łącznikową przy sztabie dywizji.

Por. Zarzycki wysłał ubezpieczenia. Siwek, odziedziczony przezemnie po szwol. Gierlachu starszym, który ze wsi Myszów odszedł do szpitala, (mój poprzedni wierzchowiec z powodu złego okucia, kulął nieca, więc wziął go podoficer z taborów), śmiało zapuszczał się w zarośla i lasy, rażno stąpał po ścierniskach lub porożonych zagonach. Spotkany wieśniak, orzący pole, poinformował mnie, że kozacy przejeżdżali tędy przed chwilą. W pewnym momencie, mijając wieś Radomyśl (?), ujrzałem na jej skraju paru jeźdźców, z których jeden ubrany był w kozacką burkę. Chociaż już zdaleka do mnie przyjaźnie kiwali, nieufnie podjechałem do nich. Okazało się, że był to patrol któregoś z pułku ułanów, działających od nas na prawo, a kozak był jeńcem. Ofiarował on zaraz swoje usługi naszej armji. Takich postaci było więcej w polskim wojsku.

Mrok zapadł. Kpr. Kozłowski z pięciu ludźmi został wysłany w prawo za łąkę. Zbadawszy szeregi samotnych zagród, pomyszkowawszy po okolicznych polach,

wrócił wreszcie już późno kpr. Kozłowski do wsi X (?), po drodze łącząc się z plt. Gnatem, który powracał ze służby.

Duża wieś pełna już była wojska. Znalazł się w niej i nasz trzeci pluton, który powrócił z nad Styru, gdzie był świadkiem przechodzenia wojsk rosyjskich przez rzekę. Atakować ich nie mógł powodu silnego ubezpieczenia się nieprzyjaciela.

Z boku zabudowań stały działa, tam znów dalej tabory rozpałały ogień. Panował ruch, szedł z domostw gwar i dziwnie wesoły był nastrój.

Kwaterował tu i sztab dywizji.

Na nocleg wypadł nam nieduży ogród i nowobudujący się dom. Ubezpieczenia nas nie obowiązywały, więc choć krótki, ale dobry sen, pokrzepił zmęczone ciało. Już nad ranem przybyła i reszta szwadronu, która całą noc spędziła w lasku pod wsią Targowica. Por. Zarzycki zaś ze swoim ordynansem, korzystając z ciemnej nocy dostał się do samej wsi, w której pełno było rosyjskich oddziałów, zbadał przeprawę i dopiero wtedy powrócił do swoich.

Dnia 16. IX rano zmierzała dywizja ku przeprawie przez Styr.

Pułki jazdy wynurzyły się z kęp lasów i z pomiędzy grup domów i długim sznurem zsuwały się na obszerną, nagą nizinę — pułk za pułkiem, wolno, spokojnie. Słońce ciepłym promieniem ogarniało ziemię. Cichutko furgotały chorągiewki, mieniły się w słońcu barwy koni. Od przodu odezwały się karabiny. Sznur jazdy, który

znalazł się już pomiędzy domami, na gościńcu wiodącym do mostu, zasypany kulami — na szczęście górującymi — zaczął rozdzielać się, rozdrabniać i poszczególnymi członami chować się między zabudowania wsi Targowicy. Armaty odezwały się: przeprawa była dobrze broniona. Po kilkunastu minutach pułki zaczęły wycofywać się ze wsi i idąc zygzakowatymi linjami wprost na przelaj przez pola, skierowały się w prawo. Linji tych było kilka. Ledwo pokazaliśmy się na otwartem polu, działa rosyjskie skierowały na nas swój ogień. Na szczęście szrapnele, źle skalowane, nie rozpryskiwały się w powietrzu, tylko uderzając o ziemię dopiero wybuchały, ryjąc niegłęboki rowek. Padaly one między oddziały. Jeden z nich upadł tak blisko kłusującej d-ny dowódcy pułku czy brygady, że okrył ją tumanem kurzu, nie raniąc jednak nikogo. Inny obsypał czoło pierwszego plutonu wstrząsem powietrza, uszkadzając nieznacznie ucho plt. Gorskiemu (który od tego czasu na to ucho słabiej słyszał). Wyobrażam sobie, ile strat poniosłaby polska jazda, gdyby rosyjscy artylerzyści odpowiednio nastawiali wysokość rozprysku szrapneli. Te kilkadziesiąt pocisków, któremi nas obrzucono, dałyby im krwawy efekt. Na wojnie jednak wiedza odgrywa kapitalną rolę — w żniwie śmierci.

A tymczasem polska jazda, jakgdyby chciała pokazać wytrzymałość swoich nerwów, nie przyspieszała nic tempa, posuwając się iście żółwim krokiem, mimo, że pociski padają to z jednej, to z drugiej strony sunących kolumn.

Wreszcie armaty zamilkły.

Dywizja już bez przeszkód dotarła do wsi Boremiec, w której przeprawę uchwycił poprzedniego wieczoru 9 pułk ułanów. Kolejno przechodziły pułki przez most i zaraz za rzeką rozchodziły się każdy w swoją stronę.

Drugi i czwarty szwadron 201 p. wraz z 2 plutonami „taczanek“ ruszył oddzielnie. Tuż prawie za mostem wjechało w las, w którym ubezpieczenia boczne z trudem utrzymywały łączność z kolumną. Na szczęście niedługo znaleźliśmy się wśród pól, rzadko już tylko upstrzonych kępami drzew. Marsz trwał bez dłuższych odpoczynków, w tempie przyspieszonym, bo przednia straż drugiego szwadronu nie mogła „zaczepić“ się o nieprzyjaciela. Dla umożliwienia zachowania tego tempa, szliśmy bez jednego wozu taborowego. Specjalni zaś oficerowie doglądali, ażeby maruderzy nie zostawiali w tyle i nie opóźniali przez to szybkości. Gdzieś niedaleko po prawej stronie parkotał karabin maszynowy. Ale prędko ucichł. Około południa minęliśmy szosę, prowadzącą do Łucka. Obiad krótki spożyto na przydrożnej łące.

Przed wieczorem dotarły szwadrony do czeskiej wsi Moszków (?), gdzie nas usłużne gosposie zaopatrzyły w chleb i jabłka, mimo, że nie zatrzymywano się we wsi.

Noc zapadła, gdy od czoła dopiero padły strzały. To straż przednia drugiego szwadronu natrafiła na ukryty w mrokach leśnych nieprzyjacielski karabin maszynowy.

Szwadrony zatrzymały się w niegłębokim jarze, po

stronach którego ciągnął się w niedalekiej odległości las. „Z koni“! — podano z cicha komendę i legli żołnierze jak kłody na piaszczystej drodze. Chłód nocy dokuczał, więc dla rozgrzania zbijali się po paru. Ten i ów zdrzemał się. Większość jednak czuwała, bo nastrój był denerwujący. Ciemność nocy, zakaz palenia papierosów i prowadzenia rozmów, zarządzane ogniowe pogotowie — wszystko to sprawiało specjalną atmosferę. Dziwnie też nieharmonijnie dawało się odczuć w ciszy nocnej gdakanie karabinu maszynowego, w ciszy, podczas której naprawdę usłyszeć można było szelest przelatującego hen w górze ptaka.

Nagle, do uszu naszych doszły jęki i za parę minut obok nas odwożono do tyłu rannego dowódcę 2-go szwadronu, rotm. Starowójtowa, który sam prowadząc straż przednią, dostał śmiertelną serję kul.

Ledwo ucichły jęki rannego, plt. Rościszewski dostał rozkaz wzięcia paru ludzi i spatrolowania lasu, oraz nawiązania łączności z 1 pułkiem szwoleżerów, który powinien znajdować się w prawo od nas.

Tłukły się serca wybrańcom losu, gdy minawszy zarośla, wjechali na drogę biegnącą wzdłuż lasu, tam, gdzie przed kilkunastu minutami raniono śmiertelnie rotm. Starowójtowa. Dla podniesienia ducha swoich ludzi, plt. Rościszewski jechał razem ze szpicą. Kłusem wpadli na polanę, na której stała leśniczówka. Od jej mieszkańców dowiedziano się, że bolszewicy dopiero przed chwilą cofnęli się. Przyspieszył więc plutonowy tempo marszu i wkrótce droga doprowadziła do mostu. Z drugiej

jego strony padły rosyjskie słowa. Szwoleżerowie ściągneli konie. Po rosyjsku odpowiedział plutonowy i w tym samym momencie skręcił pod kątem prostopadłym w prawo, by ujechawszy kilkadziesiąt kroków, zsadzić ludzi z koni i zacząć ostrzeliwać most. Zaparkotał rosyjski karabin maszynowy.

W pomoc naszemu patrolowi przyszedł patrol z 203 p. ułanów, który z lewej strony zaatakował obronę mostu. Bolszewicy, wzięci w krzyżowy ogień, wycofali się, porzucając zacięty karabin maszynowy.

Po spatrolowaniu brzegu rzeki i nawiązaniu łączności z 1 p. szwoleżerów, powrócił patrol plt. Rościszewskiego do szwadronu, który w międzyczasie w kompletnej ciszy, ostrożnie i wolno posuwał się naprzód. Zamajały mgły: to łąki nad rzeczką Stubłą. Posuwaliśmy się górą wolno, ostrożnie. Około północy stanęliśmy w pobliżu jakiejś zagrody — na drodze. Kuląc się w przydrożnym rowie i ogrzewając jeden drugiego, trwaliśmy w półśnie, nie wypuszczając wodzy z rąk. Co jakiś czas zmieniano nas na placówkach, a o brzasku dnia przesunięto szwadrony do rozrzuconych chutorów. Lekka mgła pierzchła prędko pod działaniem promieni słońca. Dziwna rzecz, że każdy poranek, po krótkim chociaż odpoczynku wydawał się nam zawsze spokojny i dziwnie bezpieczny.

Na łączce osłoniętej lekkimi wzniesieniami terenu szwadrony odpoczywały. Po paru ludzi z każdego plutonu zabrali podoficerowie, by zaopatrzyć konie w siano. Trochę było płaczu i lamentu ze strony właścicieli za-

gród, ale czyż nas nie więcej musiało obchodzić, ażeby nasze konie nabrały sił? Kwity wystawiali plutonowi.

Nakarmiwszy konie, dotarliśmy w dalszym marszu do dębowego lasku, gdzie, czekając na wiadomości od wysłanych patroli, posilał się każdy, czem kto mógł. W tym czasie plt. Zygmunt Smoniewski nawiązał łączność z sąsiednim pułkiem ułanów, a plt. Gnat... z kozakami, którzy obsadzili wieś Zarzyck i przepędzili patrol z drugiego plutonu. Patrol plt. Gnata w sile 5 ludzi (Rudowski, Matusiak, Śniegocki, kpr. Kozłowski) został też przywitany ogniem. Ale przecież to była nasza ofenzywa, więc plutonowy w garść rewolwer i rozsypawszy ludzi po swoim boku ruszył do wsi.

Kozacy widząc, że kule nie odstraszą nacierających, cofnęli się. Na odgłos strzałów spieszo czwarty szwadron. Ścieżką wijącą się wśród krzaków i drzew biegliśmy gęsiego, aby wydostawszy się na pole rozsypać się w tyraljerę. Śmiało wkroczone do wsi, gdzie już był nasz plt. Gnat. Na drugim skraju wsi plutony zajęły stanowiska ogniowe. Obstrzał był kapitalny, bo przed wsią ciągnącą się wzdłuż drogi na wzniesieniu, rozpościerała się niżej szeroka, naga i bagnista nizina, kończąca się dopiero hen, w dali, grupami drzew, kryjących domostwa. Bystrzejsze oko dojrzeć tam mogło kręcących się ludzi.

Placówki pilnie obserwowały przedpole. Reszta zaś ludzi zajęła się napasieniem koni (popołudniu nadciągnął wóz z owsem) i — siebie. Wkrótce na ławach przed domami siedzieli żołnierze z miskami jadła. Hazajki od-

stąpiły swoje obiady. Nikt nie zważał na pojedyncze, rzadkie strzały, oddawane przez ubezpieczenia do prze-mykających się w oddali kozaków. Przed wieczorem zniecierpliwiony naszym „pukaniem“ nieprzyjaciół, przysłał nam parę szrapneli.

Najwcześniej opuścił stanowiska drugi pluton, który podążył w celu obsadzenia mostu na jakiejś rzece. Reszta szwadronu wyruszyła dopiero przed samym zachodem, ubezpieczona trzecim plutonem; szpicę prowadził kpr. K. Grabowski, ubezpieczenia boczne plt. K. Cham-ski. Już późną nocą dotarliśmy do wsi Humienniki, gdzie plt. J. Rościszewski, przyczajony między nadbrzeż-nemi zaroślami, trzymał straż nad przeprawą. Pluton jego skulony, niewidoczny w oparach nocnych, czekał na rosyjskie patrole lub nieprzyjacielskich maruderów. Zastąpił go trzeci pluton, wystawiając warty przy mo-stach. Dowódcą ich był kpr. Grabowski.

Niedługo dla pozostałych plutonów trwał wypoczy-nek, bo ledwośmy, rozbiwszy sobie trochę głów o pnie dworskiego sadu zdobyli w ogromnej folwarcznej sto-dole siana i rozłożyli je przed końmi, już pędzą dowód-cy i drą się: — „wyprowadzaj!“ — Ażeby was...

Czwartacy poszli na czoło, kpr. Wodzyński na do-wódcę ubezpieczenia, a ja — na szpicę. Z mądrą bardzo miną wysłuchałem objaśnień o drodze — którędy je-chać, gdzie skręcić, na co specjalnie zwrócić uwagę i — zapaściłem się samotny w tajemniczą noc.

Nocna szpico! Trochę tyś odmienna od „diennej“ — jeszcze bardziej czuła. Tyś nietyle okiem oddziału,

ile jego słuchem, nerwem, macką, co wyczuć musi nieprzyjaciela! A gdy zetkniesz się pierś w pierś ze strażami wroga, ot tak, że niepostrzeżenie już się nie wycofasz, masz oddać strzał — tak brzmi rozkaz. Strzał ten będzie wszystkim dla dowódcy. Reszta do ciebie nie należy. Wszystko jedno — czyś żyw. I dlategoś sam.

Tuż za ostatnimi zabudowaniami wsi, zamajaczyły w rowie dwie postacie i zarysowały się dwie sylwetki koni. Klusem podjechałem: to czołowi żołnierze z pierwszego plutonu, szwol. Antoni Czaplicki i Stefan Mieczkowski, stali na placówce.

Gdzieś już dobrze po północy, szczęśliwie jakoś nie błędząc, bo droga była szeroka i możliwie prosta, do uszu moich doleciał turkot, jaki sprawiają koła wozu jadącego po kamieniach. Zameldowałem o tem kapralowi, który wysłał zaraz meldunek do tyłu, a sam ze mną puścił się klusem do przodu. Wkrótce byliśmy już między zagrodami. Niepewni co do losu, jaki za chwilę może nas spotkać, wpadamy wprost — na działa, jadące drogą prostopadłą do naszej. Obsługa ich, jak i my, przez sekundę wytrzeszczamy nawzajem na siebie oczy, bo przecież musimy rozpoznać, a noc utrudnia. Nasze rewolwery gotowe. Okazało się, że to polska bateria samotnie zdążała w stronę Równego. Artylerzyści odetchnęli, gdy poznali swoją jazdę, bo gorzej by pewno z nimi było, gdyby z kozakami musieli stoczyć nocną walkę.

Szwadron był tuż.

We wsi Stary Żukowiec popasaliśmy już po świcie (18. IX).

W dniu tym 1 pułk szwoleżerów zdobywał Równe. Dochodziły do nas strzały armatnie, ale nieliczne. W tamtą też stronę wkrótce pomaszerowaliśmy.

Upał dokuczał nam dotkliwy, tembardziej, że kurz okrywający cały oddział, ciężarem padał na pierś żołnierza i wprost utrudniał oddychanie. Ludzie wyglądali jak mary jakieś. Tylko oczy im świeciły. Przez parę godzin szliśmy pieszo. Ostra szosa urażała nogi. Ten pieszy marsz aż do Równego do reszty nas zmógł. Bo przecież mieliśmy już za sobą 4 dni pościgu, 4 noce czuwania. Niewypowiedzianą rozkosz wyobrażał w tej chwili spokojny, pozafrontowy tryb życia, lub chociaż cień przydrożnego drzewa. Ale uczucia takie prędko mijały i wojsko znów nęciło swem życiem, swą dolą, swym żołnierskim losem.

Konie ledwo szły.

Po bokach szosy wartwały się rozbite kuchnie, szczątki poniszczonych wozów, nawet bielily się kości padłych tu kiedyś koni. Wszystko to było z tych, tak niedawnych czasów, kiedy Budienny zwycięskie wiódł w lipcu tu boje.

W Równem zgromadził się cały 201 p., stając w cegielni na skraju miasta. Płocki szwadron, który wykonywał jakieś osłaniające zadanie, przybył ostatni.

Na noc IX Brygada zakwaterowała się we wsi Szpanów.

Po drodze w Oleksynie została placówka złożona z pięciu ludzi, w celu pilnowania mostu (Przedpełski, Waśniewski, Kwasieberski).

Dziwnie bezpieczni czuliśmy się, nie wiedząc, że moskał nocuje o 3 kilometry i że koledzy w Szpanowie do rana czuwali, nie rozsiadlując koni.

Noc była jasna; gwiazdy kąpały się w czystych wodach rzeczki. Ciszę nocną przerywały tylko krótkie wezwania: „Stój! — Kto jedzie?“ Oparci o balustradę mo-



Szwol. A. Czaplicki ze swą klaczą „Toska“ w Szpanowie.

stu — bo nogi odmawiały już posłuszeństwa — z karabinem gotowym do strzału, sprawdzaliśmy przejeżdżających, czy to aby swoi.

W Szpanowie, dokąd ściągnięto nas po dwóch dniach, panował ruch i gwar żołnierskiego życia, niczem jak w koszarach. Nadciągnęła piechota i okopała się za Horyniem, więc jazda mogła wypoczywać na całego.

Nie męczono nas zbyt czyszczeniem koni i rynsztunku, ani ćwiczeniami. Dwa razy tylko — szarżowaliśmy. Za to na leczenie odpażonych koni, „władza“ była bardzo czuła.

Udało mi się wpaść do Równa po zakup bielizny, którą prawie w całości zużyłem do czyszczenia karabinu i rynsztunku.

Miasto zaprezentowało mi się nędznie. Małe, brudne domy, zaśmiecone ulice, brak drzew i jakiejś kultury zewnętrznej. Żydowskie twarze dopełniały obrazu prawdziwego „kresowego“ miasta. Uciekałem z rozkoszą na wołyńskie jasne pola.

W czasie pobytu naszego w Szpanowie odkomenderowano kilkunastu ludzi z trzeciego plutonu na stałe do dowództwa Korpusu. Oddział powyższy, dowodzony początkowo przez bitnego i obeznanego dobrze z wojną, żołnierza, pl. Smoniewskiego, a później przez st. szwol. Sumińskiego Ludomira, przewoził rozkazy od d-wa Korpusu do podwładnych mu jednostek. Użycie większej ilości ludzi dla przesłania jednego rozkazu było podyktowane względami bezpieczeństwa, ponieważ w walce, jaką prowadził Korpus jazdy płk. Rómmla, między jego pułkami tworzyły się luki, w których mogły działać silniejsze patrole nieprzyjacielskie.

W oddziale tym znaleźli się między innymi: st. szw. Kocięcki (z Dłużniewa), Dzierżanowski (z Płocka) i Sumiński (z Badurk).

W dalszych walkach musieli oni nieraz przepędzać

mniejsze podjazdy rosyjskie, które napotkali na swej drodze.

Podczas jednej z tych wielu nieprzespanych nocy, natrafili na silną placówkę piechoty rosyjskiej, która pilnowała toru kolejowego, umocniwszy się około domu dróżnika. W pierwszym momencie zaskoczeni silnym ogniem, nie mogąc orjentować się dobrze wskutek nocnej zasłony, szwoleżerowie cofnęli się. Ale sytuację szybko opanował szwoleżer Sumiński, który spieszywszy udział, nie bacząc na ogień, rzucił go do natarcia, sam biegnąc na przedzie. Moskale zaskoczeni tym atakiem, przeprowadzonym nadzwyczaj szybko i sprawnie, rzucili broń.

Pewno każdy z „trzeciaków“ pamięta dobrze postać szwol. Sumińskiego, który mógłby być ojcem niejednego z nich. Ileż pogody, szczerzej życzliwości biło z jego szlachetnych rysów, ileż sumienności, żołnierskiej pracowitości mógł się niejeden od niego nauczyć. Choć w innym plutonie służąc, nie miałem z szw. Sumińskim wiele styczności, jednak podziwiałem nieraz jego wyprostowaną postać, pogodną twarz i koleżeńską uczynność. Ze szlachetnych jego rysów biła wola i męstwo. Krzyż Walecznych jest mu świadectwem jego żołnierskich cnót.

VI. DO SŁUCZY.

Przeszedłszy Horyń pod wsią Chocinem w dniu 25. IX., ustawiła się 2-ga Dywizja jazdy w czworobok, na polanie, wśród nadbrzeżnych lasów. Orkiestra na siwych koniach grała: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Szable zabłysły w słońcu. Raport zdawali dowódcy.

Krótko trwała ta „parada“ i powoli pułk za pułkiem zaczął opuszczać łakę.

Droga szła najpierw przez rzadki las, piaszczysta i ciężka dla koni. Mijały nas oddziały sztabowe, spieszące do przodu. Wypoczęci i syci oraz pełni dobrych nadziei, patrzyli żołnierze wesoło w nadchodzące dni walki.

Sił i wiary — mieli pełne serce.

Wkrótce minęliśmy baterje dział na stanowisku, strzeżoną przez dwa karabiny maszynowe, następnie wieś i będące poza nią okopiki polskiej piechoty. „A nie dajcie się!“ — żartowali piechocińcy, z wesołą twarzą żegnając jazdę, która przejmowała walkę w swoje ręce.

Rozległy się pierwsze dla nas, od kilku dni, strzały. To przednie straże spędzały kozackie patrole. Za jakimś płotem z chrustu kuchni rozdały obiad. A potem

trochę kręcenia w prawo, w lewo i następnie już marsz przez resztę dnia. Na piaszczystej drodze konie wzbijały w górę tumany kurzu, który zakrywał całe kolumny, grubą powłoką osiadając na mundurach i twarzach żołnierzy.

Czerwona tarcza słońca skrywała się za las, gdy zagrały działa. Rozrzucono szwadrony. Z palącej się wsi zaczął wkrótce ustępować nieprzyjaciel. Ale pościg za nim był krótki, bo noc położyła kres walce, a luźne lasy i zarośla ułatwiały obronę.

Pułki IX brygady wkroczyły do wsi, w której parę zagród stało w ogniu. Lament mieszkańców mieszał się z hałasem, jaki sprawiało szycujące się do noclegu wojsko.

Cóż na to poradzić, że los wojny jest twardy, bezlitosny, że do krwi żołnierza dołączać się musi i krew lub ofiara spokojnego mieszkańca.

Konie wiązaliśmy przeważnie u płotów przy drodze, bo podwórka zajęły inne szwadrony. Ledwo uporano się z pojeniem koni i daniem im obroku, zaraz wzięto część ludzi na placówki, które rozstawiono bardzo gęsto naokoło wsi, gdyż bolszewicy kwaterowali o kilkaset metrów.

Kropiliśmy z karabinów, gdy ich strażę podchodziły za blisko lub gdy wystawiały się na cel.

Pamiętasz pewno dobrze, Karolu Rudowski, tę małą kępę drzew, w której zaczajony czyhałeś na krasnoarmiejców!... Noc niezbyt widna utrudniała celowanie.

Bolszewicy kręcili się aż do świtu. Mroki nocy pew-

no powiększały ich ilość. Około północy liczniejsza patrol rosyjska chciała sprawdzić, czy czuwamy: strzały dały im odpowiedź.

Rano (26. IX.) wysłane podjazdy nie znalazły już rosyjskiej piechoty na kwaterach, ponieważ jeszcze w nocy rozpoczęła ona odwrót. 201 p., oddzieliwszy się od brygady, przyspieszał tempa. Klusem minęliśmy dwie wsie, spotykani wszędzie przez mieszkańców, którzy wylegli na drogę. „Panoczku, szli poł czasu nazad“ — oznajmił brodaty „hazain“ jednemu z nas, w odpowiedzi na rzucone pytanie. Na skrzyżowaniu dróg stała grupka jeńców: to przyłapani maruderzy.

Nagle widzimy, jak z lewej strony drogi, na gołym polu w pełnym galopie zajeżdża na stanowiska baterja dział. Aż dusza radowała się, patrząc na sprawność naszych artylerzystów: bez mała w biegu odprzodkowywano działa i w kilkanaście sekund już huk rozdzierał powietrze. I znów galopem podjeżdżały przodki i w tumanie kurzu przesuwala się baterja do przodu, by tam walić pociskami w cofającą się piechotę.

A tymczasem 3-ci i 4-ty szwadron ruszyły do szarży (pozostałe dwa szwadrony były na zwiadach). Rozwinęły się szeroko po polu — każdy pluton ma swój cel — i zaczęły pełnym wysiłkiem koni zdążać tam, gdzie szarżały jakieś kolumny i pędziły w tumanach kurzu działa i wozy.

Byle prędzej, byle zdążyć, nim piechota dosięgnie lasu i zarośli i skryje się w nich, bezpieczna już tam od szarży polskiej jazdy.

Już blisko, już niektóre plutony słyszą prawie komendy rosyjskich oficerów, już prawie widzą pobladłe twarze rosyjskich żołnierzy, czują żar lecących kul. Rozognione twarze szwoleżerów, rozgorączkowane ich ręce...

Pierwszy pluton płockiego szwadronu, przy którym był por. Zarzycki, zagalopował się za nieprzyjacielem na mokre łąki, gdzie o mało nie potopił koni, pozwalając przez ten czas oddalić się oddziałom rosyjskiej piechoty. Wydostawszy się wreszcie z mokradła, co trwało kilkadziesiąt minut, już nie mógł ich dogonić, bo zmyliwszy kierunek błędził parę godzin. Dopiero łącznik doręczył por. Zarzyckiemu rozkaz koncentracji w rejonie Korca. Łącznik ten przysporzył też porucznikowi nieco kłopotu, ponieważ nie miał ochoty wracać samotnie do macierzystego oddziału, gdyż droga wypadła poprzez las, w którym kręcili się moskale. Por. Zarzycki wyznaczył przeto szwol. Czaplickiego, który już nieraz wykazał swą bojową wartość, do odprowadzenia niezbyt bojowego szwoleżera do jego macierzystego oddziału, znajdującego się w odległości kilkunastu kilometrów. Następnego dnia rano dołączył pluton w Korcu do szwadronu.

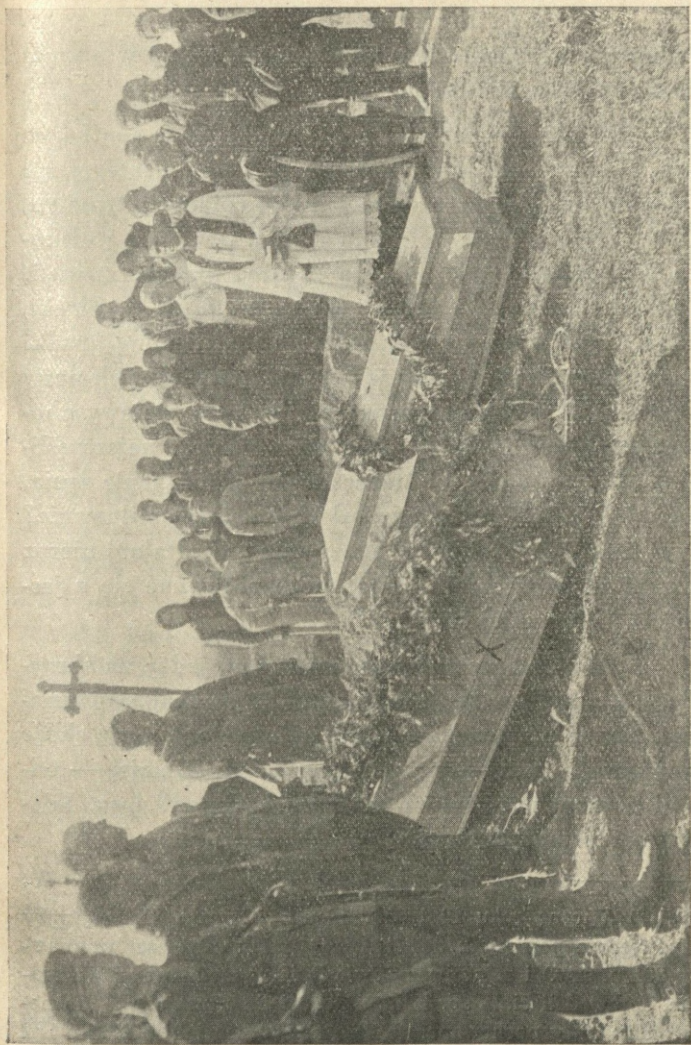
Drugi pluton sforsowawszy z trudem bagnisty rów, w którym paru żołnierzy zażyło kąpieli, dopadł piechotę rosyjską już tuż przy lesie. Przeszkody terenowe w postaci licznych płotów i kęp krzaków lub drzew, rozciągnęły nadmiernie front plutonu, a odprowadzenie do tyłu paru przyłapanych jeńców, do reszty osłabiło si-

łę natarcia. Plt. J. Rościszewski ujrzawszy w odległości kilkudziesięciu metrów cały bataljon piechoty bolszewickiej, maszerujący w kapitalnym porządku, przez chwilę wstrzymał swoją garstkę. W pierwszym momencie chciał wydać komendę natarcia, ale zorjentowawszy się że byłoby to samobójstwem, rozkazał żołnierzom utrzymać linię tyraljery i ruszyć na kolumnę dopiero po jego drugim strzale. Sam zaś, stawiając wszystko na jedną kartę, wyjechał z pomiędzy drzew i strzeliwszy w górę krzyknął: „zdawajs’a!“ Efekt był nadzwyczajny — kilkadziesiąt rąk podniosło się do góry. Oficerowie jednak zorjentowawszy się w słabej sile Polaków, wzniesli szable do komendy: — „ognia!“

Plt. Rościszewski strzelił drugi raz w środek żołnierskiej masy. Prawie w tym samym momencie strzelił i jego ludzie. Paru moskali obsunęło się na ziemię, lecz kolumna nieprzyjacielska, jak na ćwiczeniach sformowała front i zasypała śmiałków gradem kul.

Ten i ów wbił koniowi ostrogi, by wdrzeć się w szeregi piechurów. Ale konie spłoszone utrudniają natarcie. Pluton cofa się. Pada jeździec z koniem, wali się na ziemię inny. Kule gwiżdżą.

Za jakiemiś zaroślami plt. Rościszewski wstrzymał ludzi. Ciężko rannego J. Kamińskiego zdjęto z konia. Kazimierz Serafiński leżał niedaleko na łące. Pierwszy z nich dostał w krzyż i męczył się parę godzin, zanim skonał w szpitalu w Tuczynie, gdzie odwiózł go jego serdeczny druh, przyjaciel i kolega z ławy szkolnej, szwol.



Pogrzeb szwoleżerów Józefa Kamińskiego i Serafińskiego w Równem.

Stołą z lewej strony: Kazimierz Płoski, Eugenjusz Renc; z prawej strony za księdzem oparty na szabl—
Szczepan Serafiński, za nim T. Gorczyński,

Tadeusz Gorczyński. Szwol. Serafiński, ranny w brzuch zmarł po paru minutach.

Zaszczytna śmierć na polu walki — w spotkaniu wręcz — przecięła ich bytowanie na ziemi, a szczery żal kolegów był jedyną ozdobą ich drewnianych trumien, które skryła w sobie wołyńska ziemia. Orkiestra wojskowa pożegnała ich pieśnią, za którą przecież zginęli, a garstka towarzyszy broni (T. Gorczyński, K. Płoski, Renz, Serafińskiego brat) posypała na trumny grudki wyzwolonej ziemi. Oddali w obronie najświętszych praw to, co mieli najdroższego, wypełnili swój życiowy obowiązek najsumiennie i może dla siebie... najszczęśliwiej. Bo czyż może być szczęśliwsze zakończenie życia, jak oddając je za swe najszlachetniejsze umiłowanie? Czyż brud i małość pospolitego dnia w brutalnej nieraz pogoni za okruciami chleba, może porównać się z jasnością żołnierskiej śmierci?*)

Paru żołnierzy z drugiego plutonu, jadąc na skrzydle, nie wpadli w las, a pogoniło za uciekającym działem. Kanonierzy widząc, że nie ujdą pogoni, a nie chcąc ryzykować walki — chociaż ilością byli silniejsi — odcięli koniom postronki i na koniach dopadli lasu. Zdobywcy działa, syci chwały, już ich nie gonili.

*) Wiosną roku 1921, p. Tadeusz Gorczyński dostawszy odpowiednie papiery z dowództwa 3 pułku szwoleżerów, (dawny 201 p. szw.) i zakupiwszy dwie trumny metalowe w Warszawie, sprowadził ciała śp. Kamińskiego i Serafińskiego z Równego, gdzie były pochowane, do Płocka. Pogrzeb ich w Płocku był ogromną manifestacją uczuć ludności miasta.

Trzeci pluton, podobnie jak pierwszy ugrzązł w błocie. Tylko pięciu ludzi z trzeciego plutonu (plł. Węglarz, kpr. Grabowski, Kalinowski, Strzeszewski i jeszcze ktoś) jadący na skrzydle, szczęśliwie ominęli grzązką łąkę i przedłużyli front natarcia drugiego plutonu, dostając się wraz z nim pod silny ogień rosyjskiej piechoty, w tym właśnie momencie, gdy chcieli odciąć od kolumny uciekające tabory. Mokry teren, grad kul, uniemożliwił dalsze natarcie. Już prawie w walce wręcz zwała kpr. K. Grabowski piechura, ale ogień c. k. m. zmusza ostatecznie wszystkich do cofnięcia się.

Czwarty pluton przez chwilę został razem ze szwadronem c. k. m. przy d-wie pułku i mógł obserwować szarżę innych plutonów, które jednak prędko zniknęły w okolicznych laskach i zaroślach.

Rtm. Zelaźnicki, zastępujący chorego rotm. Dreszera, widząc jednak, że w natarciu jest luka, przez którą uchodzi jakaś kolumna — o czym świadczyły tumany kurzu — tam nas skierował.

Podchorąży z miejsca ruszył galopem. Zagarnąwszy dwa wozy pełne amunicji działowej, wpadł pluton do wsi X, przegalopował przez nią i zatrzymał się dopiero na jej końcu u wylotu gościńca.

Na gołym polu nie było już widać nikogo, tylko pod lasem w odległości dobrego kilometra kurz zwolna opadał. Co robić dalej? — pewno biedził się podchorąży. „Galopować w las, czy nie“? Dla rozstrzygnięcia niepewności, wysłany zostałem z meldunkiem do rtm. Żelaźnickiego, a paru szwoleżerów stępem ruszyło poza wieś.

Na polu, po którym kłusowałem, leżeli zabici i ciężko ranni od pocisków armatnich bolszewicy. Wypadło mi minąć dwóch z nich. Jeden leżał z obciętemi przez



Szwol. ś. p. Józef Kamiński.

pół nogami, z kośćmi obnażonemi i poszarpanemi; druzgi skulony. Twarze ich były żółte, zniekształcone bólem, a przestрах śmierci zjeżył ich długie, jasne włosy. Siwek chrapnął na ich widok, a jeden z rannych poder-

wał się całym ciałem, krzyknął na mój widok i ciężko upadł. Na sekundę wstrzymałem konia — cóż im mogłem poradzić: oczy mieli za mgłą.

Złożyłem rotmistrzowi meldunek, powiadomiłem o rannych i wróciłem do podchorążego z rozkazem powrotu. Do dużej, kościelnej wsi ścigał cały pułk.

Szczęście sprzyjało nieprzyjacielskiej piechocie, bo szwadrony, zbyt rozproszone, tylko jednym plutonem plt. Rościszewskiego natrafiły na gros sił sowieckich. Reszta oddziałów trafiła w próżnię lub zawczasie zawróciła z szarży. Nieobecność chorego d-cy pułku była powodem nieskoordynowanych działań pułku. Ktoś za to burę podobno dostał.

Przed wieczorem wkroczyliśmy do Korca, zdobytego przed chwilą przez 1 pułk szwoleżerów. Do późnej nocy trzymano szwadrony na koniach. Patrolowaliśmy po podmiejskich polach, myszkowali po laskach, obszukiwali nawet cmentarz, szukając i między grobowcami ukrytych moskali. I dwóch stamtąd wyciągnęliśmy.

Nocleg wypadł w miasteczku. Jako łącznik spałem pod drzwiami ppor. Boichut, który w zastępstwie por. Zarzyckiego objął dowództwo nad resztą szwadronu.

W czasie pogawędki z gospożą, która nakarmiła mnie uczciwie, dowiedziałem się, że Budienny był dzisiaj w Korcu. Jaka szkoda, że nie przycapiło się go.

Nazajutrz (27. IX.) pułk dotarł do dużej osady Jaruń. Walk żadnych nie było, gdyż rosyjskie wojska jeszcze wczoraj schroniły się za Słucz.

Po smacznym śnie na sianie, pod konarami starych drzew owocowych, jechaliśmy w piętnastu (szwol. Jagnieża, Śniegocki, Waśniewski, Przedpelski, dwóch Gierzyńskich, Kwasiebski, Matusiak, kpr. Wodzyński, Ziółkowski i inni) na patrol pod Hulek, leżący na wschodnim brzegu Słuczy. Od wsi Stryjów podch. Protasewicz ubezpieczył się. Na szpicy jechał na „ochotnika“ szwol. Jagnieża. Od podwód wracających z tamtej strony rzeki, dowiedział się podchorąży, że za wsią Hulek, widoczną już dla nas jak na dłoni, gdyż leżała na wyższym brzegu, stoją 4 działa; brzeg rzeki zaś strzeżony jest przez placówki piechoty.

Podchorąży po zbadaniu paru podwód i po porozumieniu się z d-cą patrolu ze 105 pułku ułanów, który wracał do Zwiahla, zostawił na trakcie 3 ludzi, mających indagować przejeżdżające wozy, a sam z resztą oddziału ruszył w lewo, polem, chcąc dostać się na przelaj do wsi Iwaszkiewiczówki, leżącej też nad rzeką, ale bardziej na północ.

Naraz usłyszeliśmy wystrzał armatni, świst i po paru sekundach — huk blisko nas. Szrapnel nie rozprysk się w powietrzu, tylko zarył się w ziemię, wyrzucając obłok ziemi. Nie upłynęło minuty, leci drugi, trzeci, dziesiąty... padając coraz bliżej nas. My zaś suniemy stępem, spokojnie. Gdy jednak jeden z następnych pocisków obsypał nas ziemią, a koń podchorążego aż usiadł na zadzie, podchorąży dał znak i rozsypawszy się szeroko po polu, pogalopowaliśmy do pobliskiego lasu, ściągani zawzięcia przez bolszewicką artylerję. Gdyśmy do-

padli drzew, mogliśmy się już śmiać ze szrapneli, które jeszcze padały wzdłuż brzegu lasu.

Po wysłaniu jednego z żołnierzy z meldunkiem do d-wa pułku i ściągnięciu pozostawionych na trakcie, podchorąży ruszył lasem w stronę Słuczy. Przemykaliśmy się ostrożnie wąskimi drożynami, omijając większe polany, aż dostaliśmy się pod Iwaszkiewiczówkę. W kępie drzew, już wśród pól, podchorąży zostawił patrol, sam zaś ze szwol. Śniegockim pokłusował nad brzeg rzeki.

Wody Słuczy płynęły równo, spokojnie; pewno trochę zdziwione, że tak prędko ujrzały znów w swoim biegu polskich żołnierzy. A oni dwaj samotni, napoiwszy konie, dostali się na drugi brzeg, zbadali możliwość przeprawy, ujrzeni zdala od strony Hulcka wrogą placówkę i bez pośpiechu powrócili na zachodnią stronę.

Tymczasem kpr. Wodzyński wystawił mnie na brzegu kępy drzew jako czujkę, kryjąc resztę ludzi w głębi. Po półgodzinnem daremnem czekaniu na powrót podchorążego, kapral oznajmił, że piętnaście minut jeszcze czekamy, a po tem czasie ruszamy i my za Słucz, szukać d-cy swojego. Po paru minutach meldowałem jednak kpr. Wodzyńskiemu, że podchorąży wraca.

Bez przygód zdążaliśmy do Jarunia.

Pogoda była wymarzona, jak w prawdziwą polską jesień.

Zachodzące słońce złociło poźółkle liście, jesienna złota pora oblekła świat w iście królewskie szaty. Nie-

poorane rżyska splatane były babiem latem. W powietrzu panował niezmacony spokój. Myśli poleciały w dal, w przeszłości cienie.

Łopot skrzydeł husarskich... a dalej... ci z mazurskiej ziemi, co ruszali z okrzykiem: „Niech żyje cesarz!“ A dalej... krakusy spod Stoczek, ułany Kickiego. Mój Boże! Jak kochało ich wszystkich każde polskie pachole, które już od niemowlęcych bez mała lat, widziało ich często we śnie, w najcudniejszych marzeniach życia, czystych niby łą.

Lata idą, zmieniają się czasy i ludzie; tęsknotą stały się dawne czyny, kurhanem dawne zwycięstwa; i tylko jedno zostało wspólne — i w tych mocarzach skrzydlatych i w tych, co w lata niewoli zdobyli kartę naszej historii promienną glorią grochowskich bitew, i w tych najsłabszych, najmłodszych, niedoświadczonych, ale szczerych — to jedno i to samo tętno ducha polskiego, jedno i to samo umiłowanie rodzinnego kraju i wolności.

W Jaruniu szwadronu nie zastaliśmy, bo rozjechał się na podjazdy. Pierwszy pluton podążył do jakiejś większej stacji kolejowej w celu zbadania pozostawionych tam przez nieprzyjaciela wagonów. Reszta plutonów (drugi, trzeci i pół czwartego) wyjechała do wsi Kikowa. Ciężką miał tam szwoleżer pracę. Część ludzi pełniła służbę na placówkach pod powyższą wsią, a reszta patrolowała lasy, które ciągnęły się po drugiej stronie Śluczy. Zwłaszcza ta ostatnia praca dostarczała dużo emocji młodemu żołnierzowi, nie przyzwyczajonemu

do leśnej, a co gorsza i nocnej, walki. A kozacy pod naporem polskich karabinów, to znikną gdzieś do tyłu, to znów w wiosce zajmą pozycje i staczają o nią bój, lub, zgrupowawszy większe siły, pokuszą się o wyrzucenie za rzekę polskich oddziałów. I nie tylko w dzień las tętnił hałasem staczanej w nim walki; mroczny, tajemniczy, osnuty nocą, musi być też strzeżony. Jak cienie więc suną podjazdy, aż hen pod Kamienny Bród lub Tartaki. Pod osłoną nocy podkradają się szwoleżerowie pod same biwaki rosyjskiej jazdy, by ciszę nocy przerwać hukem wystrzału.

A na placówkach pod wsią Kikowa, ukryci wśród kęp drzew, bacznie wyteżają szwoleżerowie wzrok na przeciwległy brzeg Słuczy. Brzeg nasz, chociaż wyższy, nie dawał zbyt dobrego wglądu w przeciwległy, ponieważ las z tamtej strony podchodził w paru miejscach aż pod samą rzekę i łączył się z szuwarami, zakrywającami częściowo jasną toń wody. Dlatego czujność była konieczna. Nocą specjalne patrole pilnowały brzegu rzeki. W dzień kozacy podjeżdżali (dwa czy trzy razy) lasem pod sam prawie nurt rzeki i „psocili się“. Jedna z ich kul roztrzaskała lornetkę żołnierzowi z drugiego plutonu, nie zadrasnawszy jego samego.

Służba tem bardziej dawała się we znaki, że ludzi wprost z placówek brano na patrole i naodwrot.

Dwa dni i dwie noce pełnił szwadron uciążliwą służbę i dopiero rano 1. X. ściągnął do Smołdyrewa, gdzie stało dwo pułku, strzeżone przez pół plutonu podch. Protassewicz.

VII. WYPAD ZA SŁUCZ (1.X).

Pod miasteczkiem Rohaczewem, rozłożonym nad samą prawie rzeką, grały działa. Ustawione na nadbrzeżnych polach, niczem nie osłonięte, waliły granatami w las, co ciągnął się długą smugą po przeciwnej stronie Słuczy, tuż bez mała nad jej brzegiem.

Golem okiem dojrzeć można było, jak kozacy przesuwali się po jego skraju. Granaty niemiłosiernie tam lomotały, łamiąc i drąc pnie drzew.

Karabiny maszynowe, gdzieś jeszcze bardziej w prawo wtórowały armatom.

Przy dźwiękach takiej muzyki minąwszy Rohaczew, gdzie pozostał pierwszy pluton jako ochrona taborów, wjechał szwadron między zabudowania wsi Ostrózek. Tam już pełno było wojska ukrytego między domami. Z lewej strony drogi na nieznacznem wzniesieniu, zakrytem opłotkami, stał d-ca baterji i obserwując przez lornetkę wybuchy pocisków, wydawał przez łańcuch łączników komendy ognia. Kule karabinowe bzykały.

Nie zatrzymując się we wsi, stanęliśmy wreszcie u wylotu mostu, akurat w tym momencie, gdy ogień pol-

skich dział i karabinów maszynowych zmusił piechotę rosyjską do opuszczenia odkrytego przedpola i cofnięcia się bardziej w głąb lasu.

Trzeci pluton i większa część czwartego pod dowództwem ppor. Boichut i podch. Protassewicz skierowano zaraz na most, którego jezdnię zaczęła gąsić się i trzeszczeć pod ciężarem kilkudziesięciu koni. Ppor. Boichut, pełen zawsze prawdziwie żołnierskiej werwy, przebywał rzekę w pław.

Minąwszy rozłożoną tuż przy rzece tyraljerę z pierwszego szwadronu — przy której był d-ca pułku, badający paru wziętych jeńców — już po paru minutach marszu, wjechał podjazd ppor. Boichut w las. Przed jego skrajem leżało kilku zabitych rosyjskich żołnierzy. Byli już bezbronni — nazawsze.

Wyjaśnić należy, że za naszym podjazdem przeprawił się na wschodni brzeg cały pierwszy i drugi szwadron 201 pułku oraz 1 pułk szwoleżerów, które to oddziały, każdy oddzielnie, ruszyły w kierunku północno-wschodnim, w celu rozbicia grupujących się tam wojsk sowieckich. Drugi pluton płockiego szwadronu i część czwartego zostało jako ochrona mostu w Ostróźnie.

Ppor. Boichut przeczuwając, że nieprzyjacieli gdzieś blisko się przyczaił — bo przecież dziesięć minut temu jeszcze tu walczył — posuwał się wolno i ostrożnie. Wszyscyśmy czuli, że lada chwila mogą paść strzały. To oczekiwanie denerwuje i męczy. — „Niech ...syny zacząć strzelać — gadają w szeregach — to już będzie wiadomo, o co chodzi“.

Na szpicy jechał szwol. Szmelcer. Chociaż pilnie spoglądał na wszystkie strony, nie mógł między drzewami zaroślami dojrzeć nic ciekawego. Gdy jednak wydostał się na polanę, na której przy rozwidleniu dróg stał samotny domek, coś poruszyło się za jednym z pni. — „Katoryj połk“? Padło z za sosny pytanie. Ledwo zdążył skierować tam wzrok i dojrzeć leżące postacie, las rozbrzmiał echem, ożył hukiem. Z kilkudziesięciu karabinów oddawane strzały w lesie sprawiały łoskot, robiący wrażenie, jakgdyby na nasze głowy waliło się coś. W pierwszym momencie, nie nie widząc co się dzieje na przodzie, oddział jazdy prysł do tyłu. Chcąc usunąć się z obstrzału, końmi skręciliśmy z drogi w las, gdzie padła komenda: „Z koni — do boju!“ Zostawiwszy konie w zaroślach, bieглиśmy z karabinami w rękę. Naciągnęła też pomoc. Nieprzyjaciel natarcia nie wytrzymał. Przez parę minut cofał się zwolna, raniąc jednego z naszych żołnierzy. Ale widząc, że przemy naprzód nie zważając na jego ogień, rzucił się nagle do tyłu, nie próbując powstrzymać naszego natarcia w walce wręcz. Po między drzewami widać już tylko plecy uciekających w lewo piechurów. Wyrywali jak zające, tak że celować do nich trudno. Posławszy im jednak jeszcze trochę kul, dopiero wracaliśmy do koni.

W powrotnej drodze natknęliśmy się na żołnierza rosyjskiego, rannego odłamkiem granatu. Z rozprutego brzucha wysuwały się nazewnątrz wnętrzności, które żołnierz ręką podtrzymywał. Jęczał przytem boleśnie i prosił, ażeby go dobić. Oczy, wykrzywione rysy twa-

rzy, zdradzały niehumaniczny chyba ból. Ktoś z nas wyrwał rewolwer, ale podporucznik nie pozwolił skrócić mu męki.

Za chwil parę już posuwaliśmy się piaszczystą drogą, otoczeni wkoło leśną gęstwiną. Nieprzyjaciół uszedł w bok, ale podporucznik, niedowierzając lasowi, ubezpieczył się na wszystkie strony. Szpicę prowadził kpr. Karol Grabowski, na bocznym ubezpieczeniu jechał Andrzej Orłowski i Wiktor Łepkowski, a gdy od tyłu doszły dwa strzały, na tylne ubezpieczenie posłano mnie.

Po godzinnym ostrożnym marszu, gdy szpicę ukazała się na obszernej polanie, na której leżała wieś, z tej ostatniej posypały się obficie kule. Momentalnie cofnięto oddział do tyłu. Umieściwszy konie w bezpiecznym miejscu, spieszeni zajęliśmy stanowiska za drzewami. W tymże jednak już czasie krasnoarmiejcy, wybiegłszy ze wsi, zdążyli dopaść pierwszych drzew lasu, spędzając stamtąd płt. Chamskiego (?). Zaczęła się gorąca wymiana strzałów. Ręce szybko otwierają zamek, na ślepo sięgają do ładownic, ładują i podnoszą karabin do oka. Bolszewicy skuleni, migają nam tylko za pniami. Coraz są bliżej, ale przy samej ziemi. Trzeba klękać. Las dosyć gęsty, więc kule trzaskają po drzewach.

Nagle porucznik, widząc u moskali ruch oskrzydłający, a mając w linii nie więcej jak dwudziestu ludzi, dał rozkaz odwrotu. Podchorąży Protassewicz wyznacza kpr. Wodzyńskiego i pięciu nas do straży tylnej. Cofamy się zwolna, od drzewa do drzewa, nie oszczędzając kul. Cele trudno były uchwytnie, bo stawały się wtedy wi-

doczne, gdy wykonywały skok do następnej osłony, skok trwający niekiedy sekundę.

Moskale pudłowali na całego. Sądzę, że nawzajem. Przeważna część kul, tak z jednej, jak i z drugiej strony, utkwic musiała w niewinnych drzewach, które oddzielały walczących. Gdyśmy cofnęli się kilkadziesiąt kroków, nieprzyjaciół przestał strzelać. Gdy po paru minutach nieśmiało posuwać się zaczęliśmy do przodu, już go tam nie było. Zadowolony widocznie z odpędzenia nas od wsi, powrócił na swoje w niej stanowiska.

Podporucznik po naradzie z podchorążym posłał do Ostróżka po karabin maszynowy. Z meldunkiem do d-cy pułku został wysłany zaś szwol. Karol Rudowski, który po długich dopiero poszukiwaniach, samotny wśród nieznanых dróg, znalazł rotm. Dreszera, akurat w momencie natarcia drugiego szwadronu.

Podjazd zgrupował się na drodze, rozstawiwszy naokoło ubezpieczenia. Znalazłem się wśród lasu, na prawo od drogi o kilkadziesiąt kroków na przodzie. Las w tym miejscu był trochę rzadszy. Pilnie zacząłem rozglądać się na wszystkie strony. Czasem wskutek imagi-nacji zdawało mi się, że za drzewami ktoś leży i cicho rozmawia. Podjeżdżam więc bliżej i widzę pniak i słyszę wyraźnie szelest liści.

Siwek kręcił mi się, nie chciał ustać w miejscu, cofał się, a pchnięty ostrogami, susem odsadzał się parę kroków do przodu i znów chrapał, węszył powietrze i... bał się nieznanego przestrzeni leśnej, w której czyhać mogła na niego śmierć. Musiałem sobie, a potem i jemu

przypomnieć starą prawdę życiową: „raz kozie śmierć”. Poskutkowało to.

Po przyjeździe karabinu maszynowego, spieszeni szwoleżerowie posunęli się na brzeg lasu. Razem z kpr. Wodzyńskim, który podjechał do mnie, ubezpieczałem prawe skrzydło. Ledwośmy wyjechali końmi na otwarte pole, że wsi dostaliśmy strzały, a paru kozaków stojących na skraju zabudowań, pogroziwszy nam ręką, zginęli między drzewami, otaczającymi polanę. Ściągnięto nas w linję.

Karabin maszynowy zaczął pracę. Wieś oddalona niedalej jak 300 metrów, chociaż żywej duszy nie było w niej widać, odpowiedziała silnym ogniem, silniejszym aniżeli nasz. Z tego powodu podporucznik nie ryzykował natarcia, mając do dyspozycji tylko dwudziestu paru ludzi. Pozatem orjentował się, że strzelcy nieprzyjacielscy ukryci w zabudowaniach, mogli atakujących wystrzelać na gołym polu, jak „kaczki”. Całą nadzieję pokładał w karabinie maszynowym. Ale wsi — jak dowiedzieliśmy się wieczorem od żołnierzy polskich, którzy uciekli tego dnia z niewoli — broniła setka komunistów, którzy dostali kategoryczny rozkaz utrzymania pozycji do zachodu słońca. Oddziały komunistyczne nieraz wykazywały swoją wysoką wartość bojową.

Za każdym razem, gdy ogień karabinu maszynowego przycichł, moskale w obawie przed naszym natarciem tem silniejszy rozpoczynali ogień. Ale wychylać się ze wsi odwagi nie mieli. Zadowolnił się tem ppor. Boichut, gdyż miał on za zadanie nie dopuścić, ażeby nieprzyja-

ciel od strony powyższej wsi zagrażał przeprawie w Ostrózkę.

Po godzinnej bezmała strzelaninie, gdy na każdy nasz ruch zaczepny nieprzyjaciół odpowiadał wzmożonym ogniem, podporucznik widząc, iż z tą ilością ludzi, jaką miał, wsi nie zdobędzie, cofnął się w głąb lasu i, wysławszy meldunek, czekał na nowe rozkazy.

Rannego w palec kpr. Wodzyńskiego odstawiono do Rohaczewa. Ale nasz Wodzysio nie zadekował się w szpitalu; po oczyszczeniu rany i założeniu mu opatrunku, już na drugi dzień był z nami; dwa razy dziennie zmieniał mu tylko opatrunek szwol. Dietrych.

Umilkły strzały, a ja znów pełniłem służbę ubezpieczeniową, tym razem z lewej strony drogi.

Las tutaj był młodszy, więc gałęziami zasłaniał widok jeźdźcowi, patrzącemu z wysokości konia.

Ciągła niepewność, kilkakrotne obcowanie z kulami, a zwłaszcza parogodzinne samotne stanie na ubezpieczeniach, wszystko to podziało na nerwy i znużyło ciało. Znalezienie się w gromadzie, chociaż wśród niebezpieczeństw, byłoby ulgą.

A tymczasem patrzyłem przed siebie — cisza zalegała wkoło, wieczór zapadał; słońce słabo już migotało pośród gałęzi, powłóczył promieniem żegnając las i kładąc długie cienie drzew.

Wreszcie — o zgrozo! powieki zaczęły mi ciążyć i opadły jak ołowiane. Ukołysany spokojem wieczoru, oswoilem się z niebezpieczeństwem. Ręką musiałem przecierać oczy, ażeby nie zmogło mnie pragnienie snu.

Co jakiś czas podjeżdżałem bliżej skraju lasu, by zajrzeć, co dzieje się we wsi. Nieprzyjaciół nie wychylał się jednak z niej. Tylko w dwóch miejscach widoczne były jego strażę. Czasami ktoś przemknął się między zabudowaniami.

Mrok wypełzał z zarośli, gdy ściągnięto mnie na trakt. Wracaliśmy do Ostróżka. Podjazd już odjechał. Ze szwol. Łepkowskim i jeszcze jednym, ściągniętym też z ubezpieczenia, jechaliśmy w tyle o kilkadziesiąt kroków od oddziału. Rażno nam było, bo już... w gromadzie.

Przed mostem spotkaliśmy nasz drugi pluton. Ostróżek roił się od wojska, gdyż nocowało tam — здаje się — i dwo brygady. Zagrody, rozłożone prawie nad samą rzeką, zapelniły się żołnierzami. Kuchnie skąpo wydzieliły nam kolację, bo część jej trzeba było rozdać naszym żołnierzom, którzy w tym dniu, korzystając z wypadu wojsk polskich za Słucz, opuścili leśne kryjówki (gdzie kryli się, uciekłszy z niewoli) i powrócili pod swoje sztandary. Rozmawiałem z paroma z nich. Gnano ich, hen od Zamościa. Jakiś sztubak, czy student z goryczą wspominał dni, które przeżywał jako jeniec. Bolała go upokorzona ambicja jego, kolbą wroga zdeptytany żołnierski honor, i ta bezsilność co żarła serce, i to poczucie poniżenia, co gardzić sobą kazało. „Darować sobie — skarżył się — nie mogę tej chwili, gdy obskoczony przez nawałę wroga, rzuciłem karabin. Po paru godzinach oddałbym nie wiem co, bylebym poczuł broń

znowu w swojej dłoni. Lepsza jest chyba śmierć, jak niewola!”

Chociaż noc okryła ziemię, o spaniu nie było mowy. Cały brzeg rzeki i most pilnie był strzeżony.

Wraz zdwoma innymi „czwartakami” zostałem na noc przydzielony — z niewiadomych mi powodów, — do drugiego plutonu, który miał pod swoją pieczę skraj wsi. Miejscem odpoczynku dla zmienianych czujek był most, a właściwie będące pod nim suche łóżysko jakiegoś rowu. Co dwie godziny zmieniali się ludzie. Całym wysiłkiem woli trzeba było niedawać się piekielnemu pragnieniu snu.

Na ostatniej zmianie, już nad ranem, zmienił mnie przed czasem pl. J. Rościszewski, sam stając na mojem miejscu. Byłem mu wdzięczny — jak mało komu w życiu.

W nocy wysyłane były patrole dla badania nadbrzeżnych szuwarów. Ale ciszy i spokoju nie zmąciło. Tylko raz, hen gdzieś z daleka, doszedł odgłos paru strzałów karabinowych. Czujki wyteżyły słuch.

Rano 2. X. szwadron wracał do Jarunia. Czwarty jego pluton opuścił stanowiska przy moście o godzinę później. Gdyśmy dosiadali koni, mijał nas patrol z innego szwadronu, który kierował się na most. „A nie dajcie się zjeść” — żartowano.

Marsz był wesoly. Śpiew płynął przez wołyńskie pola.

W Jaruniu jednak nie dane nam było zaznać odpoczynku.

VIII. PODJAZD DO POŁONNY.

Komu uśmiechałaby się perspektywa jazdy, ściśle nicokreślonej co do długości trwania, zdala od własnych wojsk, wśród nieznanych borów, po nieprzespanej nocy, po parogodzinnym marszu, a co najważniejsze — w momencie, kiedy na stół miała wjechać lada chwila pieczona gęś.

Cóż jednak było robić — niedoczekawszy się kolacji, osiodlałem siwka, który też zdawał się być zdziwiony tą nową awanturą, i wyprowadziłem go na drogę, gdzie ściągał cały oddział, składający się z 12 ludzi czwartego plutonu i 20 z innych. Skład dlatego był tak różnorodny, że wybrano najlepsze konie z całego szwadronu. Znalazł się w nim (z tych, których pamiętam) z pierwszego plutonu: kpr. Gorzechowski Zygmunt (z Gilina), szwol. Gościcki Julian (z Tulibowa); z drugiego plutonu: kpr. Litewski, szwol. Popkowski; z trzeciego plutonu: kpr. Grabowski, plt. Węglarz, szwol. Orłowski; z czwartego plutonu: kpr. Kozłowski, szwol. Krępeć, Al. Waśniewski, dwóch Jankowskich, Ziółkowski.

Podjazd prowadził podch. Protassewicz. Wiedzieliśmy tyle, że jedziemy do Połonny.

Prędko zapadła noc. Gwiazdy roziskrzyły się, więc było jednak widno jak w dzień. Marsz odbywał się kłusem w zupełnej ciszy, przerywanej tylko trzaskaniem kopyt konskich.

Na nocleg stanęliśmy we wsi Kijance, gdzie już rezydował patrol innego pułku. Dla bezpieczeństwa podchorąży wsadził nas wszystkich do jednej zagrody. Konie nierozsiadane stały przeważnie na dworze, uwiązane u płotu. Ludzie, zasławszy słomą dużą izbę — prędko usnęli. Warty dostały rozkaz zachowywania się jaknajciszej, ażeby ewentualnie przechodzący bolszewicki oddział nie zauważył naszego noclegu.

Mroźny, iskrzący srebrną rosą, poranek (3. X.) zastał nas już w marszu. Podchorąży minął wieś Stryjów, następnie jakąś inną — Józefówkę — (?), gdzie coś niecoś posililiśmy się razowcem, a konie sianem i, wkrótce zanurzyliśmy się w las. Pożółkłe liście opadały obficie, szeleszcząc pod kopytami koni, idących na ubezpieczeniach.

Na skraju lasu podchorąży dowiedział się od gajowego, że w miasteczku Baranówka, do którego zbliżaliśmy się, byli w nocy bolszewicy i że część ich cofnęła się za rzekę, część zaś jest w mieście.

Wypadło nam jechać od lasu poprzez płaską nizinę, aż po długą wieś, dochodzącą do miasteczka.

Przez odkryte pola „kopnęliśmy“ się kłusem. Wtem pomiędzy chałupami zamajaczyły konne sylwetki. Pa-

ru nas pogoniło za nimi, ale zanim dopadliśmy zagród, zginęły one gdzieś między ogrodami.

Mieszkańcy wsi objaśnili, że bolszewicy codziennie wpadają do Baranówki, ale długo w niej nie popasają.

Podchorąży napisał meldunek do d-wa i posłał z nim dwóch ludzi, sam zaś minął miasteczko i zaczął zdążać w południowym kierunku, ku ostatecznemu celowi.

Ubezpieczenia ciągle zmieniały się, bo lawirowanie wśród poprzegradzanych płotami z chróstu pól, względnie w zaroślach leśnych, prędko trudziły konia i jeźdźca.

Połąć kraju, przez którą wypadła nam droga, skąpana w jesiennem słońcu, była bardzo malownicza. Kręte drożyny wiły się poprzez dębowe lasy, opuszczając się co jakiś czas na dno głębokich jarów, gdzie płynęły strumyki. Poważne dęby przyglądały się nam zdziwione, żeśmy przerwali im spokój i śmiechem zmącili leśną ciszę. Czarne świnie, spokojnie żerujące na żółdzących, na widok jeźdźców, czempředzej kryły się w zarośla.

Pogoda była wymarzona, a Wołyn tchnął swoistem pięknem, odmiennem od naszych mazurskich niw.

Szwol. Krępeć, ten sam, który po wypadzie na Koroścień, śpiewał: „Ja ciebie nie chcę, boś szwoleżer — boś za Słuczą sześć dni nie żał“, zabawiał nas anegdotalami i droga przechodziła szybko.

Czuliśmy jednak dobrze, że zdani jesteśmy na własne tylko siły.

Już z mroków wieczoru wynurzyły się jakieś mury; była to cukrownia czy papiernia w Połonce, w której wypadł nam nocleg. Konie ulokowaliśmy we wspaniałej stajni; elektryczne oświetlenie, pewien komfort w zabudowaniach — stanowiło to wszystko dziwny kontrast w porównaniu z nędznymi chałupami Rusinów, w których zazwyczaj nocowaliśmy.

Gorzej było z kolacją, bo poza mury nie wolno było wychodzić. Na noc bramy zamknięto i znaleźliśmy się jak w małej twierdzy. Warty stały i nazewnątrz murów i koło mostu i nad brzegiem rzeki.

Noc była chłodna, a zmęczone ciało pod wpływem mroźnego powiewu co szedł od wody, prędko ziębło. Dobrze o tem wie szwol. Julian Gościcki. Kpr. Gorzechowski ciągle sprawdzał posterunki. Zwolnieni z nich ludzie drzemali w stajni, gdzie pieczę nad końmi miał szwol. Aleksander Waśniewski. Noc ta, spędzona wśród lasów, zdala od własnych wojsk (70 klm.), miała w sobie swoisty urok.

O północy podchorąży zawezwał kpr. Litewskiego i dał mu rozkaz dotarcia do wsi X, gdzie znajdował się polski oddział partyzantów, mający dostarczyć podchorążemu wiadomości o nieprzyjacielu. Kpr. Litewski (obecnie kierownik „Zgody“ w Płocku), wraz jeszcze z jednym towarzyszem, opuszczali wkrótce mury fabryki, kierując się w ciemną noc, w czeluści lasu, wśród którego miała leżeć wskazana wieś. Podchorąży wiedział komu powierzyć twardy do wypełnienia obowiązek. Kpr. Litewskiemu, który przeżył wojnę światową w ro-

syjskiej jeździe, nie obcą była tułacza służba kawalerysty; przemknął się cichaczem przez ciemny bór, dotarł do wsi, zajętej przez partyzantów, i rano powrócił już do nas.

Oddziały partyzanckie, działające przeważnie na terenach, gdzie nie odbywały się większe walki, trudną i niebezpieczną wypełniały pracę. Myszkując pomiędzy wojskami nieprzyjacielskimi, przerywały im łączność, szarpały ich tyły i dostarczały cennych wiadomości swojemu dowództwu. Oddziały te były niewielkie, kilku lub kilkunastu ludzi, ubranych na pół po cywilnemu, ale doskonale uzbrojonych. Las był ich schronieniem w dzień, na noc zajmowali jakąś zagrodę, umacniali się w niej i zaczerpywali tu sił na nowe trudy. Do takiej właśnie umocnionej karabinem maszynowym zagrody dotarł kpr. Litewski. Ugoszczono go należycie.

Serca tych partyzantów musiały wyzbyć się lęku, nerwy ich stały się hartowne jak stal. Bo ileż niebezpieczeństw czyhało na nich z każdej strony? A osamotnienie, które zawsze im towarzyszyło, jak nieraz kusiło tych ludzi, ażeby wreszcie znaleźć się wśród własnych wojsk. Zawadjackość Kmiciców, tężyzna ducha Skrzetuskich trzymała ich na powierzonych im stanowiskach. Ojczyzna dobrych z nich miała obrońców.

Noc przeszła spokojnie. Tylko jeden padł we wsi strzał. Wysłany jednak patrol żywej duszy nie znalazł. Dowiedział się tylko, że dwóch, czy trzech kozaków przejechało kłusem wieś na drugim jej końcu.

Ranne słońce, łagodne już i jakby słabe, nie dukało podjazdowi, sunącemu powoli po piaszczystym trakcie w stronę Połonny. Jechaliśmy szlakiem, którym niegdyś szły hordy Krzywonosy, czerwoni dragoni Wołodyjowskiego, pancerna brać Jeremi.

Wkrótce na ulicach Połonny zajaśniały szwoleżerskie barwy. Miasteczko — prawie całe żydowskie — było puste, jakby wymarłe. Tylko paru śmielszych Polaków, radośnie, chociaż skrycie, witało polską jazdę. Z nimi konferował podchorąży, notując sobie coś na kartce. W międzyczasie wysłany patrol przebiegł wszystkie ulice miasteczka. Okazało się, że bolszewicy byli tu ostatni raz wczoraj i że takie wycieczki urządzali dość często. Nie dziw więc, że ludność była zdezorjentowana, kto właściwie jest jej panem.

Ponieważ dowództwo nie pozwoliło wziąć podchorążemu ani jednego wozu z prowiantami, gdyż rozchodziło się o szybki marsz, nieraz na przełaj, podchorąży polecił mieszkańcom dostarczyć dla swojego oddziału odpowiednią ilość chleba. Ale nie śpieszono się zbytnio z tem, a dla nas czas był drogi. Rozeszliśmy się po pobliskich domach, ażeby prędzej poskromić głód. Traf zdarzył, że natrafiłem na izraelitę, u którego mieszkał przez parę dni mój brat, podczas czerwcowej ofensywy. Dostałem dzięki temu sute śniadanie i nawet dla kolegów, co pilnowali koni, duży słoik konfitur i „żydowską“ chałę. Niektórzy ze szwoleżerów, musieli użyć siły, ażeby zdobyć coś do zjedzenia. Chyba im nie było to rzucone w niebie na szalę grzechów, bo przecież zo-

ładek aż burczał z głodu. Nie brano więcej, jak na jeden posiłek. Kto miał, płacił. Za innych podchorąży dał kwit.

I tu muszę stwierdzić, że wogóle te nasze „fasowania“ w ciągu całej wojaczki, w porównaniu z tem, co „fasowali“ Niemcy czy Moskale w czasie wojny światowej, było nikłą zabawką.

Dowództwo polskie surowo karało za każdy najmniejszy, nieuzasadniony gwałt, popełniony przez polskiego żołnierza na spokojnym mieszkańcu. Sam widziałem, jak piechur, który dostawszy obiad z kuchni polowej, buchnął babie jeszcze coś do zjedzenia, stał pod karabinem całutką godzinę i to prawie, pod ostrzałem nieprzyjacielskim. A wypadek, jaki zdarzył się w naszym szwadronie: Gdy w czasie wypadu na Korosteń, podczas pierwszego noclegu, jakiś taboryta - szwoleżer ukradł gospodarzowi zegarek, na skargę tego ostatniego por. Zarzycki zarządził o świcie u podejrzanego rewizję. Winowajca, chociaż skruszony, powędrował na stołek. W obliczu ustawionych w szeregu dwóch plutonów wsypano mu na obnażoną część ciała — dziesięć różeg. Niejeden z nas odwracał oczy od tego przykrego widoku, bo przecież delikwent — był też ochotnikiem. Ale sprawiedliwości musiało się stać zadość.

Pozatem podkreślić trzeba, że poczucie osobistej godności u żołnierza polskiego było duże, i ono wystarczało nieraz dla powstrzymania się od grabieży. Najgorzej cierpieli wieśniacy przy przemarszu jazdy, bo wtedy wybierano owies, a zwłaszcza siano. Ale za to pła-

cono. Naturalnie nie zawsze było to możliwe, bo przecież ileż razy popas odbywał się pod ogniem, gdzie dowódca zajęty był wykonywaniem bojowego zadania.

Te małe grzeszki, robione w obliczu nieraz śmierci, musi „cywil“ wybaczyć żołnierzowi - bratu.

Powrotna droga z Połonny szła tym samym najpierw traktem. Popaśliśmy konie w Połonce, gdzie zostawieni dwaj szwoleżerowie, przygotowali, przy pomocy „starosty“, odpowiednią ilość owsa. W dalszej drodze spotkaliśmy partyzanta. Siedział na chłopskim mierzynku i obserwował nas z boku, z odległości jakichś 300 m. Podchorąży, widząc uzbrojonego jeźdźcę, posłał dwóch (sz. Waśniewski A.) swoich ludzi, dla zbadania jego „przynależności“. Partyzant nie spieszył się widokiem zbliżających się żołnierzy, ale zszedłszy z konia, z karabinem w rękę, czekał na nich, by poznawszy „swoich“, oznajmić, kim jest.

Noc zastała nas w lesie. Przez jakiś czas udawało się nam jechać właściwą drożyną, ale wreszcie zabłądziliśmy. Sprowadzony chłop wprowadził nas dopiero na właściwą drogę. Omijaliśmy szerokie trakty, bo mieszkańcy jednej z wiosek koło Baranówki donieśli, że kozackie większe podjazdy przeszły rzekę.

Posuwaliśmy się cicho i ostrożnie. W tem pomiędzy krzakami na skraju lasu zabłyśły ognie, a do uszu doszedł żałosny śpiew. Oddział stanął, sekunda namysłu i kapr. Kozłowski z dwoma żołnierzami pełną konia w stronę ognisk. Okazało się, że w lesie nocowało kilkunastu chłopów.

Przy wejściu do wsi X, w pierwszej zagrodzie podchorąży zostawił siedmiu ludzi z plutonowym Węglarzem, którzy mieli na zmianę przez całą noc obserwować trakt, wiodący do Baranówki.

Resztę oddziału rozlokował w środku wsi, w dwóch sąsiednich zagrodach. Po omacku umieszczono konie w stajniach i tym razem nie zdejmując im siodeł.

Na mnie wypadł nocny dyżur przy koniach i pilnowanie drogi. Zmęczenie sprawiło, że bardzo prędko zaległa kompletna cisza. Samotny, chodząc po piaszczystej drodze wsłuchiwałem się w — noc. Wieś, ogromna wolińska wieś, spała. Tylko gdzieś z oddali doszło czasem skrzypnięcie, bydlak odezwał się z szopy, lub od strony lasu doleciał niesamowity odgłos. Ucho to wszystko pilnie łowiło, badając, czy czasem w tych szmerach nie ukrywa się hałas skradającego się nieprzyjaciela.

Ale spokoju nocy nie zmąciło nic.

Gdy nogi odmawiały posłuszeństwa, opierałem się o przydrożny płot; jednak wtedy trudniejsza była walka z sennością — wolałem więc deptać miękkiego piasek, bo przecież miałem tę świadomość, że w razie zaśnięcia narażę kolegów na niewolę lub śmierć.

Do Jarunia przybyliśmy następnego dnia (5. X). około południa, gdzie zastaliśmy już resztę szwadronu. Dzień 6. X. zszedł nam na wypoczynku.

I X. ZAGON NA KOROSTEN.

Dnia 7 października, przeprawiwszy się wplaw przez rzekę Słucz, 201 p. szwoleżerów rozkwaterował się we wsi Hulck.

Siedząc przed domem czytał szwoleżer listy, które doręczyła akurat dzisiaj pułkowa poczta. Rodzinne dalekie strony, rodzinny dom! Praca tam wre, idzie zwykłym trybem, tylko wieczorami, gdy mrok okryje ziemię, a jesienny wiatr tłucze się po opustoszałych niwach, dom nie rozbrzmiewa gwarem. W niejednym z nich cicho, tęskno i smutno. Ci, co w nim zostali, kierują swoją myśl i troskę ku tym, którzy za dziesiątą rzeką żołnierski wypełniają los. Ale w głębi ich serc niema nic z protestu i buntu, bo jest w nich umiłowanie świętego obowiązku swych bliskich, obowiązku droższego nad egoistyczne cele. Matczyne usta za trzech swych synów szepecą modlitwę... o siłę dla nich, o hart, ażeby wypełnili wolę ojca, testamentem zostawioną im jeszcze w dzieciństwie.

Przed wieczorem plutony powędrowały po amunicję, którą obdarowano nas specjalnie obficie. Wydano nam też ciężkie puszki mięsnych konserw, które zosta-

ły przytroczone do siodeł. D-cy plutonu troskliwie obejrzel konie i broń, gdyż zanosiło się na nową dłuższą wyprawę. Kantyna, która nadciągnęła parę dni temu, dostarczyła oprócz paczek z domu, pokaźną także ilość czekolady i papierosów. Suto więc było wieczorem na kwaterach i do późna w noc waleśali się szwoleżerowie.

Patroli żadnych czwarty szwadron nie wysyłał, tylko placówkami ubezpieczył część wsi. Ale nieprzyjaciel nie niepokoił noclegu, a konny jego patrol, który o świcie podjechał pod nasze ubezpieczenie i oddał strzał, czempredziej zniknął w porannych mgłach.

Po zjedzeniu obfitego śniadania, popitego „bytową“ paszą żołnierza, t. j. kawą, szwadron zaczął wyprowadzać konie z zagród i formować kolumnę marszową na szerokiej wioskowej drodze. Mgła zalegała jeszcze ziemię, a jesienny chłód dawał się już odczuwać.

Cały pułk wyciągnął się wzdłuż drogi; parę raportów i... smuga koni drgnęła — ruszyła. — Gdzie? poco? Na wschód — po bojowy znój!

Korpus jazdy, zostawiwszy przeprawy przez Słucz pod opieką piechoty, wykonywał głęboki zagon na węzłową stację Korosteń. Poprzedniemi wypadami przygotował sobie miejsce wypadowe i zrobiwszy kilkunstokilometrową lukę pomiędzy rosyjskimi dywizjami, postanowił luką tą dostać się na ich tyły, a znalazłszy się tam ruszyć całą szybkością swych koni na Korosteń.

Ledwo pułk wydostał się z opłotków, już padły strzały. To baszkirskie podjazdy dały znać o sobie. Nie zaczepiając głównej naszej kolumny, zajęły one zaraz

Hulcek, przepędzając stamtąd tabory, które ledwo zdążyły schronić się na drugą stronę rzeki; szwol. Radzieckiego zaś, wysłanego z drogi do Hulcka z rozkazem do taborów, zmusiły strzałami do zawrócenia się.

Koło szosy, prowadzącej ze Zwiahla do Żytomierza, 201 p. szwol. połączył się z innymi pułkami II Dywizji, ale już gdzieś koło południa oddzielił się znowu, maszerując wprawo.

Jechaliśmy bocznymi drózkami, nieraz dziwnie krętymi, a często wyboistymi. Ponieważ dowództwu chodziło o jaknajszybsze przedostanie się na tyły, omijano miasteczka, aby nie wdawać się w walkę z będącymi tam ewentualnie siłami nieprzyjacielskimi.

A byliśmy otoczeni ze wszystkich stron. Brygada baszkirska towarzyszyła 201 pułkowi od samej Słuczy, niepokojąc jego gońców i słabsze patrole. Kowal pułkowy — puciołowaty chłopak, — oddaliwszy się o kilometr od kolumny, dostał się odrazu w ręce kozackie, a dwaj jego towarzysze ledwo zdążyli umknąć.

Ale oprócz tych nieśmiałych kroków, na żaden energiczniejszy zaczepny ruch — baszkirskie oddziały się nie odważyły. A my przyczajeni — parliśmy przed siebie.

Do Korostenia było w prostej linii około 90 klm., ale ponieważ pułk nasz szedł najbardziej w prawo z tendencją zwrotu na Żytomierz, a następnie musiał obejść Korosten od wschodu, więc nadrabiał, licząc jeszcze nocne patrole, ubezpieczenia, najmniej 70 do 80 klm. Dobrze więc trzeba było wyciągać koniom nogi, ażeby

te 160 — 170 klm. przebyć w niecałe dwie doby. Postoje były krótkie, aby tylko konie zdążyły zjeść.

Okolica przez którą szliśmy, zamieszкана była w dużej części przez kolonje niemieckie i czeskie, które swym ładem i porządkiem jakżesz odbijały się od rusińskich zagród.

Noc zapadła, kiedy szwadron, oddzieliwszy się od pułku, posunął się jeszcze bardziej w prawo i zakwaterował się w niemieckiej kolonji, w dwóch zagrodach, oddalonych od siebie o 200 — 250 mtr. Ale o odpoczynku ani marzyć. Kpr. Chelmicki ze swoją sekcją i częścią innej (A. Waśniewski) ruszył w stronę Żytomierza.

Niebo było jasne. Zafasowane przez szwol. Śniegociego masło, a przezemnie kawał gryczanego chleba, zaspokoilo pierwszy głód. We wsi, do której przybył patrol, głucho było i pusto. Nigdzie żywej duszy — nawe psy nie hałasowały. Po długich dopiero dobijaniach się, zaciągnął wreszcie kpr. Chelmicki od zaspanego „mużyka“ wiadomości, że od kilkunastu godzin, nie było tu krasnoarmiejców.

W powrotnej drodze spotkaliśmy patrol z drugiego plutonu, który zdążał tam, skąd myśmy wracali. Widocznie dwo sądziło, że z tej strony przyjsć może niespodzianka.

Zagrody, zajęte przez szwadron, pilnie były strzeżone; na drogach naokoło zabudowań wszędzie stały placówki. „Stój — kto jedzie?“ — groźny głos szwol. Mieczkowskiego zatrzymał nasz patrol na skrzyżowaniu dróg.

Ledwo siwkowi znalazłem miejsce w stodole i dałem mu siana, już plt. Gnat nazначzył mnie jako łącznika między por. Zarzyckim a ppor. Boichut, kwaterującym w następnej zagrodzie. Reszta kolegów poszła na placówki.

Powlócząc ledwie nogami, zaniósłem rozkazy, a wróciwszy do kwatery por. Z. usiadłem na słomie pod drzwiami, czekając na dalsze rozporządzenia. Ogień palił się rażno pod kuchnią, na której ordynansi gotowali dla porucznika kolację. Z dziwną rozkoszą wyciągnąłem kości, a ciepło było takie przyjemne! Wkrótce głód dał znać o sobie, bo gryczany, wstrętny chleb, którego kawałek zjadłem parę godzin temu, już był daleką przeszłością. Przypomniałem sobie, że w kaburach mam pudełko sardynek, które zostało mi jeszcze z paczki przysłanej przez siostrę. Ziknęły one momentalnie w czeluściach pustego żołądka. Nie wiem, czy mi tak co w życiu smakowało „burżujsko“, jak te sardynki zjedzone wtedy w kacie, na garści słomy. Wydały mi się one bezmała królewską ucztą — niczem z bajki. Dobrze jest mieć na froncie, gdzieś daleko pamiętające o nas serce.

Nie zdążyłem jeszcze zdrzemnąć się, gdy do izby wszedł szwoleżer z trzeciego plutonu (zdaje się, że był to szwol. Dzierżanowski), który przywiózł rozkaz z d-wa pułku. Ciężką miał on podróż, bo, natknąwszy się na oddział kozaków, musiał okrężną drogą ominąć go i dopiero z wielkim trudem odnalazł miejsce postoju czwartego szwadronu. W powrotną drogę, w którą zaraz wyruszył, dostał przewodnika, młodego chłopaka

o sympatycznym wyglądzie, który polami miał go przeprowadzić do wsi Cholośna, gdzie stało dwo pułku.

O wschodzie słońca kilkunastu kozaków podsunęło się pod nasze zagrody, lecz przywitani ogniem, momentalnie zawrócili i zginęli w zamglonem powietrzu.

Po połączeniu się z pułkiem marsz odbywał się jeszcze szybciej, jak poprzedniego dnia, a zwłaszcza popołudniu przybrał on solidne tempo. Konie zaczęły ustawać, bo ciągly kłus dobił je do reszty. Do ciężkich kuchen rekwirowano konie i zakładano po cztery. Zabawny był widok, jak na dymiącej kuchni siedział zasmolony kucharz i pękając z bata, dziarsko kierował czwórką rumaków, niezbyt dobranych i zgranych. Po dołach i kamieniach aż trzeszczały hiedne kotły, a woźnica podskakiwał do góry. Konie w armatach były okryte pianą. Każdy żołnierz wyczuć mógł, że dwo zależy nawet na jednej minucie. Cała II-ga Dywizja maszerowała prawie jedną kolumną, bo ciągle widać było oddziały najrozmaitszych pułków. Myny były dziarskie.

Zachód słońca zastał pułki w marszu po piaszczystym szerokim trakcie. Z boku ciągnął się rzadki sosnowy las. Minęliśmy tor kolejowy Korosteń — Żytomierz, gdy w lewo od nas zagrzmiały działa: to I-sza Dywizja zaczynała walkę. Na północy, gdzieś daleko, rozpalala się krwawa luna.

Wzmocniono boczne ubezpieczenia.

Mrok nocy, co zaczął okrywać ziemię, głuchy pomruk dział, zwiększona czujność, świadomość, że gdzieś blisko, pewno już bardzo blisko, czeka wróg, zmęczenie,

co łamało kości, wszystko to stwarzało specjalną atmosferę. Cisza zaległa nad szwadronami; słyszeć było tylko chrzęst piasku, co obsuwał się spod kopyt końskich.

Zmęczona myśl, mimo całego wysiłku woli, skupiała się i cofała wstecz do zaciszy domowych. Tęsknota za odpoczynkiem, za spokojem zawładnąć chciała żołnierzem. Ale przecież w tej tęsknocie nie było nic sprzeciwu; niktby nie cofnął się o te dwa dni, nie porzucił sztandaru ani kolegów, samolubstwem nie zgrzeszył. Bo coś rwało naprzód, coś sił dodawało.

Ciszę, co usypiać zaczęła szwadrony, przerwała wiadomość o zwycięstwie polskich wojsk w walkach nad Niemnem. Przebąkiwano też coś o Wranglu. Znużone twarze ożywiły się.

Około północy pułki przybyły do dużej wsi, w której szwadron, wpakowany do małego folwarczku, pokrzepiał się czterogodzinnym odpoczynkiem. Jako łącznik żyłem te parę godzin życiem wsi. A wieś żyła — ho ruch wojsk, wypędził sen z jej chat. Oddziały jazdy ciągle przechodziły. W domach widać było naradzających się oficerów. Tabory z boku drogi przygotowały posiłek i rozpałały ogniska. Ktoś kłął, ktoś zrzedził.

Jak dziś widzę to małe podwórko, a w nim rzędami stojące nasze konie, tę alejkę prowadzącą od bramy podwórka do drogi, ten dom, gdzie nasz szwadronowy „sztab“ obsiadł stół, i te ogniska, co krwawo odbijały się w szablach i czerwieniły twarze przejeżdżających.

Szarzało, gdy pułk był już na koniach. Wysłano

ubezpieczenia i kolumna z miejsca ruszyła kłusem. Wkrótce długa wieś była za nami i las skrył pułki 9 brygady, która zdążała do toru kolejowego Korosteń — Kijów, aby od tej strony odciąć odwrót cofającym się z Korostenia sowieckim pułkom piechoty.

Brygada wydostawszy się z lasów, dopadła wsi Chotynówka, przejechała ją i zatrzymała się dopiero za torem kolejowym, obok wsi Nowaki (odległość między obu wsiami mogła wynosić około 500 mtr.).

Z całej brygady tylko trzeci i czwarty szwadron 201 p. szwol. nie przejechał toru, zajmując stanowisko między torem a wsią Chotynówką. Od strony Korostenia pokazała się tyraljera bolszewicka, idąca po obu stronach toru. Nadbiegł oficer z rozkazem do por. Zarzyckiego i momentalnie padły słowa komendy do szarży. Ledwo szwadron zaczął kłusować, gdy wtem z oddali, za piechotą bolszewicką pokazał się dymek — to od strony miasta zbliżał się pociąg pancerny. Granaty jego zaczęły padać przed nami. Dowództwo, zorientowawszy się natychmiast, że kawalerja może zostać zmasakrowana ogniem pociągu pancernego, nakazało zawrócić szwadronowi do wsi Chotynówki. Sam adjutant pułku, por. Bogusławski, na spienionym koniu dognął nas i wydał por. Zarzyckiemu powyższy rozkaz. Nasze c. k. m. zaczęły parkotać i pod ich ogniem piechota bolszewicka zawróciła w stronę Korostenia.

Tymczasem trzeci szwadron oraz drugi, trzeci i pół czwartego plutonu IV szwadronu, spieszywszy się, zajęły stanowiska na skraju wsi Chotynówki i zaczęły ostrze-

liwać zbliżający się pociąg pancerny. Pozostałe dwa niepełne plutony IV szwadronu przejechały klusem wieś Chotynówkę i zaraz za nią rozwinęły się do szarży. Bolszewicka tyraljera szła od lasu, z którego myśmy tak niedawno przybyli. Rozciągnęli się szwoleżerowie w szeroką wstęgę, rzadko, daleko jeden od drugiego, bo nie było nas więcej jak 30-tu. Lewe skrzydło prowadził szef Gościcki. Konie ściskane ostrogami dobywały resztek sił. Pole pokryte było tylko rzadkimi, małymi kępkami zarośli, więc dokładnie widać było linię nieprzyjacielskiej piechoty.

Odległość szybko malała; dłoń coraz silniej ścisnęła rękojeść szabli czy rewolweru. Pęd konia rozgrzał jeźdźcę — twarze pałały. Nieprzyjaciel, który z bagnetem na karabinie początkowo śmiało szedł przeciw nam, widząc, że polska jazda jest coraz bliżej, zaczął rozsypywać się. Ciąga jego linja rozerwała się i poszczególne jej człony zaczęły mieszać się, a te, które były bliżej lasu — uciekać do niego.

Jesteśmy już tuż, tuż. Widzę blade twarze. Konie najeżdżam pierwszego; niepewny ruch karabinu z jego strony, ale lufa rewolweru skierowana do niego, przekonała go ostatecznie o konieczności rzucenia broni. Zdezorientowani bolszewicy nie stawiali długo oporu. Wyciągało się ich niektórych z zarośli. Wreszcie ściągnąłem siwka: ciężko dyszał, białe piany spływały mu z boków. Jeńców, których było przeszło stu, spędziliśmy w jedną gromadę. Gdy wraz z nimi wróciliśmy do wsi Chotynówki, pancierka jeszcze była się.

Przebieg tej walki był następujący. Pociąg pancerny „Subotnik“, zatrzymać się musiał akurat między wsiami Chotynówka a Nowaki, ponieważ w tym miejscu tor był zagrodzony, wykolejonym poprzecznie parowozem (parowóz wykoleił o świcie 108 p. ułanów). Pancerka, chcąc otworzyć sobie drogę na Kijów, musiała w pierwszym rzędzie wstawić parowóz na szyny. Podjechawszy więc do niego, wystawiła tarcze, pod osłoną których obsługa zaczęła pracę.

IX-ta brygada nie patrzyła beczynn timer na to usiłowanie „Subotnika“ — ale ogniem swoich dział starała się uszkodzić pociąg. Piekielny jednak ogień działowy i c. k. m. z pociągu pancernego zasypał kulami polskie baterje, stojące na gołem polu. Obsługa ich musiała kryć się za węgły domów. Polskie karabiny maszynowe, przytulone do ziemi, mogły celniej razić pancerkę, ale cóż znaczyły ich kule wobec pancorza?

Część czwartego szwadronu też ostrzeliwała „Subotnika“, ale ostrzeliwanie to było naprawdę walką „romantyczną“ Don - Kichota z wiatrakami. A „Subotnik“, mimo ciężkich strat w ludziach, nie ustawał w pracy, siejąc w obsłudze naszych c. k. m. i w linji polskich szwoleżerów krwawe straty; (kontuzjowany został por. Bogusławski). Trzeba mu przyznać, że walczył po bohatersku. Miał też odrobinę szczęścia, ponieważ nasz pluton techniczny nie mógł wysadzić mostku kamiennego, gdyż zamało posiadał materiału wybuchowego.

Po niecałogodzinnej walce odszedł „Subotnik“ w stronę Kijowa. Widząc jego dymek oddalający się —

mimo pewnego żalu, musieliśmy po żołniersku go pożegnać i powiedzieć — zuch! Trzy inne pociągi pancerne zostały niszczone pod Korosteniem, po uprzednim wysadzeniu mostów. „Subotnika“ żegnał też ogień wsi Nowaki, w której zapalił on dwie zagrody.

Do tejże wsi spędzono wszystkich jeńców, jakich w dniu tym wziął do niewoli w szarżach 201 pułk. Było ich około 500.

Zdarzył się w dniu tym wypadek, świadczący o miękkości polskiego żołnierza, o braku u niego bezwzględności. Jeden z gospodarzy nie chciał dostarczyć podwody. Wyobrażam sobie, co by w takim wypadku zrobili np. Niemcy — wszak było to w pierwszej linii i przed chwilą trwała tu walka. Jeżeli nie kula, to mocne pogruchoćnięcie kości kolbą karabinu z upuszczeniem paru litrów krwi byłoby ich odpowiedzią. A polski żołnierz, usłyszawszy arogancką odpowiedź, rozpoczął pertraktacje. Podwoda zaś, może była potrzebna pod rannych, może pod zdobycz. Dopiero przejeżdżający oficer kazał natychmiast aresztować opornego, a gdy ten jeszcze nie ustawał w krzykach i urągówiskach, sprawa oparła się o dowódcę pułku, który wyznaczył karną ekspedycję.

Odpoczynek trwał ze dwie godziny. Mając parę chwil wolnych, wszcząłem rozmowę z jeńcami. Opowiadali mi o swoich wsiach, miasteczkach, o swoich rodzinach i o swoich troskach. Nie było widać, ażeby do nas pałali nienawiścią. Oczy ich były smutne i zaleknione. Pewnie, że wojna z punktu widzenia jednostki — zwa-

szcza, gdy patrzy się na krótką metę — jest nieszczęściem. Ale czyż nie stokroć większem nieszczęściem jest jarzmo niewoli, moc obcej przemocy? Komisarskiej więc, czy innej „wysokości“, które chciałyby z Polski uczynić swoją ziemię, odpowiedź da cała bohaterska przeszłość nasza, męki i tortury Sybiru, rozpacz i spodlenie niewoli, odpowiedź da szum polskich łąnów, modlitwa dziecięcych serc — to wszystko, co na wieki polskiem chce być... I nikt z nas nie stanie bezsilny wobec naporu wrogich sił, i w pierś co pod zabórczym idzie sztandarem, zawsze zwycięską pośle swą kulę.

Marsz do miejsca noclegu odbywał szwadron częściowo jako eskorta jeńców, częściowo na ubezpieczeniach i podjazdach, na których wzięto jeszcze niewolnika. Nękając nieprzyjaciela, nie dając mu wytchnąć, ani zebrać się, niszczyliśmy resztę jego wojsk, które skryły się po lasach. Rozbite, zdemoralizowane bataljony, uciekając przed jednym pułkiem naszej jazdy, wpadały pod uderzenie drugiego.

Jeńców prowadzono całe chmary. Mimo to, eskorty z naszego szwadronu były bardzo nieliczne. I tak, plut. Jan Rościszewski prowadził kilkuset moskali, mając wszystkiego ośmiu swoich ludzi. Niepewność sytuacji, jaka wytworzyła się dzięki otaczającemu lasowi, z którego dochodziły jeszcze pojedyncze strzały, powiększała i ta okoliczność, że jeńcy nieśli sami swoje karabiny, z których plut. Rościszewski wyjąć kazał tylko zamki. Zamki te, zebrane do worków, wieziono na pod-

wodach. Eskorta miała w ręku broń nabitą i gotową do strzału.

Marsz jeńców, idących w kolumnie czwórkowej, odbywał się powoli mimo przynaglania, ponieważ żołnierze rosyjscy byli przemęczeni. Późnym wieczorem spotkał plt. Rościszewski część któregoś szwadronu, który został wysłany przez d-wo, zaniepokojone długim nieprzybywaniem jeńców.

W miejscu noclegu połączył się szwadron z taboarami, które zrana odparły szarżę kozacką. Chorzy (kpr. K. Kozłowski) i ranni razem z taborytami tak dzielnie przywitali zza wozów cwałujących kozaków, że ci woleli zawrócić spowrotem do lasu.

Noc była spokojna i na placówkach panowała cisza. Z patroli wieczornych powróciliśmy już późną nocą, nie znalazłszy nigdzie nieprzyjaciela, który skrył się widocznie gdzieś głęboko w leśnym gąszczu.

X. POWRÓT SPOD KOROSTENIA.

Rankiem 11 października korpus jazdy płk. Róm-ma rozpoczął powrotny marsz.

Masy prowadzonych jeńców, których w IX brygadzie eskortował trzeci pluton płockiego szwadronu, oraz zdobyte c. k. m. i działa świadczyły o skuteczności wypadu.

Każda brygada powracała inną drogą. Nam wypadła ona pierwszego dnia poprzez wspaniały las, szerokim, przeważnie piaszczystym traktem. Z IX brygadą jechał też d-ca Dywizji, płk. Gustaw Orlicz-Dröszer.

Gwarno było w szeregach, bo wrażeń każdy doznał sporo, a szczęśliwe zakończenie walk pod Korosteniem dodawało też humoru i pewności siebie. Kwatermistrzowie byli już wysłani, więc i dobry nocleg — pewny.

Niemile przeto zdziwił się szwoleżer, gdy popołudniu padły na przodzie strzały; zrazu pojedyncze, a później coraz liczniejsze. To wysłani pod d-wem podch. Protassewicza kwatermistrzowie, natknęli się na przednie ubezpieczenie piechoty rosyjskiej, zagradzającej naszej brygadzie drogę do odwrotu.

Podchorąży śmiałym natarciem utorował sobie przejście, kładąc trupem paru krasnoarmiejców, resztę zabierając do niewoli. Ale kilkaset metrów dalej, leżał w lesie silniejszy już oddział piechoty, który powstrzymał dalsze posuwanie się szwoleżerów. Trzeba było do złamania jego oporu przeznaczyć znaczniejsze siły. Ponieważ tego dnia nasz pułk był „służbowy“, spieszono więc pierwszy i drugi jego szwadron i rzucono je do walki. Gęste podszycie lasu utrudniało skuteczne użycie c. k. m., więc polskie natarcie rozwijało się powoli. Czwarty szwadron na koniach czekał tymczasem na złamanie moskali.

Po kilkunastu minutach, gdy nieprzyjaciel zawzięcie bronił każdego kawałka ziemi, ustawiono na trakcie, w miejscu gdzie rozszerzał się on nieco, jedno działo, i zaczęto z niego strzelać. Ale widocznie pierwsze jego strzały wzbudziły obawę o własną tyraljerę, bo nadbiegł od przodu oficer z rozkazem powstrzymania ognia.

Kule karabinowe, te zabłąkane, szły górą. Dwóch rannych odniesiono do tyłu.

Spieszone szwadrony wkrótce znów mocniej uderzyły, zmuszając nieprzyjaciela do cofnięcia się. Szwadron nasz ruszył klusem, chcąc wydostać się na czoło. Lecz moskal jeszcze raz próbował szczęścia, ale i tym razem bezskutecznie. Naciskany coraz bardziej — poddał się.

Teraz płocki szwadron pokłusował, wysyłając przodem patrol pod d-wem plt. Gnata. Patrol ten natknął

się pod wsią Białka na rosyjską piechotę i ścigany jej ogniem wpadł na nas.

„Most broniony jest przez 2 c. k. m. — w wiosce piechota“ — meldował porucznikowi plt. Gnat.

„Z koni — do boju!“ — padła komenda. Konowodzi cofnęli się do tyłu, a spieszony szwadron ruszył bokami traktu przed siebie, zatrzymując się dopiero przy leśniczówce, gdzie trakt nieco skręcał. Za parę minut zjawił się d-ca brygady z jakimś oficerem. Coś kręcili głowami i naradzali się z rotm. Szwejcercem. Nie dowierzali, ażeby nieprzyjaciel znowu zamierzał tu stawiać opór; lub sądzili może, że we wsi była tylko słaba obsada, która mogła już się cofnąć. Trzeba pewno zbadać. Patrzyłem na ich twarze, na których widać było cień wahania w decyzji. Czyż mogli wiedzieć, jaka siła mogła tam, między zagrodami i w rowie? A wokoło las — to też wróg dla jazdy w walce z piechotą.

Nagle twarz dowódcy ożywiła się i ostrym głosem rzucił: „pięciu — zbadać most!“ i miękko dodał — „na ochotnika“. Zawsze jest łatwiej nie wyznaczać na możliwą śmierć. Te szare oczy, które patrzyły w jego twarz, mówiły, że i tak chętnie pójdą; choć serce jakoś inaczej bije. A tam jeden z naszych przykucnął w rowie. Oni nie mają do niego pretensji, że jego wola nie wytrzymała. Przecież nieraz był odważniejszy od nich. Pójdą za siebie i za niego. Nagle, jak spod ziemi wyrósł nieznanym nam plutonowy i prosił majora o poprowadzenie patrolu. Major uśmiechnął się i skinął głową. Plutonowy zabrał nas ze sobą.

Po lewej stronie las kończył się przy zagrodzie, za nią ciągnęła się łączka aż po rów, porośnięty olszakami, za którymi majaczyły kontury wsi. Z prawej strony drogi las ciągnął się kilkaset metrów dalej, przechodząc następnie w gęste zarośla, które sięgały już rowu i leżących prawie przy nim domów. Trakt w miejscu, gdzie stała leśniczówka, skręcał dość silnie w prawo, tak że cała brygada rozciągnięta wzdłuż niego, była niewidoczna dla oka bolszewika, przyczajonego we wsi, odległej nie więcej jak 300 metrów. Plutonowy rozdzielił nas: trzech zabrał z sobą w zarośla na prawo, mnie i szwol. Jankowskiego skierował na łączkę. Dostawszy się na nią, dość raźnie zbliżamy się do wsi, naturalnie wzięwszy między sobą odstęp kilkunastu metrów. Wiemy, co nas czeka.

Po kilkunastu sekundach widzimy, że plutonowy wziął w zaroślach do niewoli 2 moskali. Dobra nasza — poddali się bez strzału. A wieś tymczasem milczy, jakby nie wrzało w niej życie pułków „krasnoarmiejców“.

Oczy moje wciąż nie mogły dojrzeć w rowie, który biegł wzdłuż zabudowań, ani między nimi. W ręku jednak trzymałem mocna karabin, z palcem na spuście. Wieś coraz bliżej i wciąż — do diabła — milczy. Aż tu nagle piekielny łoskot. Cała linja moskiewska ukryta w chałupach i w rowie — ożyła. Karabiny maszynowe przy mostku zagrały. W uszach huk, trzeszczenie. Instynktownie padłem na ziemię. Otrzeźwiałem po sekundzie. Nie umiem określić uczucia, jakie powstało we mnie; może to było uczucie pana Zagłoby, kiedy mu-

siał przyjąć walkę z kozakami Bohuną, osaczony na strychu. Może — nie wiem...

Wiem tylko tyle, że o ile zawsze pod kulami doznawałem uczucia lęku, tłumionego ambicją i poczuciem konieczności spełnienia obowiązku, to właśnie teraz, gdy zostałem sam, sam jeden wobec tysięcy kul, właśnie teraz coś się z moim sercem przeinaczyło; przestało tłuc się, cała zaś wola i pewno instynkt skupił się w mięśniach.

Serje z k. m. zostają wpakowane w ziemię tak blisko mnie, że poczułem smak ziemi w ustach. Lecą, lecą kule, natrętne, złe, lecą zda się ze wszystkich stron. A ja nie próżnuję; widzę najwyraźniej linię rowu i krzaków, więc tam ślę kule. Widzę już i twarze, a właściwie oczy, bo żołnierz nieprzyjacielski niziutko trzyma głowę, choć ich tyłu. Zdaje mi się, że widzę te oczy szydercze, że w świetle kul słyszę jakby śmiech. Utkwili we mnie lufy swych karabinów. Jeden z ich dowódców poderwał się, aby jeszcze bardziej z bliska walić we mnie kulami z rewolweru. Zacięte usta i złe oczy, mówiły jak mu byłem drogi. Ty „sukin synie“ — odpowiedziałem mu kulą. Przywarł do ziemi. Przez drogę przemknął jeździec na białym koniu. Bliskość śmierci podziałała na mnie dziwnie podniecająco. Kulę za kulą słałem i z jakąś wewnętrzną radością prowadziłem ten nierówny pojedynek. Ale plutonowy krzyczy już z zarośli: „cofać się i strzelać“. Na każdym nowym stanowisku, już kłękając tylko, słałem cały magazyn kul do nieprzyjaciela. I znów do tyłu, i znów... trrach.

Gdy dostałem się za jakiś krzak, stanąłem. Ręką obtarłem pot i piasek. Mój współtowarzysz był też za ochroną. Tylkośmy sobie powiedzieli — a to cholery!

Gdyśmy zmierzali w stronę leśniczówki, od strony wsi Białka rzadkie padały już strzały. Ale cóż znaczyły pojedyncze kule!

W tych paru minutach, przeżytych przed chwilą, poznałem, że można kochać wojnę, kochać śmierć, którą się zadaje, kochać ból ran, wojenną pożogę i ofiarną czcić krew.

Ale wracajmy do rzeczy.

Gdy stanąłem na zakręcie traktu, z boku przy leśniczówce stało odprzodkowane działo. Kręcili się koło niego oficerowie; sam d-ca brygady coś żywo mówił do d-cy baterji. Podsunąłem się bliżej działu. D-ca baterji kazał je przetoczyć jeszcze parę kroków do przodu. I wtedy dojrzeli działo widocznie moskale, bo otworzyli znów szybszy ogień.

Szwależer z drużyny d-cy stojący koło mnie, nagle zachwiał się i dziwnie sztywno upadł na ziemię. Rzucili się do niego koledzy i wynieśli do tyłu. Padł ranny drugi żołnierz, zdaje się, że z obsługi. Zaczęły pukać kule o tarczę działu. Skryto żołnierzy z boku drogi.

Patrol został odesłany do szwadronu i nie byłem świadkiem pojedynku, jaki odbył się między działem strzelającym kartaczami, a karabinami maszynowymi, ukrytymi we wsi. Wiem jednak, że chlubnie spełnili swój obowiązek polscy artylerzyści. Bojem pod Białką

przyczynili się, że na ich sztandarze pułkowym zawisł krzyż „Virtuti Militari“.

Gdy o tem już po wojnie dowiedziałem się, kontent byłem, że ja tam jeszcze bliżej wahałem prochu.

Szwadron leżał w linji po prawej stronie drogi. Ze szwol. Jankowskim odesłano nas na sam koniec. Trochę bardziej w prawo mieliśmy jeszcze towarzysza, ale... czworonożnego: między ciasnem zagrodzeniem, zrobionem z drągowiny przybitej do pni, siedziała czarna świnia. Widocznie jakiś mieszkaniec wsi, w obawie przed wojskiem, w lesie schował swoje najponętniejsze dla żołnierza zwierzę. Uśmialiśmy się z tego konceptu.

Niedługo padły słowa komendy i szwadron zaczął posuwać się naprzód. Górą po drzewach trzaskało. Nagle od strony nieprzyjaciela ujrzeliśmy idącego pułkowego kapelana. Z miną spokojną oznajmił nam, że nieprzyjaciel tuż. Pod kapelańskim mundurem biło gorące serce Polaka. Trud żołnierski był mu niczem; na koniu lub pieszo, zawsze kręcił się wśród szwoleżców, a na jego spokojnej twarzy nigdy nie było widać najmniejszego zdenerwowania. Usłużny dla każdego, dzielił się nieraz z nami przysmakami, któremi obdarzali go wieśniacy. Pod kulami zachowywał się tak, jak człowiek, który każdej chwili gotów jest zdać rachunek przed Swórcą.

Gdy las zaczął rzednąć, przed oczyma naszymi ukazała się wąska łączka, a za nią skraj wsi i znów las. Przez łączkę płynął wąziutki i płytki strumyk.

Nieprzyjaciel przywitał nas po żołniersku — kula-

mi. Linja jego szła poprzez stodoły, tworzące wzdłuż frontu długi sznur i przechodziła dalej poprzez brzeg lasu. Prawe nasze skrzydło miało już przed sobą moskali, ukrytych nie w stodołach, a za drzewami.

Na skraju lasu, gdzieśmy padli, każdy z nas ukrył się za olszakiem, wysunął karabin, wychylił głowę i dalejże badać. Dokładnie objąłem przedpole: w odległości około 100 kroków leżeli, po tamtej stronie łączki, ukryci, tak jak i my za drzewami, krasnoarmiejcy. Na głowach mieli dość jasne barankowe czapki, które wyraźnie odcinały się od szarzyzny pni drzew. Czapki te, po każdym strzale starannie chowały się za olszaki.

Po lewej ręce, w odległości paru metrów miałem kaprała Z. Przedpelskiego, po prawej Krępcia, za którym leżał Jankowski, kończąc polską tyraljerę. Odrazu zaczęła się gorąca wymiana strzałów. Wypuściłem już sporą ilość kul, tak, że lufa karabinu parzyła, gdy linja nieprzyjacielska zaczęła ożywiać się. Dochodziły odgłosy komend i widać było nowe postacie przebiegające chyłkiem między drzewami i zasilające front.

Strzelanina wzmogła się. Ukryte w zaroślach c. k. m. żywiej zagrały. Widząc u moskali ruch jakby do ataku, wydano nam rozkaz szybszego strzelania. Postacie ich, które podnosiły się do skoku, znów musiały się wtulić między drzewa, rażone gęstym naszym ogniem.

Co jakiś czas, nieprzyjacielski karabin maszynowy ukryty w budynku, na lewo odemnie, skierowywał ogień na nasze skrzydło. Kule jego posiadały dziwną systematyczność bzyku i kładły się na jednej płaszczy-

źnie nad naszymi głowami. Były one mniej nerwowe jak te, które dostawaliśmy z karabinów ręcznych, a miały jakby większy upór i dziwną bezwzględność. Trzeba było całego wysiłku woli, ażeby mając je nad głową, nie ryć nosem w ziemię i nie pozostawiać przedpola wolnego od swojej kuli.

Tymczasem natężenie ognia nie malało. Padł ciężko ranny szwol. Wacław Kępniak (pracownik folwarczny z Osieka), otrzymawszy pięć kul w brzuch i piersi z karabinu maszynowego. Zbroczonego krwią wyniósł do tyłu szwol. Ludwik Duczymiński. Obsługa najbliższego mnie c. k. m. ponosi stratę 2-ch ludzi.

W tym samym mniej więcej czasie z lewej strony doszedł mnie cichy jęk. Skierowawszy tam wzrok, ujrzałem, że leżący o dwa czy trzy metry odemnie, kpr. Zygmunt Przedpelski, wypuścił z rąk karabin. Z głowy jego zsunęła się czapka i odkryła bujne włosy, które wydały mi się dziwnie długie. Twarzy ukrytej w trawie ujrzeć nie mogłem. Z jęku, który dochodził z jego piersi, domyśliłem się, że ranny.

Razem ze szwol. Krępciem zaczęliśmy jaknajciszej wołać o sanitariusza, nie mogąc nic pomóc rannemu, gdyż opatrunki zostały przy siodle. Gdy po paru minutach zjawił się sanitariusz, ostrożnie odciągnięto ranne go w ramię kpr. Przedpelskiego do tyłu.

Strzelanina wzbierała jeszcze na sile. Liczne kule, przebijając drzewa, sprawiały silny łoskot, a huk strzałów armatnich i wybuchy pocisków rozdzierały raz po raz powietrzem.

Zostaje znów ranny szwol. Czesław Gierzyński, leżący obok dawnego stanowiska kpr. Przedpełskiego.

Plt. Adam Gorski, dowodzący naszym prawem skrzydłem, straciwszy trzech ludzi, kazał nam nieco rozsunąć się, ażeby utrzymać ciągłość linii. Pozatem wycofał kpr. X. i szwol. Juljana Gościckiego, których posłał na spatrolowanie lasu, bardziej jeszcze w prawo.

W czasie walki zaczął szczególnie na mnie „nastawać” jeden z nowoprzybyłych bolszewików. Widziałem dokładnie jego oczy, natrętnie jakby tkwiące we mnie, razem z... lufą karabinu. Kora mojego olszaka zaczęła łupić się, a świst szedł tuż; że kule były dość celnie skierowane, świadczyło i to, że raz złapałem się za ucho, poczuwszy jakby żar. Mój przyjacielu, pomyślałem, trzeba z tobą jakoś skończyć i zwierzyłem się ze swojej trocki szwol. Krępciovi. Uradziliśmy strzelać we dwóch do upartego moskala, który chyba był jakimś starszym, tyle bowiem zdradzał zawziętości. To prowizoryczne skoncentrowanie ognia dało nam kapitalny wynik: czapka barankowa skryła się za drzewami i została odciągnięta do tyłu.

Mieliśmy teraz sposób, ażeby górować nad nieprzyjacielem, który nie wytykał już zbyt śmiało głów z poza olszaków. Tylko lufy jęga karabinów dziwnie bezlitośnie patrzyły na nas, darząc nas kuleczkami.

Ale nie straszne były one szwoleżerom, których podniecała krew przelana przez ich kolegów. Opaska sanitarjusza migiała po tamtej stronie łąki. Jakby zado-

wolenie z zadawanego cierpienia czy śmierci, ogarnęło naszym jestestwem.

Górą wciąż od czasu do czasu przelatywały pociski artylerji rosyjskiej, padające jednak z tyłu nas, na 1-szy pułk szwoleżerów, który zabezpieczał tyły naszego natarcia. Pociski te, wraz z błakającymi się kulami karabinowymi, nieciły zamęt wśród kolumny jeńców, eskortowanej przez trzeci pluton płockiego szwadronu.

W pewnym momencie, gdy jeńcy dostali większą porcję kulek, a parę pocisków z działa upadło tuż obok nich, w kolumnie ich wszczął się popłoch. Część z nich rzuciła się do ucieczki w las. Niebezpieczną sytuację opanował jednak natychmiast kpr. Karol Grabowski i Kazimierz Chamski (ppor. Boichut był wtedy łącznikiem między d-cą brygady a szwadronem walczącym w linii), strzelając z rewolwerów ponad głowami jeńców i wydając rozkaz ognia swoim żołnierzom. To momentalnie poskutkowało, a do reszty otrzeźwiła bolszewików linja tyraljery z pierwszego pułku, leżąc niedaleko w lesie.

Walka o wieś Białkę przedłużała się, gdyż mostek broniony był bardzo silnym ogniem k. m. Bagnisty zaś strumyk, co oddzielał walczących, budził w dowództwie obawę, że może być zbyt wielką przeszkodą w natarciu. Dostarczono nam, mimo to, nowych porcyj naboju i kazano być gotowym do ataku.

W tym jednak czasie trzeciemu szwadronowi udało się obejść Białkę od południa, co zmusiło moskali do opuszczenia wsi. Ponieważ do ostatniej chwili trzyma-

liśmy ich pod natężonym ogniem, nie mogli oni skutecznie przeciwstawić się polskiemu natarciu od tyłu; w popłochu zaczęli wycofywać się w las, porzucając karabiny maszynowe i dwa działa.

W pewnej chwili barankowe czapki zniknęły nam w gęstwinie. Mrok wypelzał z zarośli, więc pewno dlatego nie rzucono nas w pogoń.

Szwadron ścigał na trakt. Jedno działo nieprzyjacielskie jeszcze biło, łomocząc pociskami po drzewach.

Idąc na miejsce zbiórki, przejść musiałem wzdłuż całego frontu, gdzie walczył czwarty i część drugiego czy pierwszego szwadronu. Rannych i zabitych nie zebrało jeszcze wszystkich. Obok pierwszego spotkanego c. k. m. leżało dwóch żołnierzy: jeden już skonał wskutek upływu krwi; kule nieprzyjacielskiego k. m. przecięły mu tak nogi, że kompletnie pogruchotały kości i obnażyły je z ciała. Oczy zaszyły mu już mgłą. Ukłąłem by dotknąć czoła — tak bym chciał, żeby żył, żeby cios nie dotknął jemu bliskich, żeby matczyne piersi nie załkały. Próżna nadzieja. Serce już nie biło.

Drugi ranny, opatrzony, czekał na kolegów, aby go wynieśli na drogę. Tam już kładziono na wóz Kępiaka, który skonał. Znoszono innych rannych. Niektórzy z nich szli o własnych siłach, tylko blada, bólem wykrzywiona twarz i bandażę świadczyły o ranie.

Zatrzymaliśmy się na chwilę we wsi Białka. Słońce już zaszło, a niebo na zachodzie czerwieniło się. Cisza wieczorna spływała na ziemię; strzały ucichły. Nerwy

trzymane przez parę godzin w napięciu, jakgdyby odpę-
zały się. Spokoju, wypoczynku!

Wieś Białka była pusta, jakby wymarła, ponieważ
mieszkańcy jej jeszcze nie powychodzili z kryjówek,
obawiając się powrotu walki.

Od jakiegoś „muzyka“, przyłapanego w kącie cha-
ty, do której wstąpiłem po kubek wody, dowiedziałem
się, że moskale ponieśli ciężkie straty; zwłaszcza polskie
działo, strzelające kartaczami, krwawe sprawiło żniwo.
Zalił się, że prawie wszystkie konie ze wsi zabrano na
podwody pod rannych.

Spod pryczy dochodził płacz dziecka. Kobięcina —
starucha — kulila się w sieni za heczką, obłąkanym
wzrokiem patrząc na mnie.

Gdy pułk minął wieś, pod szarzącym z prawa la-
sem widać było grupki jeźdźców, których las wstrzymał
w pościgu.

Znajdował się tam także i patrol z płockiego szwa-
dronu pod d-wem plut. Gorskiego. Potrol powyższy do-
piero o zupełnym zmierzchu natknął się na oddział nie-
przyjacielski. Jadący na szpicy szw. Mieczkowski naje-
chawszy bez mała pierś w pierś na jego ubezpieczenia,
wymienił z nimi parę strzałów i ścigany ogniem karabi-
nowym zaalarmował patrol plut. Gorskiego. Gdy ten
jednak nadjechał, już bolszewików nie było ani śladu.
Ciemna noc i zarośla dały im bezpieczne schronienie.

W niedalekiej ogromnej wsi brygada zatrzymała się
na nocleg.

Czekając na kwaterunkowych, zajadaliśmy ziemniaki, ugotowane przez czerwonych piechurów.

Na nocleg 201 p. dostał zupełnie puste zabudowania ogromnego folwarku.

Do wielkiej stodoły wprowadzono dwa szwadrony. Ledwo jednak siano znalazło się przed końmi (w sianie chłopskiej stodoły ucapiliśmy paru moskali), gdy padła komenda — „wyprowadzaj!”

Czwarty szwadron za parę minut maszerował po pustej drodze. Na straż przednią poszło pół plutonu czwartego, na szpicę — ja z kpr. Wodzyńskim. Z tego zaszczytnego przydziału nie byłem bardzo kontent. Cóż jednak było robić? Siwek dostał ostrogi i odsadziłem się od oddziału. Noc była jasna.

Po niecałogodinnym marszu zamajaczyły kontury wsi. Pluton zatrzymał się na jej brzegu, a my we dwóch z kpr. Wodzyńskim kłusem wjechaliśmy między zagrody. Ale nigdzie nic podejrzanego i żywej duszy nie widać. Tylko wieś zda się bez końca. Wkrótce nadciągnął por. Zarzycki (bez trzeciego plutonu). Konie nierozsiodlane stały u płotów, a ludzie wolni — grzali się w izbach.

My zaś z kpr. Wodzyńskim marzliśmy u wylotu drogi ze wsi, ponieważ chłód dokuczał, a z koni zejść nie było wolno. W pewnym momencie, po oświeconej gwiazdami drodze, ujrzeliśmy idącą ku nam postać żołnierza. Z gotową do strzału bronią doczekaliśmy się — bolszewika, który z rezygnacją oddał nam swój karabin.

Rano szwadron połączył się z pułkiem i już do sa-

mego Zwiahla maszerował razem z brygadą, czy nawet dywizją.

Czas przechodził szybko, bo konserwy łagodziły głód, a bajeczna pogoda — zmęczenie.

Wołyń, skąpany w jesiennym słońcu, naprawdę poił urokiem.

Tego dnia zobaczyliśmy przy sztabie dywizji czy korpusu trzy uzbrojone i umundurowane amazonki. Nie wiedzieliśmy, że i kobiety były z nami pod Korosteniem. Wyglądały rasowo, zwłaszcza jedna; w mundurach było im do twarzy.

Ostatnią noc z tej strony Słuczy, pluton mój spędził w tajemniczym chutorze, ukrytym pośród łąk i zarosli i otulonym nocną mgłą. Przypomniały mi się Sienkiewiczowskie opisy. Poprzedniej nocy spali tu kozacy i legowiska ich jeszcze nie były ruszone.

Wysłany z meldunkiem do pułku natknąłem się na obóz jeńców. Na słomie rozesłanej pod płótem leżeli oni wzdłuż drogi — całemi chmarami. W paru miejscach rozpalili ogniska, w których piekli sobie ziemniaki. Smętne melodje dochodziły z tej masy ludzkiej, po której szedł czerwony odblask ogni. Straże chodziły naokoło. Broń jej migotała.

Kuchnie nie dostarczyły swoim oddziałom kolacji, bo gotowały dla jeńców, których liczba przewyższała stan bojowy korpusu.

Gdy rankiem pluton czekał na drodze, minął nas sznur wozów, na których leżeli pod płachtami — zabici koledzy.

Około południa zawarczał nad głowami samolot, który po zrobieniu paru okrążeń nad nami, wylądował na pobliskiej łące. Przywiózł on wiadomość o zawartym rozejmie. Wypoczynek nas nęcił. Z lewej strony drogi operator filmowy kręcił swój film, pachniało więc naprawdę pokojem. Tylko szeregi jeńców, zmęczone, zakurzone, przypominały wczorajsze dni.

Wśród gwaru dojeżdżaliśmy do Zwiahla. Ale zanim dywizja miała przekroczyć Słucz, pułkownik Dreszer, chciał ze swoimi żołnierzami kilka słów zamienić i spojrzeć w ich — oczy.

Na obszernem polu ustawiono pułki jazdy. Nie były one strojne jak na placu stolicy, ale okryte pyłem, zszarzałe, zmizerniałe. Jeny oczy żołnierskie jaśniały.

Przygalopował d-ca dywizji i donośnym głosem powiadomił o zawartym zwycięskim rozejmie. Dziękował żołnierzom za spełnienie obowiązku, za wytrwanie w znoju, za zwycięstwo w walce. Okrzykiem — „niech żyje Polska, niech żyje jej wódz Piłsudski!“ — zakończył płk. Dreszer przemówienie.

Orkiestry zagrały „Mazurka Dąbrowskiego“, opalone twarze żołnierskie ożyły. Przypomniały się dziecięce sny.

„Szable w dłoń!“... i pułk za pułkiem defilował przed swoim dowódcą, który patrzył na swoich żołnierzy, szczęśliwy, że go nie zawiedli. A szary żołnierz dumny był, że mógł swemu dowódcy bez wstydu spojrzeć w oczy.

Wypad pod Korosteń był ostatnim wyczynem armji

polskiej, zamykającym walki polsko - bolszewickie; wy-
czynem, z którego jazda polska może być dumna.

Zwiahel został za nami. Na noc przybyliśmy do Jarunia, gdzie szwadron nasz rozmieszczono po zagrodach, stojących pojedynczo wśród pól.

W nocy nastąpił alarm. Ze snu smacznego zbudziły nas odgłosy rozmów prowadzonych za oknem — po rosyjsku.

W izbie ciemno, więc poomacku wciągamy na nogi buty, karabiny do ręki i już stoimy na progu. Kto był? — pytamy się „hazaina“. Kozacy — odpowiada. Rzucamy się momentalnie do bramy. Gdzieś blisko padły strzały. Za chwilę wpadł plt. Gnat — „alarm, zbiórka!“ Okazało się, że kozacy chcieli się z nami pożegnać. Do rana trzymano nas na drogach i patrolach. Podjazdy powróciły o świcie, przepędziwszy kozaków za Słucz.

Wieczorem odbył się pogrzeb zabitych w wypadzie pod Korosteniem szwoleżerów z IX brygady. Żegnaliśmy ich wśród ciszy wieczoru.

Śmierć żołnierska ma inne oblicze, niż śmierć, która schodzi w spokojne domostwo; a pogrzeb żołnierski niema nic w sobie z rozpaczą i zwątpienia. ...Bo w nim wita się ofiarny, wyzwolenieczy czyn, w nim wita się za-
dątek jaśniejszego świtu, lepszego dnia.

Patrzac na białe trumny, w których spoczywali ko-
łedzy, a potem na ziemię co sypała się na nie, myśla-
łem, że chociaż niejednego żołnierza, który ginie w wal-
ce, żegnają tylko żrenice towarzysza, a stygnącej jego
dłoni już nikt nie ma czasu na piersi mu złożyć... — że

choć matczyne łzy nie spadają w chwili konania na jego spieczone wargi, a kochane serce nie przwrze do stygnącej piersi, to jednak żołnierska śmierć nie ma równej sobie. ...Ofiara z krwi ma bowiem inną wagę na szali dziejowych przeznaczeń.

Nazajutrz pułk ruszył do Baranówki, w którym to miasteczku zastał kozaków. Mimo rozejmu padły jeszcze strzały i to dość liczne. Pełnym galopem goniliśmy nieprzyjaciela, który, chowając się po zaułkach, chciał powstrzymać polskie natarcie. Ale natarcie to szło z takim impetem, że ci którzy nie zdążyli uciec za rzekę, wpadli w szwoleżerów ręce. Z naszej strony oprócz ranego konia, tylko szwoleżerowi Winnickiemu (przydzielonemu do 4 plutonu pod Równem) kula karabinowa roztrzaskała zamek karabinu, jego samego nawet nie kalecząc; (trzeci wypadek w szwadronie rozbicia zamku przez kulę nieprzyjacielską).

Z Baranówki cofnięto pułk do Smołydrewa.

Tego dnia nadciągnął pierwszy dech zimy. Zima zbliżała się szybkimi krokami, przykra, dokuczliwa.

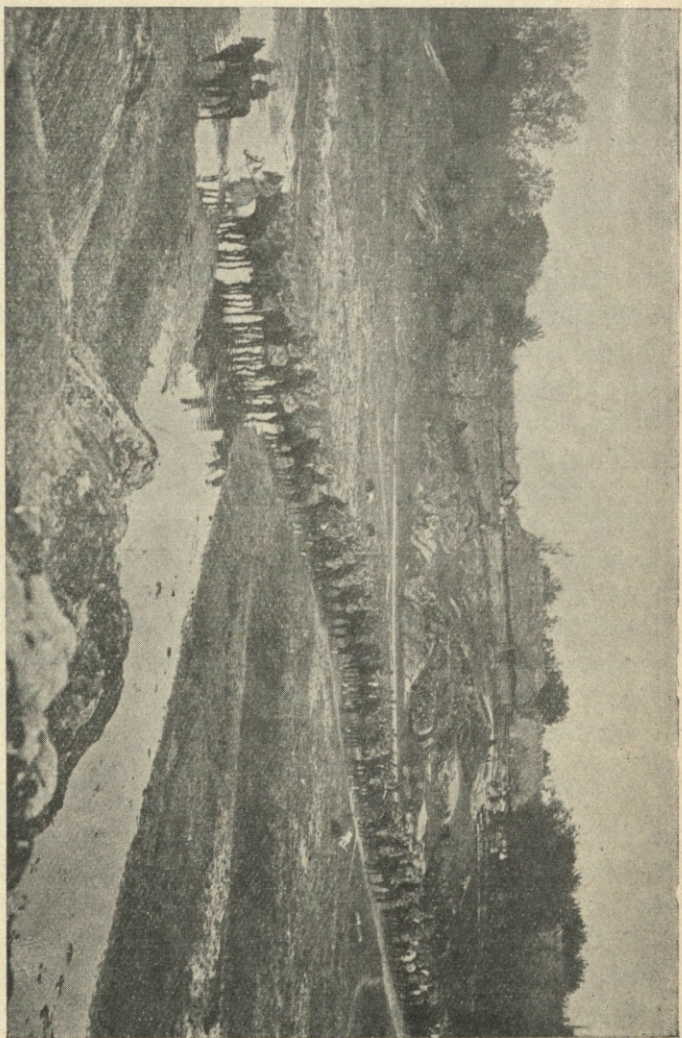
XI. SMOŁDYREW.

Któryż ze szwoleżerów 201 pułku jeszcze dzisiaj, wspominając swoją wojaczkę, nie przypomina sobie tej długiej i szerokiej wsi wołyńskiej, w której kwaterował przez parę tygodni. Zielona cerkiew, murowana szkoła, brodata twarz popa, były jedyną atrakcją na tle szarego dnia wsi.

Zbytniej rozkoszy w Smołdyrewie nie zazналиśmy. Chłód ziębił ciało, głód nieraz dokuczał, a wszy niemiłosiernie — mimo okrutnych batalji z niemi staczanych — piły naszą krew. Ranne i wieczorne czyszczenie koni, które odbywało się na drodze, trwało niepomiernie długo, jakgdyby chciano szczotką i zgrzeblem zastąpić część karmy. Z tą ostatnią howiem była bardzo krucho, zwłaszcza dawał się odczuć brak siana i słomy. Konie wychudły!

Nocne warty, patrole przy trzaskającym mrozie, nie uprzyjemniały też życia, zwłaszcza, że wykonywane były w cienkich szynelach i często przy dość pustym żołądku.

Co wieczór szwadron zbierał się około domu popa, gdzie kwaterował por. Zarzycki. Tam odbywał się wieczorny raport.



Szwadron wraca do Smoldyrewa po powrocie z pod Korostenia.

Ludność Smółdyrewa odnosiła się do polskiego wojska życzliwie, naturalnie w granicach tej życzliwości, jaką można mieć do wojska, będącego jednak ciężarem.

Pamiętam dokładnie pocziwą twarz naszej „hazajki“, u której kwaterowała moja sekcja. Śpiżarnią swoją dzieliła się z nami uczciwie; co dzień rano miskę kaszy jaglanej na mleku stawiała przed ośmiu chłopą. Gdyby nie to, śniadanie nasze składałoby się z kubka gorzkiej kawy i kromki razowego chleba (amerykańskie bułki skończyły się już). Kupić we wsi coś do zjedzenia było niepodobieństwem.

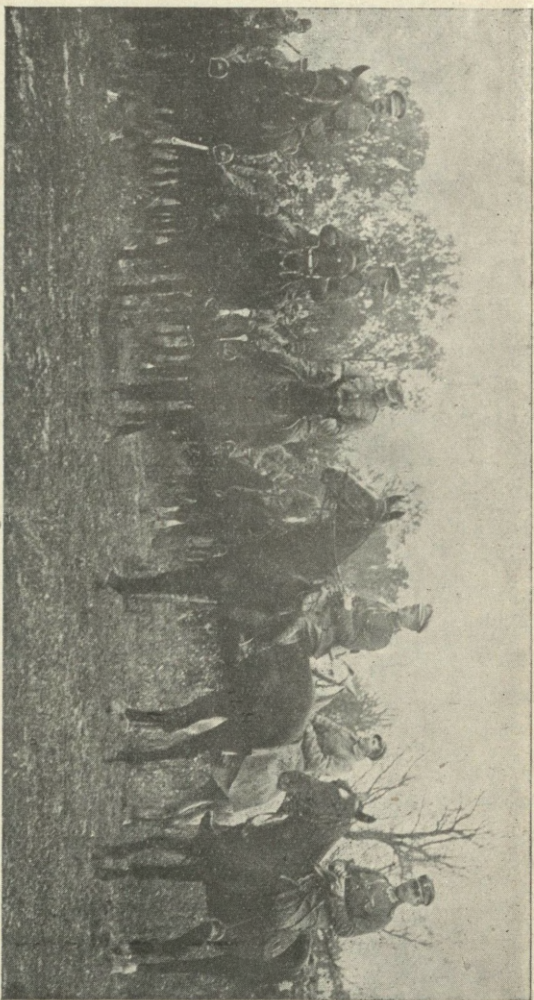
Syn jej, Josef, pomagał nam przy oprzącie koni, a wieczorem zaścielał, jedyną w chacie izbę słomą, na której szykowaliśmy sobie zawzione legowisko. W wolnych chwilach bawił nas rozmową, zadziwiając swoją bujną wyobraźnią.

Romanse w Smółdyrewie bardzo nie kwitły.

Szwadron tajał, bo co kilka dni wyjeżdżał ktoś na bezpowrotny urlop.

Co jakiś czas wysyłano oddziały jazdy — po kilka naście koni — w okolice nie zajęte przez wojsko w celu zakupu owsa i siana. „Starosta“ dostawszy rozkaz dostarczenia takiej, a takiej ilości paszy, rozdzielał ją na wieś. Chętnie — przynajmniej na oko — znoszono wiązki siana i woreczki owsa do domu „starosty“, skąd na wyznaczonych podwodach zabieraliśmy to wszystko do Smółdyrewa.

Namarzyło się wtedy nieraz, i to dobrze, bo mróz



„Sztab” w Smołyńskiem na koniach
od lewej strony plut. A. Górski, plut. St. Gościński,
podchorąży Z. Prokaszewicz, por. Zarzycki. za por. Z. — jego ordynans na białym koniu.

ścisnął już porządnie. Za to żołądki nasze i naszych koni były syte, nie tak jak w Smołydrewie. Zwłaszcza gdy nocleg wypadł u czeskiego lub niemieckiego kolonisty, jadła mieliśmy wbród i wygodne, ciepłe spanie.

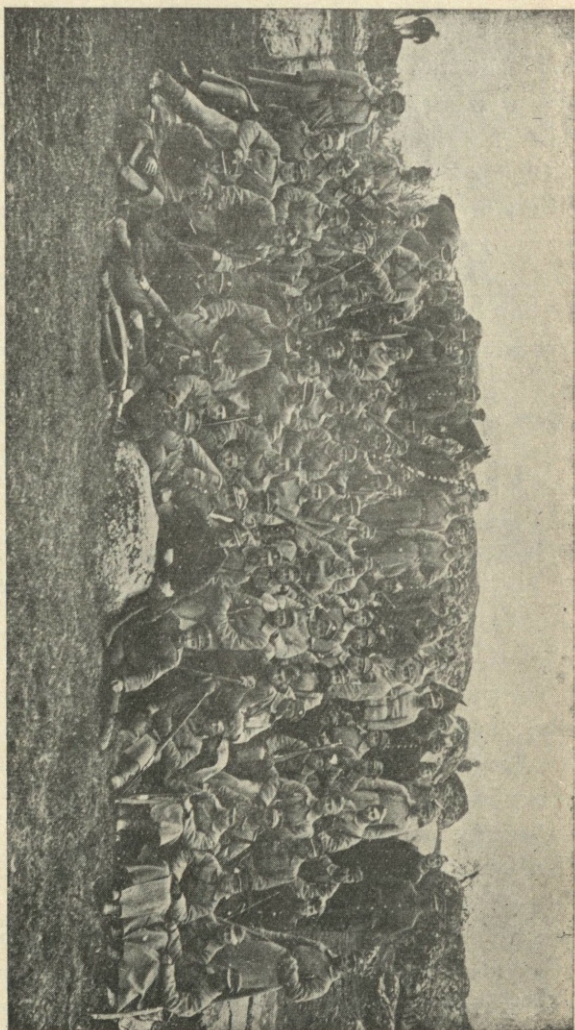
Obcując przez kilka tygodni z miejscową ludnością, mieliśmy możność przyjrzenia się jej życiu i zwyczajom. Lenistwo ruskiego chłopca widać było w każdym zakątku jego bardzo prymitywnego gospodarstwa. Inwentarz mały, nędzny; „koryłki“ o dużych, wypchanych słomą brzuchach, konie — jak kuce, obrośnięte długim włosiem, znaczną część dnia wałęsające się po dworze; świnie przeważnie czarne, chude jak charty. Budynki bez mała wszystkie drewniane, lub z gliny. Gdzie cegła, to pewno kolonisty gospodarstwo, albo dom rządowy — szkoła, gmina.

Dachy w znacznej części słomiane, wewnątrz chaty — piec, pryca od samego pieca do ściany, stół, jedna, dwie ławy, szafa (nie wszędzie) i wszystko. Kuchni po chatach ruskich nie spotykaliśmy.

Najważniejszym przedmiotem w izbie była pryca: na niej siedzi się w dzień, na niej śpi się w zimie od zmierzchu do rana, śpi się na „twardo“, bez siennika, na płachcie lnianej.

Dzieciaki małe grzały się na „pieczku“. Nie widziałem prawie żadnych robót wykonywanych zimą przez wieśniaczki. Jeszcze starsze — staruchy — czasami przędły, ale młode, zdrowe, barczyste dziewczuchy wałęsały się bez zajęcia, szczerząc zęby do chłopaków.

Odżywianie nędzne, przeważnie tylko dwa razy



W Smoldyrewie.

dziennie. Przy trzaskającym mrozie spotkać można było jako jedyną potrawę na obiad — kiszoną kapustę (na zimno) z zakiszonym w niej ogórkiem. Często jadano chleb gryczany!

A przy tem wszystkim, każdy z „muzyków“ miał ziemi sporo, i to dobrej, tylko przeważnie rozdrobnionej i byle jak uprawianej. Między wioskami ruskimi, spotykane gospodarstwa czeskie i niemieckie, jakim wspaniałym kwitły dobrobytem!

Spotykaliśmy też i polskich kolonistów, hen z Mazowsza wywodzących się. Dziady ich przybyli tu dawno. Dzisiejsi już nie wszyscy po polsku umieli, chociaż odrazu z twarzy ich polskość wyczytać można było. Pokazywali nam niektórzy z nich malowane kufry, przez przodków jeszcze z Polski przywiezione. Mieszkając wśród przeważającej ludności ruskiej, byli oni onieśmieleni. Poznać to można było nawet z przyciszonej ich rozmowy. Zwłaszcza, że kościół był tak daleko; a tam w kościele najlepiej przypominali oni sobie przy polskim pa-cierzu — o polskiej ziemi.

W przedświąteczne wieczory schodzili się mieszkańcy części wsi do większej izby i tu odbywały się tańce z przyspiewkami. Tańczyli wszyscy i — młodszy i starsi; tańczyli najrozmaitsze nieznanne nam tańce. Po zabawie chłopaki odprowadzali dziewczyny, napelniając wieś wrzaskiem i piskiem. Rozpusta przytem kwitła. Nie było nic zdrożnego w oczach starego muzyka i jego żony, gdy córka ich przyhołubiła sobie na noc... chłopaka.

Byliśmy też parę razy świadkami, zaiste jedynej w swoim rodzaju, uroczystości kościelno - domowej.

Przez wieś idzie procesja: pop, chorągiew, ikony, kilkunastu ludzi. Sunie to wszystko środkiem drogi, krokiem szybkim jakby gdzieś śpieszono się lub przed czymś uciekano. Procesja taka zatrzymywała się przed domem któregoś z gospodarzy, sprzęt kościelny ustawiano w sieni, a całe towarzystwo wkraczało do izby. Pop udzielał błogosławieństwa, odmawiał, zdaje się, modlitwy, a potem siadał na czołowym miejscu. Jego dziwnie tępa twarz nie wzbudzała ani cienia szacunku.

Zaczynała się libacja. Na stole stała dzieża z pierogami, miski z mlekiem czy śmietaną, w której maczano pierogi; trochę chleba. Przed popem parę jabłek, kawałek mięsa. Samogonka krąży. Oczy nabierają zwierzęcego wyrazu.

Gdy pierwszy raz ujrzałem procesję idącą przez wieś, nie przypuszczałem, że idzie ona na... wódkę. We mnie krzyż, kościelne chorągwie inne budziły uczucia.

Patrząc na życie popów, tych duchowych przewodników szarych mas, zrozumiałem słowa kiedyś przeczytane, że religja jest śmiertelnym punktem Rosji; obserwując zaś życie „mużyka“, widząc jego „pierwotność“, lenistwo, zwierzęcość, praktyczny stosunek do religji, pojąłem też, że jest przepaść między kulturą Zachodu a Wschodem.

Czyż żadnemu carowi nie przewodziła myśl, by te ogromne masy swych poddanych obudzić, cieniem kultury materjalnej je obdarzyć, sercu ich wskazać lepsze

ideały, aniżeli wódka i rozpusta, i na tej niezapisanej karcie, jaką jest dusza wschodu, ryć świat nowy, jaśniejszy?

Pewno nie! — i dlatego we wszystkich osiedlach, gdzie były pomniki carów, leżały one w gruzach.

W czasie tych naszych wędrówek po wołyńskiej ziemi spotykaliśmy często wspaniałe zabudowania folwarczne. Zdala już widoczne, czerwienią swych murów plamiły biel śniegu, a kształtem i całym swym wyglądem świadczyły o panującej tu niedawno kulturze i dobrobycie. A dzisiaj — puste, samotne i opuszczone, naprawdę — bezpańskie. Zamarło w nich stare życie, nowemu jeszcze serce nie zabiło.

We dworze wita nas ni chłop, ni „pomieszczyk“, który tak dobrze może być zastępcą dziedzica, jak i komisarza.

W pokojach ani śladu mebli, tylko piętno zniszczenia i ta sama — pustka. Ale nie wiem dlaczego pustka ta nie boli tak, jak cisza podwórka.

Popasając parę razy w opustoszałych murach, zastanawiałem się nad zmiennością ludzkiej fortuny.

Gdzież bogactwa niejednego z tych wielu ludzi, których dobra widzieliśmy? Pożoga rewolucji — krwawej, bezlitosnej, pełnej najwyuzdańszych mordów, przepaliła tę ziemię. Czy słusznie? Nie umiałem na to odpowiedzieć. Jednak w głębi coś mi mówiło, że wielu z tych, którym Bóg więcej dał, chociaż nawet mówią — „Przyjdź, Królestwo Twoje!...“ — swoim egoizmem, brakiem serca, odczucia niedoli bliźniego, jakżesz kuszą

Boga, by ten hufce szatanów, a nie aniołów, po ziemi rozpuścił.

Walczyłem za Polskę, nie za stan posiadania, i w tych myślach moich nie było nic ze zdrady ojczystej sprawy.

W Smołdyrewie pożegnał nas por. Zarzycki, który odjechał na dłuższy urlop, a dowództwo objął rtm. Tarnasiewicz, przybyły ze szpitala, gdzie leczył się z otrzymanych ran.

Nowy d-ca wprowadził swój ład i rygor. Dbaly o żołnierskie troski, pozyskał nas pierwszego dnia.

W tym samym czasie opuścił szwadron kpr. Karol Grabowski, który został odkomenderowany do specjalnej komisji, rozstrzygającej wspólnie z delegacją rosyjską wszelkie zatargi, jakie wynikały na linii demarkacyjnej. Komisja powyższa urzędowała w Kijowie.

Poza pracą czysto oficjalną, członkowie Komisji przychodzili z pomocą wielu Polakom, rzuconym na obczyznę. Nie szczędzili trudu, zachodu ani starań u rosyjskich władz, by ulżyć doli tych, którym kordon zagradzał drogę powrotu do kraju, a szalejący terror wyniszczał ostatek sił. A ileż razy nielegalnych chwymano się środków, aby ratować stojących już krok od śmierci.

Kpr. Karol Grabowski powrócił do pułku dopiero w lutym, gdzie czekał go awans na plutonowego, dekoracja Krzyżem Walecznych i bezterminowy urlop, dający mu możliwość powrotu do swej zawodowej pracy na roli.

XII. OSTATNIE CHWILE.

Pod koniec listopada, czy na początku grudnia, zaczął się odpływ wojska polskiego na zachód, w celu oddania Republice Sowieckich Rad ziemi po Korzec i przeprowadzenia w kraju demobilizacji.

Druga dywizja jazdy miała wyznaczone leże pod Kowlem. Droga szła poprzez Korzec, Równe, Łuck i kończyła się dla nas we wsi Kupiczewo.

Marsz trwał kilkanaście dni; marsz bez troski, wesoły i rażny. Miasteczka dawały możliwość zaopatrzenia się w żywność, a wsie, niewyżyłowane jeszcze przez wojska, zapewniały wygodny i niegłodny nocleg.

Krajobraz zmieniał się. Z bogatych okolic, zabudowanych i żyznych, wchodziliśmy nagle — w nędzę; w porytą ziemię, między popalone domostwa, w cmentarną ciszę światowej wojny. Dwa razy przechodziliśmy takie pasy: raz między Równem a Łuckiem, drugi raz nad Stochodem.

Szliśmy i poprzez równiny gęsto zaludnione i przez lasy, w których drogi wykładane były drągowiną, a ludzie rzadcy i ponurzy.

Wieś Kupiczewo przyjęła nas niezbyt mile i gościnnie. Czesi, którzy ją zamieszkiwali, odrazu pierwszego dnia naznosili skarg do d-wa na szwoleżerów.

O głupstwa, o detale.

W Kupiczewie życie było znośne. Piekarnie dostarczały bułek — naturalnie za pieniądze.

Byłem w Kupiczewie parę tylko dni. Jako uczeń z ostatnią paczką sztubaków zostałem zwolniony. Przyszło uzupełnienie z Warszawy i jemu zdawaliśmy konie. Oddałem rynsztunek, broń i — siwka. Nie wiem, czego mi najwięcej było z tego żal. Ale pamiętam, że siwka zegnałem długo, całowałem jego mądry łeb, a szyję głaskałem dziwnie pieszczotliwie. Przecież był mi on naprawdę druham — chyba serdecznym — był częścią mojego żołnierskiego jestestwa.

W gwiazdzistą noc sanki wiozły nas na stację kolejową. Mknęły rażno poprzez zaśnieżone pola, miały uśpione wioski, szumiące bory — oddalały się.

Zegnałem żołnierskie, frontowe życie.

W towarowym wagonie, zatłoczonym po brzegi ciżbą żołnierską, dostaliśmy się do Warszawy, gdzie nastąpił przymusowy dwudniowy postój w celu przeprowadzenia ostatnich formalności.

Mając parę chwil wolnych zaszedłem przed pałac Belwederski. Tu, w niecały rok później, w listopadowe święto, jako podchorąży, przy dźwiękach hymnu narodowego i tłumach publiczności, zaciągałem wartę honorową. A potem wśród samotnej nocy danem mi było ujrzeć zdalą twarz — Wodza.

Młodzieńczą wiarę, dziecinną bez mała ufność składałem mu wtedy w darze i w podzięcie, za jego trud i — zwycięstwo.

Dnia 20 grudnia wiózł mnie pociąg do domu. Na stacji w Raciążu wskoczyłem do sanek i wkrótce znalazłem się wśród białych pól. Już blisko dom; znane drogi, krzyże, znany każdy zakręt, każda zagroda. Takie to wszystko bliskie, kochane. Tu kształtowały się w dziecku uczucia, które później kazały mu ochotnie znosić boju trud.

Słońce zachodziło. A ja wpatrzonego w cud zachodu myślałem: jakże nieszczęśliwy jest ten, kto niewolą ciała lub ducha złożony, nie może iść spełnić najświętszego swojego wobec Ojczyzny obowiązku.

W podzięcie Bogu — kornie pochyliłem głowę.

K O N I E C.

LISTA SZWOLEŻERÓW PŁOCKIEGO SZWADRONU.

201 pułku z dnia 24.VIII.20 r.

Por. Zarzycki Jan (d-ca szwadronu)	plut. Gościcki Stanisław (szef szwadronu)
wachmistrz Sułowski Tadeusz	szwol. Kangórski Michał (trebacz)

I pluton.

plut. Gorski Adam (d-ca plutonu)	szwol. Goćkowski Jan „ Gościcki Julian, „ Graniszewski Witold kpr. Mayer Ksawery „ Grzanka Roman, „ Chrostowski Edward „ Homolko Stefan „ Cichowski Zygmunt „ Kawecki Ignacy „ Gorzechowski Zygmunt „ Konopka Stanisław, „ Garwacki „ Korycki, „ Wierzbicki Zdzisław „ Kraska Antoni „ „ Król, st. szwol. Jabłoński Juljusz „ Kępiak Wacław „ Rościszewski Adam „ Krusiewicz „ Rościszewski Stan. „ Merle szwol. Abczyński Stanisław „ Morawski Zygmunt „ Cichocki Antoni „ Mieczkowski Stefan „ Czaplicki Antoni „ Opien Stanisław „ Duczyński Ludwik, „ Ożarowski Tadeusz „ Dobaczewski, „ Ordak Stanisław „ Fetkie, „ Płoski Kazimierz „ Gumowski Zygmunt „
----------------------------------	---

szwol. Przymanowski Jerzy	szwol. Woźniak
„ Werpechowski Adam	„ Załęski

II pluton.

Podch. Drozdowski (dowód- ca plutonu)	szwol. Kotkowski
plut. Rościszewski Jan (d-ca plut., od Bugu)	„ Marcinkowski Stanisław
kpr. Litewski Wojciech,	„ Mieczynski Jerzy
„ Dzierżanowski Zygmunt	„ Motyliński Władysław
„ Trompczyński	„ Olszewski Jan
szwol. Adamski	„ Olszewski Józef
„ Bagiński	„ Popkowski Witold
„ Brudnicki Lucjan	„ Paciorkiewicz Alfred
„ Bańka	„ Przymanowski Stan.
„ Dobrowolski Jerzy	„ Serafiński Kazimierz
„ Dzierżanowski Teodor	„ Serafiński Szczepan
„ Lisicki Stefan	„ Świerkocki
„ Ławruszczuk Ryszard	„ Syski Stefan,
„ Jankiewicz	„ Szymański Stanisław
„ Jankowski Edward	„ Totleben Stanisław
„ Kamiński Józef	„ Więclawski Pankracy
	„ Zieliński Józef
	„ Żochowski Władysław

III pluton.

Ppor. Boichut (dowódca plu- tonu)	st. szwol. Gąsiorowski Witold
plut. Węglarz Władysław	„ Kocięcki Antoni
„ Chamski Kazimierz	„ Sumiński Ludomir
„ Smoniewski Zygmunt	„ Szmelcer Mirosław
kpr. Grabowski Karol	szwol. Anasiewicz
„ Kulesza Stefan	„ Baliński Jan
	„ Dietrych (sanitarjusz)

szwol. Dmowski	szwol. Orłowski Andrzej
„ Dobaczewski	„ Orłowski Piotr
„ Dzierżanowski Henryk	„ Sieklucki Władysław
„ Dzierżanowski	„ Strzeszewski Tadeusz
„ Gorczyński Florjan	„ Szulc Otton
„ Gorczyński Tadeusz	„ Turski Jan
„ Jaźwiński Teofil	„ Tarnowski Jerzy
„ Kalinowski Jerzy	„ Winnicki
„ Klicki Stefan	„ Waśniewski
„ Łepkowski Wiktor	„ Zawidzki Tadeusz
„ Łepkowski Jan	„ Żaglewski Bronisław.

IV pluton.

Podch. Protassewicz Zygmunt	szwol. Krajewski Stanisław
(d-ca plutonu)	„ Krępeć Jan
plut. Gnat Andrzej	„ Kwasięborski Stanisław
kpr. Chełmicki Bohdan	„ Łepicki Stanisław
„ Kozłowski Karol	„ Matusiak
„ Przedpełski Zygmunt	„ Piwnicki Stanisław
„ Wodzyński Julian	„ Popkowski Zdzisław
„ Zarzycki Michał	„ Przedpełski Bronisław
st. szwol. Gerlach Zygmunt	„ Radzicki
„ Grzybowski	„ Rykaczewski Leon
„ Protassewicz Apo- linary	„ Rudowski Karol
szwol. Gerlach Jan	„ Śniegocki
„ Gierzyński Antoni	„ Szempliński Antoni
„ Gierzyński Feliks	„ Szempliński Witosław
„ Gieryszewski Kazimierz	„ Sułowski Aleksander
„ Jagnieża	„ Tański Henryk
„ Jankowski Eugenjusz	„ Waśniewski Ludwik
„ Jankowski Jerzy	„ Ziółkowski
„ Jankowski Zenon	„ Żórawski Tadeusz
„ Kokoszczyński Tadeusz	„ Waśniewski Aleksander

Poza plutonami.

star. wachmistrz Waśniewski	szwol. Lewandowski
Stefan	„ Łozowski
wachmistrz Koźlakowski	„ Łątka
plut. Krzymowski Paweł (d-ca	„ Marcinkowski Stanisław
bojowych taborów)	„ Matuszewski
szwol. Ambroziak	„ Małanowski
„ Biliński	„ Okiński
„ Bartoszewski	„ Opolski
„ Cackowski	„ Osiński
„ Czapliński	„ Pomorski
„ Gocajna	„ Przedpełski Wacław
„ Domke	„ Paciorkiewicz
„ Dłużniewski	„ Ryziński
„ Dominiak	„ Rosłański
„ Derkus Antoni	„ Sadziak
„ Hajdukiewicz Stanisław	„ Sitkiewicz
„ Harszewski	„ Sadowski
„ Jastrzębski	„ Ugodziński
„ Jagiełło	„ Wawryniewicz
„ Jasiński	„ Wawrowski Stefan
„ Krajczyński	„ Zgliński
„ Kozakoski	„ Zalewski
„ Krukowski	„ Wierzbicki
„ Kwasiborski	„ Żochowski Stanisław

LISTA POLEGŁYCH I RANNYCH SZWOLEŻERÓW.**P o l e g l i :**

ppor. Kowalski
 kapral Płoski Jan
 szwol. Krosnowski Julian
 „ Pawłowski
 „ Kamiński Józef
 „ Serafiński Kazimierz
 „ Kępiak Wacław.

R a n n i :

kapr. Przedpełski Zygmunt
 „ Wodzyński Julian
 szwol. Łepicki Stanisław
 „ Gierzyński Czesław
 „ Jankiewicz

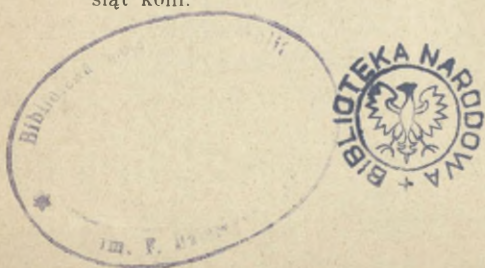
Poza wymienionymi odniosło rany jeszcze dwóch szwoleżerów z drugiego plutonu i dwóch z trzeciego, których nazwisk nie udało się obecnie ustalić.

Straty w koniach:

zabitych: dziesięć
 rannych: dwadzieścia pięć.

Zdobycz szwadronu:

Dział — trzy; kilka c. k. m.; przeszło tysiąc jeńców; kilkadziesiąt wozów z prowiantem, amunicją i uzbrojeniem, kilkadziesiąt koni.



Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

11251/1



11-011251-000-0

